- **Nie bójmy się egzaminów**
- **Między starym a nowym mieszkaniem**
- **Jerzy Bajan – Zwycięzca Challenge**
- **Sobota w dyskotece**

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 27 (1318) ROK XXVI 2 LIPCA 1983 ROKU CENA 15 ZŁ

Foto: M. Zajdler

Uciekinierzy

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Wielu młodych ludzi marzy o przygodach, o wędrówkach i poznawaniu świata. Wielu myśli, że wystarczy tak, jak w piosence *„wsiąść do pociągu byle jakiego"*... I wsiada. I jedzie, a często usiłuje też dostać się na statek, by tą drogą wyruszyć w świat. Statystki milicyjne podają, że niestety, wzrasta liczba małych uciekinierów. Oblicza się, że w skali kraju jest ich ok. 6 tysięcy, a może 7 tysięcy. Nie są to dane ścisłe, a jeśli nawet, to moim zdaniem obejmują tylko tych zatrzymanych przez patrole MO i „przechowywanych" w milicyjnych izbach dziecka. A iluż uciekinierów wymiguje się milicjantom? Może drugie tyle? Zjawisko narasta. Wiosną zarejestrowano już tyle ucieczek, ile ich było przez całą wiosnę i lato roku ubiegłego.

Z drugiej strony okazuje się, że dzieci, które autentycznie ciągnie w świat, wbrew pozorom jest znikomy procent. W Milicyjnej Izbie Dziecka w Łodzi stanowią one zaledwie 5 proc. (rocznie).

I tu Czytelniku kończy się przygoda, a zaczyna pedagogika. Okazuje się bowiem, że przyczyną ucieczek z domów jest nie chęć przygody i poznania świata, a sytuacja rodzinna, potrzeba zmiany środowiska, bo w domu są nie rozumiani, nie kochani, rodzice bardzo często nadużywają kar fizycznych, a wśród najbliższych nie znajdują zrozumienia i oparcia. Zdaniem kpt mgr HALINY KUPIŃSKIEJ nie chęć przeżycia przygody, a strach przed ludźmi, którzy powinni zapewnić poczucie bezpieczeństwa, jest główną przyczyną ucieczek dzieci z domów rodzinnych.

Nie, nie będę tu wyłuszczał wszystkich przyczyn ucieczek z domów. Poznamy je na kilku przykładach z dziecięcych opowieści, z relacji pedagogów w milicyjnych mundurach i psychologa z Uniwersytetu Łódzkiego. Ten ostatni powiedział mi, że *„przyczyny ucieczek wynikają z charakteru relacji jakie istnieją między dzieckiem a jego środowiskiem rodzinnym, zależą także od wieku dziecka..."*

SPISANE Z TAŚMY MAGNETOFONOWEJ

Mówi 13-letni Paweł:

— *Potrzebowałem kilku złotych i ukradłem koledze. Inni to widzieli i zbili mnie. Potem szantażowali mnie żądając pieniędzy. Aby je zdobyć, kradłem.*

— A o swoich kłopotach nie mogłeś powiedzieć w domu czy wychowawcy w szkole?

— *Po co, i tak mam iść do poprawczaka?!*

— Też za kradzież?

— *Tak. Ukradłem coś w domu i mama podała mnie na milicję. Jak poprzednio byłem w tej Izbie, to przyjechał po mnie tata, ale mu uciekłem, bo bałem się bicia w domu. Chciałem przestać, ale kiedy wróciłem do szkoły, znowu mnie szantażowali i bili. Musiałem znowu kraść i płacić za milczenie.*

— To nie mogłeś iść do wychowawcy i zwierzyć się ze swoich kłopotów?

— *Ale pan naiwny. Rozmawiałem ale mimo że tamci kłamali, uwierzył im, a nie mnie, bo ja dla niego byłem już złodziejem, który czeka na miejsce w zakładzie..."*

Opowiada kapitan HALINA KUPIŃSKA:

— *Zbyszek, uczeń kl. VII, zatrzymany został za ucieczkę z domu. Warunki materialne przeciętne, ale ojciec jest nałogowym alkoholikiem, często urządzającym awantury, w czasie których bije zarówno chłopca, jak i matkę. Chłopiec nie mógł pogodzić się z tą sytuacją i uciekał.*

Takich przypadków mamy bardzo dużo. Występujemy do Sądu Rodzinnego o wszczęcie postępo-

5

EUGENIUSZ ŁASKI

Kto komu uszył buty...

Tę sprawę można byłoby zakwalifikować jako typową dla sytuacji w kraju. Dla przypomnienia: koniec roku 1980 i niemal cały następny charakteryzowały się gwałtownym zanikiem artykułów żywnościowych i przemysłowych. Kraj nękany strajkami stawał się pustynią handlową. Zamykano lub likwidowano sklepy, w innych ograniczano sprzedaż, jeszcze w innych zmniejszano powierzchnię handlową. Było to udawanie, że się handluje, choć każdy wiedział, że ten, nie tak dawno żywy organizm, znajduje się w agonii. Natomiast puchł „czarny rynek". Ceny na bazarach były wprost proporcjonalne do znikania towarów w sklepach uspołecznionych: im czegoś mniej, tym ceny na ten towar pięły się wyżej. Ale ceny pięły się także w warsztatach prywatnych rzemieślników. I o tym będzie w niniejszym artykule.

Zanim jednak zajmę się właściwym tematem, chcę przypomnieć dość istotne dla dalszej narracji fakty. Buty damskie osiągnęły cenę w handlu uspołecznionym — ok. 600 zł, męskie można było kupić od 370 do 700, natomiast takie same buty w warsztacie szewskim odpowiednio wynosiły: damskie — 1.500 i więcej, męskie — 3.000 albo 3.500 zł. Przewaga butów produkowanych w warsztatach szewskich polegała jednak na tym, że one po prostu były, czego nie można powiedzieć o obuwiu rozprowadzanym przez sieć handlu uspołecznionego.

Niniejsza relacja będzie więc dotyczyć skóry. Będzie także opowieścią o tym, jak można zarobić sporo pieniędzy nie opuszczając biurka, a także o tym, że nie każdy, kto otrzymuje wspaniałą opinię z miejsca pracy, jest człowiekiem kryształowym, prawym, czystym moralnie i godnym najwyższego zaufania.

O oto dramatis personea kiepskiej, szytej grubymi nićmi afery. Jest ich w sumie jedenastu, mniej lub bardziej zdolnych. Jednakże szerzej przedstawię jedynie człowieka grającego główną rolę. Warto mu się przyjrzeć.

PORTRET PREZESA

Zacznijmy od opinii złożonych w aktach sądowych. Nadesłano je z kilku miejsc, gdzie oskarżony **Wiesław Adam B.** pracował.

Spółdzielnia Rzemieślnicza „Skóra": „Pełniąc funkcję prezesa Zarządu — kierownika Spółdzielni Ob. B dał się poznać jako pracownik zdolny, ambitny, osobiście zaangażowany w pracy zawodowej. Dobry gospodarz i organizator pracy".

„Transbud": (pełnił tu funkcję z-cy dyr. d.s. ekonom.): „W w. w okresie zatrudnienia wykazał pełne predyspozycje do wykonywania czynności zawodowych na stanowiskach kierowniczych. Był pracownikiem energicznym, zdolnym i ambitnym. Powierzone zadania służbowe traktował z powagą i odpowiedzialnością. Obowiązkowy, zrównoważony i zdyscyplinowany."

Łódzki Kombinat Budowy Domów (był z-cą dyr. d.s. pracowniczych): „Posiada własne zdanie, jest logiczny i otwarty. Wymagający wobec podwładnych, a jednocześnie koleżeński i obiektywny. Jest pracownikiem energicznym, samorzutnie podejmującym inicjatywę."

6

Kto i po co straszy nas wojną?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Niedawno w „Dzienniku Łódzkim" Edmund Tulko w „Zapiskach współczesnych" wystąpił ostro przeciw magicznemu myśleniu. Co to jest magiczne myślenie? Edmund Tulko tak to określa:

„...człowiek myślący magicznie mniema, że realne kłopoty, jakie go spotykają rozwiąże za niego jakaś nadprzyrodzona siła. Nie trzeba zatem starać się o usunięcie tych trudności, lecz wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie i... po wszystkim".

Mogę dodać do tego, że człowiek myślący magicznie nie przejmuje się zupełnie realiami, dla niego rzeczywistość jest taka, jaką on chce sobie wyobrażać. Są na przykład ludzie, którzy oglądając wieczorem dziennik telewizyjny, w którym mówi się o rosnącym zagrożeniu konfliktem nuklearnym, o nakręcaniu spirali zbrojeń przez USA i o potrzebie dążenia ze wszech stron do zamrożenia zbrojeń, aby nie dopuścić do wojny, komentują to spokojnie:

— *Znów straszą nas wojną?*

Kto, kogo i po co? Ano niby „władza" straszy, bo nastraszonymi łatwiej rządzić.

— *Jak to straszą?* — zapytał ktoś usłyszawszy taką opinię. — *To groźba wojny nie jest realna?*

— *Może i jest* — padła odpowiedź — *ale nas to nie dotyczy.*

— *A to niby dlaczego?*

— *Bo nad nami będą przelatywać tylko rakiety. U nas wojny nie będzie.*

Klasyczny — a powiedziałbym nawet: kliniczny — przykład magicznego myślenia. Takie myślenie nie jest niczym nowym. Bierze się ono z irracjonalnego przekonania, że Polska została stworzona dla spełnienia specjalnej misji dziejowej i już choćby dlatego nic się jej nie może stać.

I.

Trudno byłoby dziś analizować i oceniać sytuację na świecie, nie biorąc pod uwagę podstawowej sprzeczności. Jest to sprzeczność między burżuazją a proletariatem. Ta sprzeczność, występująca wewnątrz społeczeństw burżuazyjnych, doprowadziła do zwycięstwa rewolucji socjalistycznej i stała się następnie sprzecznością zewnętrzną, występującą między państwami burżuazyjnymi a socjalistycznymi.

Państwo kapitalistyczne — niezależnie od formy ustrojowej — wyraża i broni interesów burżuazji. Państwo socjalistyczne — interesów klasy robotniczej i wszystkich ludzi pracy. Rewolucja socjalistyczna w Rosji zapoczątkowała proces rewolucyjnych przeobrażeń na świecie. Powstał blok państw socjalistycznych, coraz więcej państw — szczególnie w trzecim świecie — wybiera drogę socjalistycznego rozwoju. Nie może się to podobać siłom reakcji. Będą one wszelkimi sposobami dążyły do zahamowania tego procesu, nie rozumiejąc, że jest to proces dziejowy, który można zahamować, ale którego nie można powstrzymać.

Komunistów państw socjalistycznych oskarża się niekiedy o „eksportowanie rewolucji". Jest to o-

3

Przegląd prasy

SREBRNE SKRZYDŁA, CZYLI... KONTRABANDA

o czym stało się ostatnio głośno. Pisał o tym niedawno w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 25 z 19 czerwca 1983 roku) Włodzimierz Krzyżanowski. Tytuł tego artykułu: „LOT-na kontrabanda". Chodzi o przemyt srebra, wyrobów przemysłu elektronicznego i różnych innych rzeczy, różniących się cenami i atrakcyjnością w różnych krajach. Komu to najłatwiej stwierdzić? Ludziom pracującym w komunikacji samolotowej, którzy odwiedzają różne kraje, podróżują po świecie i mają okazję nie tylko do porównań, ale i do... przemytu.

Często o lotnictwie mówi się — nasze srebrne skrzydła. Tym razem nie było nic z przenośni. Skrzydła były rzeczywiście srebrne, gdyż transportowały z Polski srebrną kontrabandę. Srebrni — również bez przenośni — byli nasi piloci.

„Celnicy na Bliskim Wschodzie — pisze Włodzimierz Krzyżanowski — **na trop przemytników wpadli zaintrygowani ich niesymetryczną budową: garbami, nienormalnie wypukłymi klatkami piersiowymi, wielkimi biodrami... Wtedy okazało się, że te garby i nadmiernie wybujałe pupy były ze srebra i azotanu srebra...".**

Aresztowano pilotów, mechaników, innych pracowników LOT-u w Warszawie i Krakowie. W Szczecinie odbył się proces 28-letniego Zbigniewa B., który **„wpadł na cle"** z kontrabandą wartości 8 milionów zł. W Krakowie aresztowano, **„póki co"** — jak pisze Wł. Krzyżanowski — 59 osób. Przemycali oni nie tylko srebro, ale również waluty i narkotyki.

Artykuł Włodzimierza Krzyżanowskiego sygnalizuje tylko aferę w Locie, zawiera on jednak również partie osobistą, którą warto przytoczyć w większych fragmentach. Pokazuje ona, że proceder przemytniczy trwał od dość dawna, a jednocześnie rzuca światło też na niedawne polityczne wydarzenia w Locie.

„W 1980 roku — pisze Włodzimierz Krzyżanowski — **kiedy zbierałem materiały do artykułu o przemycie w Locie, odebrałem wiele telefonów z różnymi groźbami, radzono mi „nie wychylać się", podawano nazwiska owczesnych notabli, którzy mnie... Po wydrukowaniu artykułu zaczęło się... Na Okęciu milicja uchroniła moją żonę przed linczem, a podprokurator Prokuratury Rejonowej Warszawa-Ochota, Dorota Kultys nie dopatrzyła się w postawie pilotów i stewardes znieważających i grożących żonie znamion przestępstwa i umorzyła dochodzenie. Po opublikowaniu kolejnego artykułu o pijaństwie i przemycie dwaj mężczyźni z brzytwami w rękach zagrodzili mi drogę, kiedy prowadziłem dziecko do przedszkola i zagrozili, że „potną mnie, jeśli wydrukuję jeszcze choć słowo na temat LOT-u"...".**

Piloci i pracownicy LOT-u czuli się tak pewni swego bezpieczeństwa, a proceder był tak pociągający i opłacający się, że nie cofano się przed niczym. W Wiedniu na przykład opóźniono odlot samolotu, gdyż nie powrócił wysłannik do centrum handlowego na lotnisko Schwechat.

„Skalę przemytu dobrze obrazuje sprawa pilota Zbigniewa B. — pisze dalej Włodzimierz Krzyżanowski — **rozpatrywana przez szczeciński Sąd Wojewódzki. Lecąc do Amsterdamu wywiózł nielegalnie z Polski 26.300 rubli i blisko 10 dkg drutu platynowego, a w drodze powrotnej w kabinie pilotów ukrył: 1564 szwajcarskie zegarki elektroniczne; 3013 srebrnych łańcuszków o łącznej wadze 5,9 kg; 99 g drutu platynowego, japoński kasetowy magnetowid, kamerę oraz tuner firmy „Hitachi" i pięć kaset magnetowidowych. Kiedy wpadł, usiłował dwoma tysiącami dolarów przekupić szczecińskiego celnika. W śledztwie uparcie milczał, a z treści grypsów wynika, iż był prawie pewny, że do procesu nie dojdzie... Piloci współczując pechowemu koledze często mówili: — Gdyby wpadł rok wcześniej, nie byłoby sprawy... No cóż, wśród aresztowanych pilotów jest również ich szef — b. kierownik personelu latającego LOT-u".**

I Włodzimierz Krzyżanowski pisze dalej:

„Chyba rozumiem, dlaczego w 1981 roku niektórzy pracownicy LOT-u jak husarzy walczyli o „swojego" na stanowisku dyrektora naczelnego przedsiębiorstwa, kiedy poprzedni poszedł na emeryturę. Nie chcieli, aby dyrektorował im uznany autorytet w dziedzinie lotnictwa, człowiek o czystych rękach, który jednak, na szczęście — potencjalnych pasażerów LOT-u i wszystkich, którym nieobojętne jest dobre imię Polski za granicą, dyrektorem został".

Tyle o aferze przemytniczej w Locie. Sądzę, że w miarę postępu śledztwa opinia publiczna otrzyma więcej szczegółów. Ale

NIE JEST TO JEDYNA AFERA ZE SREBREM

Dotarła do mnie z dużym opóźnieniem wprawdzie — za co Czytelników przepraszam — „GAZETA KRAKOWSKA" z 11, 12 czerwca 1983 roku. W tej to „Gazecie Krakowskiej" Janusz Hańderek prezentuje „Aferę, jakiej nie było". A zaczęło się wszystko od wizyty trzech panów z Kielc, którzy przyjechali do Krakowa, aby **„sprzedać złotą bransoletę wysadzaną 91 brylantami"**. Wartość tej bransolety — bagatela — 4 miliony zł.

Panowie wpadli, zainteresowała się nimi milicja i tak wyszła na wierzch wielka afera. Milicja bowiem przeszukała samochód kieleckich gości i znalazła tam złote monety, 200 tysięcy zł i obraz Kossaka. Ustalono nazwiska. Jednym z poszukujących kupca na złotą bransoletę był Ryszard J. — z zawodu chemik, były pracownik Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Rzucił pracę w wyższej szkole i założył wytwórnię różnych drobiazgów z mas plastycznych. Wytwórnia — jak się jednak okazało — była tylko pretekstem, zasłoną dymną dla rzeczywistej działalności Ryszarda J.

Wizyta w Kielcach przyniosła niespodziewane rezultaty. **„Znaleziono dziesiątki kilogramów srebra, biżuterię, walory dewizowe, a przede wszystkim skrupulatnie prowadzone dokumenty rozliczeniowe. Kto, komu, za co i ile".** Taka buchalteria była konieczna, choć niebezpieczna przy wpadce — co się zresztą potwierdziło — gdyż w aferze tej obracano milionami złotych, dolarów i innych walut, a także kilogramami srebra, złota i platyny.

W Kielcach funkcjonowała duża przetwórnia srebra. Skąd je brano? Między innymi z różnych odpadów zawierających srebro. Ale nie tylko. Kupowano również srebrne wyroby u „Jubilera". **„Kupowano choćby z tego powodu** — pisze Janusz Hańderek — **że oficjalne ceny srebrnych cukiernic, kompletów stołowych itp miały się nijak do cen srebra na światowych giełdach"** U nas bowiem srebro uważane jest za kruszec gorszego gatunku, takie „złoto dla ubogich", a na świecie ocenia się srebro zupełnie inaczej. Z tego to powodu gang w Kielcach nie tylko przetapiał wyroby „Jubilera", ale również srebrne wyroby stanowiące wartość artystyczną czy historyczną. Srebro to przemycano poza granice Polski, gdyż tam opłacało się je sprzedawać.

Afera kielecka ma też swój łódzki epizod. Oto, co na ten temat pisze Janusz Hańderek w „Gazecie Krakowskiej":

„Gang posiadał zastanawiające kontakty z jednostkami gospodarki uspołecznionej. Oto np. jedna z łódzkich spółdzielni sprzedała prywatnym odbiorcom (oczywiście członkom gangu!) 18 kg styków ze srebra, tych styków, które były nieosiągalne dla uspołecznionych zakładów. Trudno dziś ocenić, ile maszyn i urządzeń stało bezczynnie tylko dlatego, że łódzka spółdzielnia i jej podobne odmówiły dostaw, tłumacząc się brakiem surowca i innymi jeszcze przyczynami obiektywnymi. Straty wynikłe z tych przestojów były zapewne olbrzymie".

Tymczasem srebro z tych styków płynęło w sztabach za granicę, przynosząc milionowe zyski członkom przemytniczego gangu. Śledztwo ujawni zapewne dalsze — nie mniej szokujące — szczegóły tej afery.

Skoro już wdałem się w aferę, to muszę być konsekwentny i przedstawię jeszcze

POGLĄDY ZYGMUNTA SZELIGI W SPRAWIE JANA BEDNARCZYKA

Też jest to afera, choć zupełnie innego rodzaju. Jan Bednarczyk był prezesem Huty Szkła „Laura", ale miał to nieszczęście, że wydało się, iż zarabia około 50 tysięcy miesięcznie. I nie on jeden zresztą. Jego żona podobnie, księgowy także. To oczywiście, wywołało szok i protesty. Odwołano Jana Bednarczyka ze stanowiska i nie pomogły odwołania od tej decyzji. Ale, żeby było śmieszniej, w „Laurze" wybrano prezesem... żonę Jana Bednarczyka — Ewę Bednarczyk.

I tu pierwszy zarzut Zygmunta Szeligi wyrażony w artykule „Sprawa Bednarczyka" opublikowany w „POLITYCE" (nr 26 z 25 czerwca 1983 r.). Otóż Z. Szeliga przypomina — albo wypomina — dziennikarzom z PAP i DTv, iż zapomnieli o reformie gospodarczej i prawie spółdzielczym. Twierdzenie bowiem, że Ewę Bednarczyk wybrano zgodnie z prawem, ale wyboru nie zatwierdziła jednostka nadrzędna, rozmija się z prawem, bowiem w myśl tego prawa **„żadna centrala nie jest jednostką nadrzędną spółdzielni, a żadna spółdzielnia nie ma obowiązku uzgadniania swoich samorządnych decyzji z jakąkolwiek centralą".**

Zygmunt Szeliga zarzuca też (R. B.) z „Rzeczypospolitej", iż nie bardzo dobrze orientuje się w reformie gospodarczej, gdyby bowiem było inaczej, nie powtarzałby zarzutu pod adresem J. Bednarczyka, że ten dokonywał **„kombinacji asortymentowych"**, co doprowadziło do spadku produkcji o 30 proc. Po pierwsze — pisze Z. Szeliga — jest to **„zwyczajną nieprawdą"**, produkcja **„wartościowo, jak i tonażowo wzrosła"**, a po drugie — przypomina Z. Szeliga — **„jedną z podstawowych zasad nowego systemu ekonomicznego jest prawo przedsiębiorstwa do samodzielnego wyboru asortymentu produkcji i kierowanie się przy tym kryterium opłacalności, czyli (o zgrozo!) zysku".**

Ale to nie wszystko. Zygmunt Szeliga zgłasza bowiem nadal — mimo nieodwołalnych już decyzji — szereg zastrzeżeń i wątpliwości do całej afery z Janem Bednarczykiem. Przede wszystkim — co zakomunikowano w sprawozdaniu z konferencji prasowej w TvP — zgłaszane pod adresem J. Bednarczyka zarzuty, jakoby jego usprawnienia były wątpliwej natury, okazały się po prostu nieporozumieniem. A poza tym — utrzymuje Z. Szeliga — Jan Bednarczyk próbował wprowadzić do praktyki nowy system płac, polegający między innymi na tym, że również pracownicy administracji — czyli „umysłowi" — mieli otrzymywać zarobek według stawek godzinowych. Słowem — mieli mieć płacę za faktycznie wykonaną pracę. O co zresztą wszyscy wołają gromkim głosem. W naszych poszukiwaniach sprawnego systemu płac eksperyment Jana Bednarczyka mógłby być bardzo przydatny. Ale stało się inaczej.

Jan Bednarczyk — utrzymuje dalej Z. Szeliga — system płac oparł na proporcjach: 1 : 2 : 6. Średnia płaca równa dwom najniższym, a najwyższa — trzem średnim. **„Tak to jest zapisane w uchwale IX Zjazdu PZPR"** — przypomina Z. Szeliga. Proporcje płac w „Laurze" zachowywały tę zasadę. Stawka 32 zł za godzinę — to minimum płacowe, a kierownictwo w „Laurze" miało 168 zł za godzinę, a więc mniej o 24 zł od maksymalnej stawki, która w myśl wykazanych wyżej proporcji powinna wynosić 192 zł.

Cytowane na koniec zdanie gen. Mariana Ryby o Janie Bednarczyku brzmi jak ironia. M. Ryba powiedział, że uważa Jana Bednarczyka za **„młodego, zdolnego człowieka, który ma przed sobą przyszłość i z pewnością będzie mógł zająć stanowisko kierownicze"**. Jeśli „bezinteresowni zawistni" znów mu nie podłoża nogi. Powodzenia!

LUCJAN BOGUSZ

„Manifestation gigantesque"

Od naszego specjalnego wysłannika z Paryża

Wystawa (o jej genezie i przygotowaniach pisałem w poprzednim numerze) **„Obecność polska — sztuka żywa wokół Muzeum Sztuki w Łodzi"**, na którą tu, w Paryżu, oczekiwano z wielkim zbainteresowaniem stała się faktem.

Uroczystość oficjalnej inauguracji, z udziałem przedstawicieli władz francuskich i polskich, dziennikarzy, krytyków, ludzi sztuki, dyrektorów znanych muzeów w świecie odbyła się 21 czerwca. W dwa dni później udostępniono wystawę publiczności, która będzie mogła ją oglądać do 26 września br.

Poprzedziła ten moment konferencja prasowa, na której organizatorzy (Muzeum Sztuki w Łodzi oraz trzy oddziały Centrum Georgesa Pompidou: Musée National de l'Art Moderne, Bibliothèque Publique d'Information i Institut de Recherche et Coordination Acoustique (Musique) przedstawili założenia i program tej „manifestation gigantesque" polskiej sztuki XX wieku (cytat z ostatniego numeru „Nouvel Observateur").

Jean Maheu, obecny dyrektor Centre Georges Pompidou, na sugestię jednego z dziennikarzy, iż **„wystawa ta w aktualnym kontekście wydaje się być szczególnym aktem solidarności z narodem polskim"** odparł, że już przed laty Pontus Hulten, pierwszy dyrektor paryskiego Centrum, rozważał myśl o tego rodzaju współpracy i wymianie międzynarodowej. A ponieważ łódzkie muzeum jest od kilkudziesięciu lat placówką o szczególnej żywotności — stąd ta wystawa. Nie idzie tu więc o doraźne względy koniunkturalne.

Ta rzeczywiście ogromna wystawa, nawet jak na doświadczenia paryskie, jest jedną z cyklu ekspozycji, organizowanych poprzednio w Centrum, a prezentujących główne światowe ośrodki sztuki awangardowej („Paris-Berlin" — 1978, „Paris—Moscou" — 1979, „Les realismes" — 1981). W tym roku przyszła kolej na Łódź i przedstawienie „polskiej obecności" w sztuce naszego stulecia.

Wystawę tę przygotowano niezwykle starannie, a jej przestrzenna aranżacja, przejrzysta i logiczna oraz — co ważniejsze — odpowiadająca idei ekspozycji godna jest miejsca, w którym się odbywa i wartości dzieł, które uobecnia.

Towarzyszy jej bogata dokumentacja: dwa katalogi, w tym jeden bardzo obszerny, ilustrowany jak album, z cennymi artykułami autorów polskich i francuskich, który wydaje się być największym — jak dotąd — kompendium wiedzy o sztuce polskiej, jakie kiedykolwiek ukazało się w języku obcym. Także zaprojektowany przez **Romana Cieślewicza** plakat, którego gigantyczna kopia, zawieszona na frontonie tej przedziwnej, szokującej, futurystycznej konstrukcji architektonicznej, jaką jest Centre Georges Pompidou, przyciąga uwagę tysięcy ludzi przewijających się nieustannie przez plac i uliczki Beaubourgu.

Poza tym wszystkim (o szczegółach napiszę już po powrocie, muszę ochłonąć i uporządkować wrażenia) trzeba powiedzieć — co czynię jako łódzki patriota nie bez satysfakcji — iż paryska wystawa jest wielkim benefisem naszego Muzeum Sztuki, swoistą formą zadośćuczynienia (podkreślają to wszystkie enuncjacje w mass-mediach), długiem, jaki spłaca Europa osiągnięciom i historii muzeum w Łodzi: placówce, która pierwsza w świecie (to też cytaty z tutejszych omówień) podjęła wysiłek gromadzenia i upowszechniania sztuki nowoczesnej.

Wystawa podczas której eksponuje się ponad dwa tysiące obrazów, rysunków, rzeźb, dokumentów, książek, rękopisów i innych dzieł jest przede wszystkim więc syntetyczną, wielopłaszczyznową prezentacją zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi, zaaranżowaną według trzech kręgów polskich idei awangardy: wieloartystycznej twórczości Witkacego (prawdziwa sensacja tej wystawy!), konstruktywizmu z całym ówczesnym kontekstem oraz wyselekcjonowanych, reprezentatywnych dzieł sztuki współczesnej (plastyka, teatr, literatura, film).

Szczegóły za tydzień.

GRZEGORZ GAZDA

W intencji pokoju i pojednania

Druga wizyta-pielgrzymka Jana Pawła II, papieża-Polaka w ojczyźnie przeszła już do historii. U jej początku, w pierwszym dniu wizyty, w Belwederze, generał W. Jaruzelski witając dostojnego gościa wyraził nadzieję, iż pielgrzymka ta *„przysporzy moralnych wskazówek, umacniających wolę porozumienia, niosących posłanie pokoju. Że zapisze jasną kartę w otwartej księdze polskich dziejów"*.

Wychodząc intencji tej naprzeciw, Jan Paweł II zapewnił: *„Przybyłem do mojej ojczyzny jako pielgrzym (...) Przybyłem, ażeby być z moimi rodakami w szczególnie trudnym momencie dziejów Polski po drugiej wojnie światowej. Równocześnie nie tracę nadziei, że ten trudny moment może stać się drogą do społecznej odnowy..."*

W intencjach tych potwierdzonych przez obie strony, a zarazem oczekiwaniach społecznych, wyraża się istota zbieżności merytorycznych pomiędzy stanowiskiem rządu a wystąpieniami papieża. Szczególnie dotyczyło to takich spraw, jak: wspólna troska o przyszłość pokoju światowego, pragnienie utrwalenia i umocnienia spokoju w Polsce oraz rozwijanie w tym klimacie pojednania narodowego i porozumienia. W tym kontekście dojście wizyty papieża do skutku i jej przebieg ocenić należy jako wspólne osiągnięcie władz PRL, Watykanu i Kościoła katolickiego w naszym kraju. Akcentowała to niejednokrotnie również prasa zachodnia.

Zapewne jeszcze za wcześnie na to, aby — jak to powiadają — „na chłodno" dokonywać bilansu drugiej wizyty-pielgrzymki Jana Pawła II w Polsce. Trudno byłoby już dziś jednoznacznie stwierdzić na ile rządowe i papieskie intencje spotkają się ze społecznym rezonansem rozumianym jako pozytywny, narodowy impuls, jednoczący Polaków w dziele odnowy. Choć wydaje się, że spokojny przebieg wizyty (wbrew spekulacjom niektórych zachodnich korespondentów), główne tezy wygłoszonych przez papieża homilii oraz godna postawa rzesz wiernych, że wszystko to wskazuje, iż zgłoszone na wstępie wizyty intencje znalazły społeczną aprobatę.

Były jednakże i różnice zdań, ocen i poglądów na niektóre sprawy naszej skomplikowanej rzeczywistości. Myślę, że jest to oczywiste. Bowiem nierealnym byłoby zakładać, że papież będzie w swoich wystąpieniach zarówno w treści, jak i w tonacji ze wszystkim zgodny z ocenami strony rządowej. Ponadto, godzi się przypomnieć, iż pomimo wspólnej obu stronom troski o losy pokoju światowego i przyszłość spokoju w Polsce, są to spojrzenia — papieża i władz — dokonywane z dwu ideologicznie i filozoficznie odmiennych pozycji. Ale na tym właśnie osadza się sens i waga tego dialogu. Różnice stanowisk obu stron polegają nie tylko na odmiennym poglądzie na konkretne sprawy czy sposoby ich rozwiązywania, chociaż i one są odczuwalne. Istotne, ale nie przesądzające przecież niczego ostatecznie. Nie przekreślają one ani woli ani zasadności dialogu, nie odbierają szans na porozumienie.

Wspomniane różnice dotykają kwestii doktrynalnych. Potwierdzenie tego można było odnaleźć w wystąpieniu papieża na stadionie X-lecia w Warszawie. Jan Paweł II wyraził wówczas przeciwny doktrynie Jana XXIII pogląd, iż to nie tyle Kościół winien dostosowywać się, dopasowywać do realiów współczesnego świata, raczej problemy świata winny być rozwiązywane według zasad wyznawanych przez Kościół.

Równocześnie Jan Paweł II dał podczas swojej drugiej wizyty szereg dowodów otwartego, a nawet zbieżnego z naszym poglądem stosunku do wszystkich podstawowych kwestii współczesności. Wśród nich dominuje sprawa pokoju światowego.

Przytoczmy w tym miejscu słowa tegorocznego orędzia noworocznego przywołanego przez papieża w przemówieniu wygłoszonym w Belwederze. *„(...) dialog na rzecz pokoju zwłaszcza w naszej epoce jest konieczny. Jest on również możliwy. Ludzie ostatecznie są zdolni do tego, by przezwyciężyć podziały, konflikty interesów, nawet sprzeczności zdawałoby się radykalne.. jeżeli uwierzą oni w siłę dialogu, jeżeli zgodzą się na to, by po ludzku szukać pokojowego i rozumnego rozwiązania konfliktów"*.

Stwierdzenie to jest jak najbardziej zgodne z poglądem głoszonym przez rząd PRL i rządy pozostałych krajów socjalistycznych. *„Idzie przez świat wielkie antywojenne wołanie* — powiedział gen. W. Jaruzelski — *Pokój to dziś cel najwyższy. Wśród jego żarliwych obrońców Polska Ludowa była zawsze w pierwszym szeregu"*. Dość przywołać na pamięć znane plany stref bezatomowych w Europie i wiele innych polskich inicjatyw rozbrojeniowych.

Dzisiaj sprzeciw wobec wyścigu zbrojeń nie jest już zjawiskiem regionalnym, nie jest to sprawa rządów czy społeczeństw jakiejś grupy państw; jest protestem powszechnym i trwałym. Stanowi bez mała synonim naszych czasów. W sukurs intencjom Watykanu idzie m. in. inicjatywa biskupów amerykańskich. W liście biskupów rzymskokatolickich USA w sprawach wojny i pokoju, czytamy m. in.:

„W samych tylko arsenałach nuklearnych USA i ZSRR istnieje potencjał do uczynienia czegoś, co było poprzednio niewyobrażalne: możemy zniszczyć całą planetę... Żyjemy dziś zatem pośród kosmicznego dramatu; rozporządzamy mocą, której nigdy nie powinno się użyć, ale która może zostać użyta, jeśli nie odwrócimy kierunku naszego życia. Żyjemy z bronią jądrową wiedząc, że nie możemy sobie pozwolić na popełnienie choćby jednego poważnego błędu!".

Z napięciem w stosunkach międzynarodowych zbiegło się w czasie skomplikowanie się i zaostrzenie problemów wewnętrznych naszego kraju. Zarówno Jan Paweł II, jak i w swoim belwederskim wystąpieniu gen. W. Jaruzelski zgodnie akcentowali związek pomiędzy pomyślnym rozwiązywaniem spraw polskich, łagodzeniem konfliktów i rozwiązywaniem sprzeczności w drodze dialogu a napiętą sytuacją międzynarodową. Stąd parokrotne przywoływanie przez papieża słów Pawła VI: *„Polska dostatnia i szczęśliwa... w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy"*. Stąd pragnienie *„aby Polska miała zawsze właściwe sobie miejsce pośród narodów Europy..."*

Myślę, iż nie należy ukrywać, że wśród oczekiwań żywionych w dniach wizyty-pielgrzymki Jana Pawła II były nadzieje zajęcia przez papieża -Polaka jednoznacznego, jasnego stanowiska w sprawach europejskiego, powojennego status quo. Słowa K. Wojtyły potwierdzające stanowisko Watykanu w kwestii nienaruszalności i ostateczności naszej granicy zachodniej wygłoszone w Poznaniu, Wrocławiu i na Śląsku posiadały silny, międzynarodowy rezonans.

Podczas pobytu w Poznaniu przypomniał papież, iż jest to miasto leżące na *„najstarszych ziemiach piastowskich (...) gdzie przed tysiącem z górą lat zaczęły się dzieje narodu, państwa i Kościoła"*. Przywołał na pamięć czas *„kiedy mieszkańcy Wielkopolski musieli zmagać się o utrzymanie warsztatu — tej ziemi wielkopolskiej, którą zaborcy usiłowali wynarodowić"*. Podobnie podczas wizyty we Wrocławiu, Jan Paweł II nawiązał do historycznej przeszłości prastarych ziem piastowskich nad Odrą. Podczas uroczystości na Górze św. Anny papież przypomniał piastowski rodowód Śląska Opolskiego, a równocześnie złożył hołd tym, *„którzy na tej ziemi nie wahali się, w odpowiednim czasie, złożyć ofiary życia na polu walki"*.

Myślę, iż te bardzo polskie akcenty wizyty zwierzchnika Kościoła katolickiego, głowy Watykanu, posiadają swoją wielką polityczną, międzynarodową i nieprzemijającą, historyczną wymowę. Były odpowiedzią papieża na podniesioną znów nad Renem rewizjonistyczną wrzawę. Były potwierdzeniem historycznej sprawiedliwości i naszych narodowych, polskich racji.

Atmosfera korespondencji z Polski utrzymywanych w tonie politycznych sensacji demaskowała prawdziwe intencje Zachodu i karkołomne kalkulacje. Towarzyszyła temu duża aktywność dyplomacji krajów zachodnich (w Niepokalanowie było blisko 40 ich przedstawicieli). Pod koniec wizyty w środkach masowego przekazu na Zachodzie pojawiły się oznaki zawodu związane z niezrealizowaniem nadziei na wzbudzenie w Polsce niepokojów w okresie papieskiej pielgrzymki. Odnotować można także świoisty głos „realizmu". Otóż w wywiadzie udzielonym amerykańskiej telewizji Z. Brzeziński powiedział, że w tej sytuacji *„USA i ich sojusznicy powinni uchylić sankcje gospodarcze wobec Polski"*.

Uważam, że w tym kontekście można już mówić o spełnionych nadziejach wiązanych przez społeczeństwo polskie z papieską pielgrzymką. Wizyta przebiegała spokojnie, co jest dowodem dojrzałości politycznej Polaków. Zadziwiło to, a i zdenerwowało poniektórych. Ale też skłoniło już co trzeźwiejszych polityków zachodnich, dotąd nie zawsze nam przychylnych, do refleksji, do skonfrontowania przedwczesnej rachuby z realiami.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

W najbliższych numerach:

- ŻEBY ROLNIKOM NIE BRAKOWAŁO GUMIAKÓW
- O WYSTAWIE SZTUKI POLSKIEJ Z PARYŻA PISZE GRZEGORZ GAZDA
- CZŁOWIEK, KTÓRY WYMYŚLIŁ NOWY JĘZYK
- DLACZEGO BRAKUJE PIELĘGNIAREK
- DWA RÓŻNE SPOJRZENIA NA SIERADZ
- POLEMICZNIE O ANTARKTYDZIE
- PRZEMYT DZIEŁ SZTUKI Z KRAJÓW TRZECIEGO ŚWIATA

Kto i po co straszy nas wojną?

Dokończenie ze str. 1

wolucji". Jest to oskarżenie chwytliwe propagandowo, ale całkowicie bezpodstawne. Skierowane jest ono bowiem do tych, którzy nie wiedzą i nie rozumieją, że komuniści stoją na gruncie obiektywności praw rozwoju społecznego. Uznają oni zasadę, że rewolucyjne przeobrażenia mogą dokonać się tylko tam, gdzie dojrzały ku temu warunki. Żaden „eksport rewolucji" niczego tu nie załatwi. Potwierdziła to zresztą historia.

To przekonanie wynikające z naukowego socjalizmu, z dialektyki rozwoju społecznego, legło u podstaw „Dekretu o pokoju uchwalonego na posiedzeniu II Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich". Stało się to 8 listopada (26 października) 1917 roku. W dekrecie tym czytamy między innymi:

„Rząd robotniczy i chłopski, stworzony przez rewolucję 24—25 października i opierający się na Radach Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich, proponuje wszystkim wojującym narodom i ich rządom niezwłoczne rozpoczęcie rokowań o sprawiedliwy, demokratyczny pokój.

Za pokój sprawiedliwy czyli demokratyczny, którego pragnie gorąco przytłaczająca większość wyczerpanych, znużonych i znękanych przez wojnę robotników i klas pracujących wszystkich krajów wojujących — za pokój, którego w sposób najbardziej wyraźny i uporczywy domagali się robotnicy i chłopi rosyjscy — za taki pokój rząd uważa natychmiastowy pokój bez aneksji (tj. bez zaboru cudzych ziem, bez przyłączenia przemocą innych narodowości) i bez kontrybucji.

Rząd Rosji proponuje wszystkim narodom wojującym niezwłoczne zawarcie takiego pokoju, wyrażając gotowość podjęcia natychmiast, bez najmniejszej zwłoki, wszelkich zdecydowanych kroków, aż do ostatecznego zatwierdzenia wszystkich warunków takiego pokoju przez pełnomocne zgromadzenie przedstawicieli wszystkich narodów".

Na obiektywności praw rozwoju społecznego zasadza się polityka pokojowego współistnienia, zapoczątkowana w pierwszych dniach Rewolucji Październikowej i konsekwentnie prowadzona do dziś przez Związek Radziecki i kraje socjalistyczne. Historia potwierdziła też, że w warunkach szczególnego zagrożenia ludzkości, jak było to w czasach drugiej wojny światowej, możliwe jest nie tylko współistnienie, ale i współdziałanie, czego wyrazem była antyfaszystowska koalicja.

Wola dalszego prowadzenia polityki pokojowego współistnienia została potwierdzona przez ostatnie plenarne posiedzenie KC KPZR. W referacie Konstantina Czernienki znalazły się między innymi takie słowa:

„Nie ma dla naszej partii ważniejszego zadania, niż utrzymanie i umocnienie pokoju. Konsekwentnie trzymamy się zasad pokojowego współistnienia i odprężenia. Obszerny pakiet inicjatyw wysunięty ostatnimi czasy przez Związek Radziecki i inne kraje wspólnoty socjalistycznej świadczy o tym, że socjalizm kontynuuje ofensywę pokojową.

II.

Dziś groźba wojny jest stokroć groźniejsza niż była kiedykolwiek. Pamiętamy zniszczenia, jakie przyniosła z sobą miniona, druga wojna światowa. To, co mogłoby pozostać po konflikcie nuklearnym nie da się porównać ze stratami, jakie przyniosła światu druga wojna światowa. Trzeba nie mieć krzty wyobraźni, aby sądzić — myśląc magicznie — że ta wojna dotknie wszystkich, a oszczędzi nas. Uczeni już od dawna przestrzegają polityków przed skutkami konfliktu nuklearnego. Tak uczynili uczeni Akademii Nauk ZSRR, tak uczynili uczeni Papieskiej Akademii Nauk, tak czynią inni. Dlatego tak ważną staje się dziś walka o pokój, wszelkie działania zmierzające do utrzymania i utrwalenia pokoju. Bez przesady można powiedzieć, że są to działania zmierzające do uratowania ludzkości i naszej cywilizacji. Wojna nuklearna cofnęłaby świat do czasów pierwotnych, jeśliby jakieś grupy ludzi ją przetrzymały.

Jak uniknąć wojny?

Możliwość wybuchu wojny odsuwa bezsprzecznie równowaga militarna. Ale to jest wyjście krótkotrwałe i na dodatek bardzo niepewne. Administracja Ronalda Reagana wysuwając zarzut „o radzieckim zagrożeniu militarnym" przystąpiła do rozkręcania spirali zbrojeń. Zapadły decyzje o zainstalowaniu w Europie Zachodniej rakiet zagrażających bezpośrednio Warszawie, Pradze, Moskwie i innym miastom Europy Wschodniej. Takie postępowanie zmusza Związek Radziecki do odpowiedzi. Minister Andrej Gromyko powiedział na ostatniej Sesji Rady Najwyższej ZSRR:

„ZSRR deklarował wielokrotnie i ponownie oświadcza, że w obecnej sytuacji absurdem byłoby, gdyby ktokolwiek liczył na osiągnięcie przewagi militarnej. Związek Radziecki do tego nie dążył i nie dąży obecnie. Nie przyznajemy również nikomu innemu prawa do przewagi militarnej. Kraj nasz dysponuje niezbędnymi zasobami materialnymi i intelektualnymi, aby nie dopuścić do takiej sytuacji i Związek Radziecki do niej nie dopuści".

Wyjściem więc byłoby zamrożenie zbrojeń nuklearnych, a następnie rozbrojenie. Utrzymywanie potencjału nuklearnego może bowiem w każdej chwili grozić wybuchem wojny. Tym groźniejszym, bo przypadkowym. Już kilkakrotnie świat otarł się o niebezpieczeństwo konfliktu nuklearnego. Nim jednak doszło do odpalenia rakiet z jądrowymi ładunkami można było sobie wyjaśnić błędność rozpoznania i odwołać alarm. Do tej pory był na to czas — około pół godziny. Po zainstalowaniu „eurorakiet" czas ten skraca się do 8 minut. Pomyłka w rozpoznaniu, awaria urządzeń, błąd w obliczeniu grożą już nieuchronnością wojny.

Dziś pędzimy żywot na beczce pełnej prochu, ale lont do tej beczki jest dość długi, aby można było go w porę zgasić. Teraz może być tak, że i beczka nam się powiększy i lont się skróci. Któregoś dnia możemy w ogóle się nie obudzić.

III.

Przyszłość świata zależy od pokoju. Pokój natomiast zależy w dużej mierze od siły, spoistości i jedności państw socjalistycznych. Nie jest to sprawa tylko zdolności do obrony tych państw, a w tym państw Układu Warszawskiego. Jest to również zdolność państw socjalistycznych do szybkiego i sprawnego rozwiązywania wewnętrznych sprzeczności. Każde słabsze państwo socjalistyczne, targane wewnętrznymi sprzecznościami, staje się nieuchronnie przedmiotem zainteresowania sił reakcji i imperializmu. Ostatni polski kryzys jest tego najlepszym dowodem.

Istnieje zatem współzależność między pokojem wewnętrznym a zewnętrznym, między spokojem i porządkiem wewnątrz kraju a pokojem na świecie. Żadne społeczeństwo nie może rozwijać się nie pokonując i rozwiązując wewnętrznych sprzeczności. Musi to robić we właściwym czasie, we właściwy sposób, aby te sprzeczności nie rodziły konfliktów, nie tworzyły podstaw kryzysu. Kryzysy bowiem wybuchając w jednym kraju oddziaływują ujemnie na inne. Kryzys polski lat 1980—1981 groził konfliktem o szerszych wymiarach, zagrażał pokojowi w Europie, a kto wie, czy nie na świecie. I jak by na tę sprawę nie patrzeć, to — obiektywnie rzecz biorąc — wewnętrzne konflikty w Polsce przyczyniły się do zaostrzenia sytuacji na świecie. W kołach reakcji na świecie zrodziła się nadzieja na wyrwanie Polski ze wspólnoty państw socjalistycznych, a przez to osłabienie obozu socjalistycznego, Polska zapewniała, że pozostanie socjalistyczna, ale socjalizmu trzeba było bronić jak niepodległości, jak pokoju. Te trzy pojęcia: socjalizm — niepodległość — pokój są nierozerwalne, ściśle się ze sobą łączą, zazębiają, tworzą jedność. Tak więc umacniając państwo socjalistyczne, wychodząc z kryzysu, porządkując naszą gospodarkę, przywracając warunki dla wykorzystania naszego potencjału ekonomicznego, doskonaląc system zarządzania i sprawowania władzy nie tylko działamy na rzecz naszego suwerennego bytu, ale i na rzecz pokoju.

IV.

Te prawdy nie do wszystkich docierają. Z narodowej megalomanii, irracjonalizmu, polskich mitów, mitycznego myślenia rodzą się poglądy o szczególnej roli Polski, o jej szczególnym miejscu „pomiędzy Wschodem a Zachodem". Są to poglądy nie liczące się z historycznymi doświadczeniami naszego narodu i państwa.

W wywiadzie dla „Trybuny Ludu" minister Stefan Olszowski powiedział między innymi:

„Mówi się często o „geopolityce", o „warunkach geograficznych Polski". Miesza się w istocie tu dwie różne sprawy. Realia geograficznego położenia Polski usiłuje się przeciwstawić fundamentalnym interesom politycznym państwa i narodu. Właśnie lata walki, a zwłaszcza doświadczenia okupacji hitlerowskiej dały podstawy do nowego, perspektywicznego rozumienia najważniejszego interesu państwa i narodu w oparciu o przyjazne ułożenie stosunków z radzieckim sąsiadem. Zrozumienie, że racja stanu państwa polskiego może być i jest wzmacniana jego geopolitycznym położeniem stanowi wielki dorobek lewicy polskiej. Po raz pierwszy to właśnie „geopolityczne położenie" w nowym kształcie ustrojowym dało Polsce spokojny byt narodowy.

Przed rozbiorami Polska musiała rozglądać się po ówczesnym świecie, szukając sojuszników, bowiem miała wokół mocarstwa, które dążyły do jej podziału. W czasach powstań narodowych szukanie pomocy w innych rejonach Europy było dążeniem naturalnym, gdyż zaborcy byli skłonni tylko do współpracy przeciw odrodzeniu się Polski. Na krótko przed I wojną światową zaczęły kształtować się przekonania, że Polska może zdobyć autonomię w oparciu o jednego z zaborców. Przebieg wojny i Rewolucja Październikowa przekreśliły te rachuby i Polska odzyskała niepodległość. Ale i wówczas nie mogła zmienić orientacji. Klasowy interes burżuazji, jak i różnice ustrojowe uniemożliwiała jakiekolwiek porozumienie ze Związkiem Radzieckim, nawet wobec coraz wyraźniej rysującego się zagrożenia ze strony faszystowskich Niemiec. Ani zagarnięcie Austrii przez hitlerowskie Niemcy, ani Monachium, ani zajęcie Czechosłowacji nie rozwiały — i nie mogły rozwiać — złudnych nadziei, że Anglia i Francja pomogą walczącej Polsce i uderzą z drugiej strony na Niemcy.

Również w czasie okupacji, kiedy naród polski w patriotycznym zrywie zmagał się z okupantem, kiedy po klęsce Adolfa Hitlera pod Stalingradem i Kurskiem jasnym stało się, że na froncie wschodnim inicjatywę przejęła Armia Czerwona, nadal liczono się z możliwością nadejścia wyzwolenia z Zachodu, choć ze Wschodu było bliżej i wojska radzieckie parły nieprzerwanie na Zachód. Również powstańcy warszawscy bardziej liczyli na pomoc z dalekiej Anglii niż na pomoc zza Wisły.

Takie — w wielkim uproszczeniu są dzieje polskiej orientacji politycznej. Z dziejów tych polska lewica — a więc komuniści, socjaliści, ludowcy, demokraci — wyciągnęła konieczne wnioski. Przyszłość Polski zależała od współpracy i dobrych stosunków z sąsiadami. Dziś nie ma „płonących granic", a sąsiedzkie stosunki wzmacnia ideowa wspólnota.

„Sojusz z ZSRR — powiedział minister Stefan Olszowski w cytowanym już wywiadzie dla „Trybuny Ludu" — *to nie tylko gwarancja bezpieczeństwa, choć jest to jego element zasadniczy, to także wszechstronna partnerska współpraca, oparta o trwały fundament ideowej wspólnoty".*

Tak więc miejsce Polski jest nie „między Wschodem a Zachodem", ale jest ono konkretnie określone w systemie sojuszy nie tylko państwowych, ale i klasowych. Znajduje się ono we wspólnocie państw socjalistycznych. A trwałość tego miejsca zależy między innymi od sposobu, w jaki rozwiążemy wewnętrzne problemy, od tempa, w jakim wyjdziemy z kryzysu przywracając Polsce jej znaczenie gospodarcze, a przez to i polityczne.

Warto też uświadomić sobie, że właśnie przez to, iż Polska znajduje się we wspólnocie państw socjalistycznych, może spokojnie rozwiązywać swoje sprawy wewnętrzne, licząc nie tylko na pomoc, ale i na ochronę jej interesów na forum międzynarodowym.

V.

Czy zatem ktoś nas straszy wojną?

Nie ma co tu straszyć. Groźba wojny wisi obiektywnie nad światem. Trzeba po prostu mówić o tym, trzeba uświadamiać ludziom istotę zagrożenia nie tylko bytu każdego z nas, ale całej cywilizacji, całej ludzkości. Mało do tej pory u nas się o tym mówiło. Zajęci własnymi sprawami nie dostrzegaliśmy — albo dostrzegaliśmy w sposób niewystarczający — ich związku ze sprawami ogólnymi. To prawda, że los Polski zależy wyłącznie od Polaków. Ale też, abyśmy mogli spokojnie uporządkować własne sprawy, abyśmy mogli doprowadzić do końca dzieło naprawy Rzeczypospolitej, niezbędny jest też pokój na świecie. Muszą to zrozumieć wszyscy, a przede wszystkim młode pokolenie.

Kilka dni temu „Sztandar Młodych" opublikował wyniki rozpisanej ankiety: „Młodzież o sobie". Pytano tam, czego kierownictwo kraju oczekuje od młodzieży? Na pytanie to przeszło 60 proc. ankietowanych „SM" odpowiedziało, że *„poparcia, zrozumienia i cierpliwości, że za parę lat coś się zmieni na lepsze"*, a prawie 40 proc. — że oczekuje *„dobrej pracy"*. Coś się zmieni na lepsze. Samo? To też przykład magicznego myślenia. Ktoś za nas załatwi pokój, ktoś coś u nas zmieni na lepsze. A co my?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Egzaminy wstępne — wielkie emocje

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

Egzaminy wstępne na wyższe uczelnie tworzą nastrój podniecenia, plotek, nieraz bzdurnych pogłosek wśród znacznego grona osób. Wszak kandydaci na studia mają rodziców, rodzeństwo, przyjaciół, znajomych — wszyscy oni okazują zainteresowanie ich losem — zdadzą czy nie zdadzą?

W warunkach, kiedy nauka jest bezpłatna, a studenci korzystają z bardzo szerokiego systemu stypendialnego, nie jest obojętne dla społeczeństwa, czy te olbrzymie fundusze są zużywane celowo i czy wykształcona za państwowe pieniądze kadra znajdzie zatrudnienie w wyuczonym zawodzie. Stąd konieczność wyznaczania limitu miejsc na poszczególne specjalności.

Przy z reguły większym napływie kandydatów niż uczelnie mają miejsc i warunków dla realizowania prawidłowego procesu kształcenia, selekcja jest konieczna, zwłaszcza, że znaczna liczba chętnych nie jest w dostatecznym stopniu przygotowana do studiów wyższych. W latach ubiegłych ponad 40 proc. zdających prezentowało żenująco małe wiadomości i w ogóle nie nadawało się do studiów wyższych.

W bieżącym roku prasa doniosła o rzekomo dobrym przygotowaniu abiturientów szkół średnich i w konsekwencji o dobrych wynikach egzaminów maturalnych. Za wcześnie jeszcze na werdykt. Właśnie egzaminy wstępne będą tak, jak i corocznie, doskonałym sprawdzianem poziomu szkoły średniej.

Muszę przypomnieć artykuł, który w okresie matur ukazał się w „Dzienniku Łódzkim", gdyż autor z dziwną beztroską i nieznajomością problemu twierdził, że szkoła średnia przygotowuje swych podopiecznych do prezentowania problemów i szerszych zagadnień ujmowanych syntetycznie, podczas gdy jakoby na egzaminie na wyższą uczelnię żądają od nich faktów i faktów i nie biorą pod uwagę tak ważnej sprawy, jak samodzielność myślenia oparta na faktach.

Jako wieloletni egzaminator, członek Komisji Egzaminacyjnych, wreszcie kilkakrotny przewodniczący muszę poinformować Czytelników, że od lat komisje czekają na przejawy samodzielnego myślenia kandydatów, a muszą zadowalać się faktografią, „wodolejstwem" a często i żenującym brakiem znajomości podstawowych wydarzeń, dzieł literackich czy terminów, jeśli chodzi o nauki przyrodnicze.

Egzaminatorami są z reguły pomocniczy pracownicy naukowi kierunków kształcących nauczycieli. A więc znają programy i proces dydaktyczny, a egzekwują wiadomości, które są zawarte w podręcznikach i problemy, które powinny były być omawiane w szkole.

Zdarza się, że kandydat prezentuje szersze wiadomości (niestety rzadko), ale to jest zapisywane skrupulatnie na jego korzyść i uzyskuje on najwyższą ocenę.

W skład Komisji Egzaminacyjnych wchodzą delegaci Kuratorium i oni mają obowiązek interweniowania, gdyby wymagania egzaminatora wykraczały poza materiał przerabiany w szkole.

Pytania egzaminacyjne nie są pomysłem egzaminatora. Są układane wcześniej, przesyłane do akceptacji do Kuratorium i podane na tablicach ogłoszeń uczelni do wiadomości kandydatów.

Często „zawiedzeni" szukają usprawiedliwienia niepowodzenia właśnie w podawaniu nieprawdziwych danych treści pytania lub że zapomnieli akurat jakiegoś szczegółu (daty, nazwiska, nazwy czy terminu) i dlatego otrzymali ocenę niedostateczną.

Jest to zwykły wymysł. Egzaminator i Komisja oceniają całość odpowiedzi. Doskonale zdają sobie sprawę z tego, że zdenerwowany kandydat może przekręcić datę i nazwisko, że istnieją tzw. „luki w pamięci", że pytanie, chociaż mieści się w programie, jest trudne i trzeba zastosować „ulgową taryfę".

Dla wyników egzaminów ustnych nie jest sprawą obojętną, jaka atmosfera panuje na sali i w kuluarach. Komisje Egzaminacyjne starają się (nie wiem czy wszędzie) okazać zdającym maksimum serdeczności, rozładować nastrój napięcia. A jeśli chodzi o „kuluary" to od organizacji studenckich zależy, czy ich delegat nawiąże bezpośredni kontakt z czekającymi, wprowadzi ich w „technikę" przeprowadzania egzaminu, stworzy atmosferę koleżeństwa. Rola delegata studentów w komisjach egzaminacyjnych wciąż jest nie doceniana i są oni zbyt mało aktywni, właśnie jeśli chodzi o dodanie otuchy przyszłej koleżance czy przyszłemu koledze.

Obecnie na wszystkie wyższe uczelnie w kraju (oprócz Akademii Medycznych) jest mniejszy napór kandydatów. Na Uniwersytet Łódzki na wszystkie wydziały wpłynęło do 20 czerwca około 3 000 podań o dopuszczenie do egzaminów wstępnych (na 1450 miejsc). W ubiegłym roku było nieco mniej niż 3500 podań. To prawda, że podania można jeszcze składać do 1 lipca, ale raczej będą to wypadki odosobnione i nie zaważą na ogólnej liczbie kandydatów.

Można także do 1 lipca zmienić wybrany kierunek studiów i to dowolnie.

Napływ podań na poszczególne kierunki znacznie różni się od ubiegłorocznego. Wbrew dotychczasowym doświadczeniom dużą popularnością cieszą się kierunki kształcące nauczycieli.

Od chwili uruchomienia w Łodzi kierunku nauczania początkowego liczba zgłoszeń była zawsze mniejsza od liczby miejsc. Teraz o 60 indeksów nauczania początkowego (klasy I—IV) ubiega się aż 240 kandydatów, a więc zawiedzionych będzie niestety dużo, gdyż przyznany limit miejsc można przekroczyć co najwyżej o kilka osób i to po uzyskaniu zgody Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki.

Oprócz egzaminów kierunkowych kandydaci na przyszłych nauczycieli klas niższych muszą przejść specjalne badania świadczące o dobrym słuchu, poprawnej wymowie i uzdolnieniach manualnych (roboty ręczne).

Również i inne kierunki pedagogiczne mają nadmiar kandydatów. I tak na pedagogikę społeczno-opiekuńczą złożono 140 podań na 20 miejsc, a na pedagogikę kulturalno-oświatową 100 podań na 20 miejsc. Natomiast wychowanie przedszkolne nie cieszy się większym zainteresowaniem, gdyż dotychczas wpłynęło 55 podań na 30 miejsc.

Na filologię polską, germańską i angielską oraz historię liczba kandydatów do ilości miejsc wyraża się proporcją 1:3,5, a na filologię rosyjską 1:2.

W przeciwieństwie do lat ubiegłych matematycy mają powód do radości, gdyż o 90 miejsc będzie rywalizować między sobą 160 kandydatów. Natomiast fizyka i chemia pozostają kierunkami deficytowymi. Tam wystarcza złożenie egzaminu z wynikiem dostatecznym, aby uzyskać upragniony indeks.

Specjalności ekonomiczne nie cieszą się zbytnią popularnością z wyjątkiem handlu zagranicznego, gdzie 5 kandydatów będzie walczyć o jedno miejsce. Na wydziale prawa utrzymuje się, zresztą już od kilku lat, nadwyżka zdających nad ilością miejsc, jak 3:1, ale w ubiegłym roku pomimo napływu kandydatów trzeba było sięgnąć na inne kierunki, by wypełnić limit miejsc.

Na biologię i geografię szansa dostania się nie jest zbyt ciężka, bowiem liczba zgłoszeń nieznacznie przewyższa ilość miejsc.

Na wszystkich kierunkach rokrocznie widzimy i to pokaźną grupę kandydatów, którym nie powiodło się w ubiegłym roku lub przed dwoma laty. Przerzucają się oni z kierunku na kierunek. Próbowali dostać się na prawo, kolejno szukają szczęścia na filologii polskiej lub socjologii. Są także wytrwali, którzy uporczywie powtarzają próby dostania się na wybrany kierunek i często za drugim lub trzecim razem osiągają cel.

Niestety uzdolnienia i wiedza kandydatów są różne. Mamy zawsze grupę przeciętniaków, którzy nie potrafią oderwać się od słabej trójki i niestety odpadają w konkursie. Ta grupa zasługuje na współczucie i zainteresowanie się ze strony organizacji młodzieżowych i instytucji organizujących tzw. studia pomaturalne. Dla nich po podjęciu pracy zawodowej istnieje przecież szansa dostania się na studia zaoczne.

Niestety już dziś, przed zakończeniem egzaminów trzeba powiedzieć, że zawiedzionych będzie sporo, bez względu na wynik egzaminów, gdyż uczelnia musi przestrzegać limitu miejsc (z nieznacznymi odchyleniami) dla prawidłowego realizowania programu.

Liczy się przy egzaminach przede wszystkim wiedza zdających, zaś punkty preferencyjne odgrywają tylko rolę pomocniczą. Dlatego życzę kandydatom zaprezentowania rzetelnych wiadomości, a tym, którzy odpadną w konkursie, choć egzamin złożyli, dostania się na kierunek, gdzie pozostały miejsca nie zapełnione i zostaną przeprowadzone egzaminy dodatkowe w terminie jesiennym.

Unu Granda Familio

PAWEŁ TOMASZEWSKI

1.

W 1945 roku, niedługo przed zakończeniem wojny hrabiemu Folke Bernadotte, bratankowi króla Gustava V stojącemu na czele misji Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, udało się uwolnić z obozu koncentracyjnego Ravensbrück kilka tysięcy więźniarek — w tym około 4 tysięcy Polek. Przewieziono je pociągiem do Szwecji, gdzie mogły wrócić do zdrowia i normalnego życia.

W transporcie, który dotarł do Malmö znajdowała się między innymi nauczycielka z Łodzi, **Irena Gembalska.** Wraz z towarzyszkami niedoli zakwaterowano ją w jednej z miejscowych szkół. Po obozowych przeżyciach troskliwość działaczy Czerwonego Krzyża wydawała się wprost niewiarygodna. Znów traktowano ją jak człowieka.

Irena Gembalska znajdowała się przy tym w tej szczęśliwej sytuacji, że miała w Malmö znajomego. Długo jednak wahała się, czy dać mu znać o swoim tu pobycie. Po pierwsze dlatego że była to znajomość tylko korespondencyjna, przerwana wraz z wybuchem wojny. Po drugie — w takiej sytuacji... Po trzecie wreszcie — nie znała jego adresu. Pamiętała tylko, że nazywa się Hary Nilson i jest antykwariuszem. Z pomocą opiekunek z Czerwonego Krzyża zajrzała do książki telefonicznej, a tam — tylu Nilsonów, co u nas Kowalskich. Ale przecież udało się w końcu odnaleźć „jej" Hary'ego Nilsona. Zjawił się w szkole niemal natychmiast po telefonie i choć uwolnione więźniarki przechodziły ścisłą kwarantannę, wszedł jakoś do środka. Przywitali się serdecznie...

2.

W 1931 roku Irena Gembalska ukończyła w Łodzi seminarium nauczycielskie, a że na pracę w zawodzie nie było na razie żadnych widoków, chętnie zapisała się na kurs języka esperanto, prowadzony przez nauczycielkę francuskiego, Małgorzatę Żłobicką. Po ukończeniu kursu dostała adres szwedzkiego esperantysty, z którym mogła nawiązać kontakt. Napisała do niego list i — w ten właśnie sposób zaczęła się jej, **trwająca już pół wieku znajomość z Gunnarem Elkiem.** Później, po kongresach esperantystów w Warszawie i Londynie, w których uczestniczyła grono jej korespondentów rozszerzyło się — między innymi właśnie o Hary'ego Nilsona z Malmö.

3.

Zdawałoby się — niewiele znaczący epizod, przypadek, a jednak... Dlatego nie ma chyba wielkiej przesady w twierdzeniu, że **esperantyści, to jakby jedna wielka rodzina.** (Tak właśnie brzmi tytuł artykułu). Życie dowiodło tego już nieraz.

Dziś we wszystkich prawie większych miastach świata działają delegaci **Światowego Związku Esperantystów,** zrzeszającego ponad 40 krajowych organizacji esperanckich, a także członków indywidualnych. Jeśli więc jesteś esperantystą i znajdziesz się w Neapolu, Jokohamie czy Chicago, możesz odnaleźć delegata SZE, a zawsze ci pomoże: udzieli wszelkich możliwych informacji, znajdzie nocleg, gdy masz z tym kłopoty, zaopiekuje się tobą. I nie ma znaczenia kim czy skąd jesteś. Wystarczy, że znasz esperanto.

Polski Związek Esperantystów zrzesza obecnie ponad 8 tys. członków. Nie jest to dużo, zważywszy zwłaszcza, że esperanto powstało właśnie nad Wisłą, ale — wypada powtórzyć — nie wszyscy przecież są zrzeszeni. W samej tylko Łodzi w kursach nauki języka uczestniczy rocznie około 200 osób.

Nie przez przypadek czy lokalny patriotyzm padł tu przykład Łodzi. **Jest to bowiem drugi pod względem wielkości** (po Bydgoszczy) **ośrodek esperanto w Polsce.** Ośrodek, który liczy się w kraju i za granicą, ma swój dorobek i tradycję.

4.

Już w 1908 roku a dokładnie — 20 września powstaje w Łodzi pierwsza terenowa filia Polskiego Towarzystwa Esperantystów w Warszawie. W zebraniu organizacyjnym uczestniczy 50 osób. Wśród nich — prezes PTE, **Antoni Grabowski,** autor przekładu na esperanto „Pana Tadeusza" Przewodniczącym łódzkiej filii PTE wybrany zostaje **Franciszek Ender,** obok którego w skład zarządu wchodzą: prof. **Andrzej Lipski, Alfred Dominikiewicz, Stanisław Miszewski** i dr **Arkadiusz Goldenberg.** Niedługo w dwóch łódzkich gimnazjach prowadzone są już kursy nauczania języka, powstaje kółko dramatyczne i 30-osobowy chór.

W roku 1909 **Stanisław Miszewski,** księgarz i wydawca, rozpoczyna wydawanie serii książek w języku esperanto. Jako pierwsze ukazują się „Bilet miłosny" M. Bałuckiego i „A..B..C.." E Orzeszkowej w tłumaczeniu F. Endera. Potem — „Unuaj agordoj" („Pierwsze nastroje") — zbiór oryginalnych esperanckich poezji **Stanisława Karolczyka i Stanisława Brauna.**

Nazwiska obu tych poetów na stałe związane są z ruchem esperanckim i niejednokrotnie pojawiają się w 8-tomowej kronice łódzkich esperantystów, obejmującej lata 1908—1914 a pisanej przez znanego księgarza **Włodzimierza Pfeiffera.** Pojawia się tam również nazwisko innego łódzkiego poety, którego znają dziś każde dziecko choć tylko nieliczni wiedzą, że był on esperantystą i już w 1911 roku tłumaczył na esperanto wiersze m.in. L. Staffa. Mowa oczywiście o **Julianie Tuwimie.**

Po burzliwych latach I wojny światowej łódzcy esperantyści znów rozpoczynają wspólne działania na rzecz popularyzacji ukochanego języka. Publikują artykuły na jego temat, tłumacza prowadzą kursy, wygłaszają prelekcje.

We wrześniu 1930 roku odbywa się w Łodzi IV Kongreso de Esperanto, czyli IV Ogólnopolski Kongres Esperantystów. W czasie jego trwania odsłonięta zostaje dwujęzyczna tablica pamiątkowa, poświęcona Dr Esperanto — **Ludwikowi Zamenhofowi,** umieszczona na jednym z budynków u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Zamenhofa (do 1920 roku — Rozwadowska). Dziś domu tego już nie ma. Przed paru laty został rozebrany, a na jego miejscu trwa budowa nowego. Czy znana dobrze wszystkim łodzianom tablica pamiątkowa wróci na swoje dawne miejsce? Prezes Oddziału Wojewódzkiego Związku Esperantystów, **Włodzimierz Wesołowski** zapewnia, że tak i to jeszcze w tym roku. Będzie więc to trzecie już jej odsłonięcie. Drugie odbyło się w 1946 roku, gdyż w czasie okupacji łodzianie ukryli tablicę przed hitlerowcami, którzy ruch esperancki zwalczali ze szczególną zawziętością.

5.

Trudno o bardziej kontrastowe przeciwstawienie: doktryna hitlerowska — oparta na rasizmie i pogardzie dla drugiego człowieka, gloryfikująca gwałt i przemoc, nienawiść, sankcjonującą ludobójstwo; i idea międzynarodowego języka łączącego wszystkie narody, humanistyczna w każdym calu. Hitleryzm to zamknięty już — oby na zawsze! — rozdział w historii naszej cywilizacji. Powszechny język międzynarodowy to ziarno myśli ludzkiej, które dopiero zaczyna kiełkować, piękna idea, czekająca wciąż na swoją pełną realizację.

Być może realizacją jej będzie właśnie esperanto — jedyny z tzw. sztucznych języków, który przetrwał wiele lat i systematycznie się rozwija, zdobywając coraz to nowych zwolenników. Być może zaś i jakiś inny język, równie bliski wszystkim bez wyjątku narodom świata. Esperanto miało bowiem, ma i na pewno mieć jeszcze będzie wielu konkurentów. Na razie z rywalizacji z nimi wychodzi zwycięsko. Gorzej, gdy brać pod uwagę próby choćby zrównania się w popularności i znaczeniu na forum międzynarodowym z takimi językami jak: angielski, francuski, niemiecki czy hiszpański. Cóż, za tymi stoją wielkie narody, za esperanto — w skali globu — garstka zapaleńców, którzy wierzę, że kiedyś w przyszłości spełnią się ich marzenia o wspólnej mowie wszystkich ludzi. Dzięki tej wierze po każdej burzy dziejowej esperantyści potrafili odnaleźć się i zorganizować na nowo, tak jak choćby po II wojnie światowej.

6.

„W marcu 1945 r. przyjechałem do Łodzi" — pisze we wspomnieniach **Bolesław Monkiewicz.** — „Okazało się, że w Łodzi osiadło wiele esperantystów z Warszawy. Jesienią 1945 r. Stefan Rosłoniec zwołał zebranie esperantystów w swoim prywatnym mieszkaniu przy ul. Cegielnianej 30 m. 17. Nie pamiętam, czy na tym zebraniu, na które przyszło kilkanaście osób podjęto jakieś decyzje, czy też nie. Jak wynika z ogłoszeń w łódzkiej prasie (zachowały się u mnie wycinki) założycielskie zebranie Łódzkiego Oddziału Związku Esperantystów w Polsce odbyło się 14 lutego 1946 r. w lokalu Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ul. Zachodniej 72. W moim domowym archiwum zachowała się lista członków założycieli, obejmująca 15 osób. Dokonano wtedy wyboru Zarządu Oddziału, do którego m.in. weszli: **Bolesław Monkiewicz** — prezes, **Leopold Temerson** — wiceprezes i **Jan Andrzejczak** — sekretarz. (...) W zebraniu założycielskim wziął też udział prof. **Jan Muszyński** (ówczesny dziekan Wydziału Farmaceutycznego UŁ, gorący zwolennik i propagator języka esperanto — przyp. P.T.). Zachowała się u mnie również lista członków z tego okresu, na której **widzimy nazwiska profesorów Kotarbińskiego i Ułaszyna".**

W roku 1948 Oddział Łódzki liczy 48 zarejestrowanych członków, prowadzi 6 kursów nauczania języka, posiada bogatą bibliotekę, ofiarowaną po jednym ze zmarłych esperantystów i kiedy wydaje się, że teraz w nowym ustroju nie będzie już wreszcie żadnych przeszkód w rozwoju, przechodzi 7 lat stalinizmu, kiedy to za sprawą ówczesnych władz zorganizowany ruch esperancki przestaje w Polsce praktycznie istnieć. Dlaczego? I na to pytanie historia kiedyś na pewno odpowie.

7.

Październik 1956 roku przynosi upragnioną możliwość działania i propagowania idei L. Zamenhofa. Rosną szeregi łódzkich esperantystów, którzy znów zaczynają uczestniczyć w światowych kongresach. Pojawiają się ciekawe inicjatywy. Teatr Powszechny wystawia w języku esperanto sztukę Shimona Wincelberga „Kataki" czyli wróg" (przekład — **T. Markowski i J. Uspieński**) w wykonaniu **Czesława Przybyły i Lucjana Wiernka.** W kościele OO Jezuitów raz w miesiącu odprawiane są esperanckie msze. Na antenie Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia pojawiają się esperanckie audycje, których inicjatorem i redaktorem jest **Tadeusz Szewera.**

To tylko wybrane przykłady dokonań łódzkiego środowiska esperanckiego w ostatnich latach. W sumie było ich dużo więcej. Niektóre z pewnością zasługują na przypomnienie, choć przecież nie tylko spektakularne wydarzenia decydują o znaczeniu i zasięgu ruchu, o tym, czym w praktyce jest i może być esperanto.

Świat ma już raczej dawno za sobą okres wielkiej fascynacji dziełem L. Zamenhofa. Zniknęły gdzieś sensacyjne doniesienia, spekulacje na temat szans upowszechnienia języka międzynarodowego, zaciekłe spory jego zwolenników z przeciwnikami. Taka jest, niestety, naturalna kolej rzeczy. Niestety, bo w przypadku zjawiska — esperanto czasem aż ciśnie się na usta: a szkoda...

8.

Ale przecież **esperanto żyje i rozwija się.** W wielu rodzinach tradycja tego języka przechodzi z pokolenia na pokolenie. Od dziesiątków już lat ukazują się rozmaite esperanckie wydawnictwa. Powstają kolejne organizacje — narodowe, zawodowe, wyznaniowe... Rośnie oryginalna twórczość literacka w tym języku oraz liczba tłumaczeń.

W ostatnim czasie esperantyści stali się bardziej pragmatyczni (czego przykładem — większe nastawienie się np. na rozwijanie turystyki), odsuwając jakby ideowe aspekty ruchu na drugi plan. Jednych to niepokoi, innym — wprost przeciwnie — z nadzieją pozwala patrzeć w przyszłość. Kto wie, może właśnie tędy — przez turystykę, lepsze poznanie życia w innych krajach, szerszą wymianę informacji, wiedzie droga jedna z możliwych dróg do zbliżenia między narodami?

Ale zanim fakty upoważnią nas do takich uogólnień, esperanto na pewno zbliży do siebie, złączy bezinteresowną przyjaźnią wielu jeszcze ludzi tak choćby jak kiedyś Irenę Gembalską i Hary'ego Nilsona.

ROBERT GLUTH

Jaki będziesz przyszły medyku?

Oczywiście, autorowi ani w głowie nie powstała myśl o przeprowadzeniu badań socjologicznych nad studentami Akademii Medycznej w Łodzi — chodziło, krótko mówiąc, o rodzaj sondy wyrywkowej, odpowiadającej w jakiś sposób regułom gry stosowanym przez socjologów. Biorąc pod uwagę, że masę statystyczną miałem dość pokaźną (kilka tysięcy aktualnych studentów AM i ponad tysiąc kandydatów), na zasadzie całkowicie losowej zwracałem się z głupia frant z ankietą wydumaną przez siebie samego.

Ankieta brzmiała:

1. Z czym kojarzy Ci się słowo „nadzieja"?

2. Z czym kojarzy Ci się słowo „pomoc"?

3. Czy uważasz, że w pracy lekarza równie ważne jest serce dla chorego, jak wybitny perfekcjonizm?

4. Co sądzisz o współczesnej rodzinie?

5. Czy spodziewasz się, że przyszłe studia zapewnią Ci pełne przygotowanie do zawodu?

Pytania ankietowe opatrzyłem następującymi uwagami:

Uwaga 1: *Wierzymy, że napiszecie szczerą prawdę. Oczywiście, nie musicie tego uczynić. Ankieta jest całkowicie anonimowa i prosimy o podpisanie jej tylko imieniem.*

Uwaga 2: *Żadne z Was nie jest zobowiązane odpowiadać na wszystkie pytania. Natomiast dla jasności pożyteczne byłoby, gdybyście odpowiedzi swoje numerowali zgodnie z pytaniami.*

Tutaj trzeba dodać pewien niuans. Pytanie o rodzinę mogło być odczytane jako pewien ideał, o którym student bądź kandydat marzy. Ważniejsze jednak, aby to marzenie było rodzajem zawodowego credo. Przecież nikt inny, jak lekarz, nie powinien delikatnie ingerować w stosunki rodzinne. Jest cały szereg takich specjalizacji, gdzie profilaktyka rodzinna staje się niemalże podstawową czynnością medyka. Dość wymienić zawód psychiatry.

No, i tego się nigdy nie spodziewałem. To była bomba, proszę państwa! Przypomniał mi się nieco Gogol. Przecież mogłem, zaopatrzony w upoważnienie redakcyjne, zadawać na chybił-trafił pytania studentom AM. Wolałem jednak przespacerować się do gmachu Rektoratu, aby umówić się z którymś z wybitnych pedagogów, aby później porozmawiać na temat efektów wywiadów. Tymczasem, skądinąd przemiła pani, z jakiegoś z licznych referatów (zaznaczam, że nie z dziekanatu Wydziału Lekarskiego) wzięła moje upoważnienie, dopięła doń czysty arkusz ankiety i powiedziała, że gdzieś tak za tydzień sprawa zostanie omówiona, zweryfikowana itd., itd. Na moje nieśmiałe spostrzeżenie, że po raz pierwszy spotykam się z tego rodzaju traktowaniem dziennikarza, mogącego rozmawiać bez żadnego skrępowania z młodzieżą, pani urzędniczka odpowiedziała: „Ale rzecz jest napisana na maszynie." Ot, siła słowa pisanego. Przeprosiłem grzecznie. Na drugi dzień, gdy już w domach akademickich AM, za wiedzą kierownictwa, ankietowałem studentów — przyszedłem z kwiatami. Wielkości biurokracji też się coś należy.

No, ale przechodźmy ad rem. Odpowiedzi kandydatów na studia można z góry odrzucić. Były to bowiem wypracowanka, które z niejasnych dla mnie przyczyn miały ułatwić żmudną drogę przez egzaminy. Ileż tam było idealizmu, powołania, odpowiedzi zupełnie nie mających związku z ankietą. Dużo ciekawsze są natomiast wypowiedzi, którym poświęcimy większość materiału.

Tadeusz, student II roku wydziału lekarskiego AM, pisał krótko:

1. Nadzieja to wiara
2. Pomoc to czynienie dobrze innym
3. Najważniejsze w podejściu do pacjenta jest jednak serce, ale ważny jest perfekcjonizm
4. Rodzina jest pewną grupą społeczną, w której powinno mieszkać nie tylko serce i wiara, ale także rodzina powinna być zaopatrzona w dobre mieszkanie. To jest jakiś warunek sine qua non.
5. Przyszłe studia nie zapewnią przygotowania do zawodu. To jest całkowicie niemożliwe. Wyłącznie kontakt z ludźmi może zapewnić właściwe przygotowanie do zawodu.

Rzecz jasna, tę wypowiedź mógłbym pozostawić bez żadnego komentarza. Ale uderzające w relacjach młodego medyka jest silne akcentowanie wiary. To chyba dobrze.

Odpowiada *Krystyna z II roku wydziału lekarskiego AM;*

1. Nadzieja to wiara że coś zmieni się na lepsze
2. Pomoc to normalnie — przynieść ulgę w cierpieniu
3. W stosunku do pacjenta preferuję serce
4. Rodzina jest instytucją potrzebną, zapewniającą między innymi poczucie bezpieczeństwa, miłości i akceptacji.
5. Tak. Przyszłe studia zapewnią mi pełne przygotowanie do zawodu.

Odpowiada *Jolanta z IV roku wydziału lekarskiego:*

1. Nadzieja to coś, co każdy powinien mieć. Nie można żyć bez nadziei. W życiu nie wszystko układa się tak, jakby się tego oczekiwało, czasami wręcz odwrotnie. I tu właśnie pojawia się nadzieja, która pomaga, która pomaga wierzyć w to, że teraz bywa nie po naszej myśli, ale kiedyś będzie lepsze, dobre. Człowiek musi mieć nadzieję i musi w coś wierzyć. To pomaga żyć i pracować.
2. Człowiek może chciałby być całkowicie samodzielny, całkowicie liczyć tylko na siebie, ale jest to niemożliwe do zrealizowania. Każdy kiedyś był lub będzie w sytuacji, kiedy sam nie da rady i potrzebna mu będzie pomoc, możliwe, że to właśnie pomoc udzielona czyni coś, co w sposób zdecydowany pomoże. Pomoc jest właśnie tą sprawą nie tylko w kwestiach ważnych, ambitnych albo błahych. Szczególną rolę odgrywa ona dla mnie jako przyszłego lekarza, bo przecież pracę traktuję jako nieustanną pomoc, i to właściwie na każdym kroku.
3. Lekarz, który ma serce dla chorych, to właśnie lekarz. Perfekcjonizm jest rzeczą dobrą, ale ilu chorych zostało wyleczonych bez niego, a nawet samym dobrym słowem. Człowiek chory to człowiek inny, zagubiony, nieszczęśliwy, oczekujący serca. Trzeba go po prostu polubić.
5. Pełnego przygotowania nie zapewnią nigdy studia. Trzeba samemu zanurzyć się w fali zawodu, samemu się uczyć już w trakcie życia z chorymi. Studia to tylko ukierunkowanie i pewna podstawa.

Odpowiada *studentka, która nie podpisała się nawet imieniem:*

1. Słowo nadzieja kojarzy mi się z nieco lepszym życiem w przyszłości
2. Słowo pomoc kojarzy mi się z dobrem drugiego człowieka
3. Nie znoszę słowa perfekcjonizm, a jeśli chodzi o pytanie, nie wyobrażam sobie, by było inaczej, tylko że serce musi być sercem prawdziwego człowieka i tylko dla drugiego człowieka
4. Współczesna rodzina jest zjawiskiem niepokojącym. Myślę, że jest zbyt mało zżyta, mało ma sobie do powiedzenia, a to musi niepokoić. Ciągle tylko gonitwa za pieniądzem, za dobrem materialnym.
5. Pełne przygotowanie? To tylko marzenie. Studia dają mi jedynie pewne podstawy, ale nie pełne przygotowanie. To zapewni mi dopiero pierwsza praca.

Najciekawsze dla mnie były odmowy wypełnienia ankiet. *Dwie studentki wydziału farmacji* wyraźnie stwierdziły:

Nie mamy żadnego stosunku do słowa nadzieja, nie mamy żadnego wpływu na pomoc. Jako wydział farmacja jest piątym kołem u wozu Akademii Medycznej. Właściwie przeważa w nas tylko żal.

Trzech ankiet studenci nie przyjęli oświadczając, że żadnych oficjalnych sondaży nie uznają.

Przemiła Latynoska, którą wszyscy nazywają *Peruwianką* — ale sam nie jestem całkowicie pewien co do jej narodowości, przyjęła ankietę, oświadczyła, że wypełni ją w skupieniu... I znikła.

No, ale przejdźmy do pewnych wniosków. Na pewno — biorąc pod uwagę, że respondenci byli całkowicie przypadkowi — nasuwa się wniosek małego zaufania do zawodowego przygotowania przez długie, było nie było, studia. Ten motyw powtarzał się prawie zawsze. Druga sprawa, która była dla mnie wręcz szokująca, to preferencja „serca" nad perfekcjonizmem. W jednym przypadku przecież nawet w stosunku do perfekcjonizmu wyraziła się respondentka w sposób nienawistny. I tu tkwi podstawowa sprzeczność, bo przecież studia medyczne mają właśnie tego perfekcjonizmu uczyć.

Sam byłem w rękach lekarzy, którzy mi uratowali życie i o żadnym nie jestem w stanie powiedzieć, że preferował serdeczny stosunek do pacjenta. Tego raczej życzymy sobie od pielęgniarek i salowych. Wszyscy natomiast, którzy mieli ze mną do czynienia — od kardiologów poczynając a na chirurgach kończąc — zasługiwali na bezgraniczne zaufanie chorych dlatego, że wyśmienicie znali swój fach, że operacje im się udawały, diagnozy były trafne, a nieraz potrafili zarwać całą noc reanimując człowieka, bynajmniej nie z samarytańskiej dobroci, tylko po to, aby na swoim postawić.

Ostatnią rozmowę przeprowadziłem z doktorem medycyny, *Ryszardem Zawadzkim,* pierwszym sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR. Zadałem mu właściwie trzy pytania i jedno dodatkowe, na które zgodził się odpowiedzieć.

— *Wiele się mówi o tym, że młodzież przychodząca z liceów jest coraz gorsza, że nie daje sobie rady przy egzaminach, o czym świadczy ogromny odsiew.*

— Nie jestem tego zdania. Różne wypadki uczyniły, że ta młodzież, która do nas przychodzi, jest nieco dojrzalsza, a odsiew musi być, bo przecież kandyduje ponad 1 000 osób. Inna sprawa to odsiew w trakcie studiów. Wiąże się on po prostu ze zwykłymi życiowymi pomyłkami. Moda na medycynę jednak trwa. W tym roku egzaminy są centralnie zaprogramowane, odbędą się tego samego dnia, o tej samej porze, metodą testową — których to testów nie będziemy, my, pracownicy naukowi, znali ani chwilę przed rozpoczęciem egzaminów. Wyniki testów obliczy centralny komputer.

— *Czy to, że młodzież licealna brała udział w wielu manipulowanych zajściach ostatnich lat, nie wpłynie na to, że będzie z nią sporo kłopotów politycznych?*

— Nie sądzę. Według naszego rozeznania ta pierwszoroczna młodzież będzie nawet lepsza, no na pewno nie gorsza. My właśnie tam będziemy szukali naszych sojuszników.

— *Jak w tej chwili przedstawia się sprawa wychowawcza w Akademii Medycznej. Przecież czas jest raczej niesprzyjający.*

— Nikt w Akademii Medycznej sprawami wychowawczymi na dobrą sprawę nie zajmuje się, a właściwie do tej pory nie zajmował się. Po prostu wkładaliśmy w głowy młodych ludzi pewne prawdy werbalne, absolutnie nie starając się sprawdzić, jak one kiełkują w młodych mózgach. Upartyjnienie wśród kadry nie przedstawia się ani lepiej, ani gorzej niż w innych instytucjach czy zakładach pracy. Przy czym wykładowcy, czy asystenci, są ogromnie zaabsorbowani pracą dydaktyczną. Zdajemy sobie sprawę z wagi problemu, może za wcześnie o tym mówić, ale werbalizm w naszej pracy na pewno już nie będzie triumfować.

Pytanie dodatkowe:

— *Co jest dodatkową przyczyną niekorzystnych wpływów ideowych?*

— Tutaj trzeba od razu sobie powiedzieć, że w salach akademickich nie rozstrzyga się problem wychowawczy. Podobnie jak nie rozstrzyga się w domach akademickich. Jeżeli miałbym wskazać na moment rozstrzygający — to zawsze jestem zdania, że znajduje się on na styku praktycznym studenta ze szpitalnictwem i klinikami. Weźmy taki problem, jak nieład, nieoszczędność, lekceważenie pracy przez biały personel, no, i złe traktowanie pacjentów. Czy nie sądzicie, że taki przykład namacalny nie da się odrobić żadnym słowem?

Więc jaki będziesz, przyszły medyku? To zależy i od ciebie, i od twoich profesorów, i od stanu szpitalnictwa, od rygorystycznego przestrzegania ustawy o studiach wyższych... od wielu, wielu czynników. W tej chwili mogę postawić tylko znak zapytania. Jednak w każdym takim znaku kryje się odrobina nadziei.

Dokończenie ze strony 1

wania opiekuńczego.

Innym przykładem będzie 16-letnia Zosia. Dziecko panieńskie mieszkające wraz z matką i jej przyjacielem. „Ojczym", także nałogowy pijak, znęcał się fizycznie i moralnie zarówno nad dziewczyną, jak i matka. Fizycznie chciał je mieć obie. Dziewczyna, bardzo wrażliwa, nie mogła pogodzić się z takim stanem „rodzinnym" i uciekała z domu. Na naszą interwencję została umieszczona w domu dziecka..."

16-letnia Grażyna, (tak będę ją nazywał) ma już bogatą przeszłość „miłosną". W Milicyjnej Izbie Dziecka w Łodzi jest już trzeci raz. Za kilka dni przewiozą ją do Poznania, Izby Dziecka najbliższej miejsca stałego zamieszkania. W Łodzi była na „gościnnych występach". Puszczam magnetofon.

— Ciebie nie wiosna skusiła do ucieczki z domu? — pytam.

— *Nie, warunki domowe. Mam drugiego ojca i nie bardzo się z nim zgadzam. Nie wolno mi było nigdzie chodzić, nawet w dzień.*

— A twoją sympatię ojciec znał?

— *Tak, mieszkał na tym samym osiedlu, ale to nic nie pomogło.*

— Która to już twoja ucieczka z domu?

— *To już chyba... zaraz.. szósta albo siódma...*

— Ile miałaś lat, kiedy pierwszy raz uciekłaś z domu?

— *Piętnaście, od zeszłego roku. To tak co rusz, tak mnie kusi, koleżanki i koledzy...*

— Cały czas postępujesz tak samo — nadal utrzymujesz kontakty z mężczyznami, ale za pieniądze, i to zagraniczne?

— *Nie zawsze zagraniczne, polskie tysiączki też są dobre...*

— To o pieniądze ci chodzi?

— *Raczej tak, bo do przyjemności jest bardzo wielu kolegów, bardzo fajnych kolegów.*

— A czy — do rozmowy włącza się pani kapitan Kupińska — nie masz obrzydzenia tak oddając się za pieniądze, często w ciągu nocy kilku mężczyznom?

— *Nie zastanawiałam się nad tym, szłam na ślepo, na złość matce, która nie chciała mnie zrozumieć.*

— Dla tych zagranicznіaków byłaś tanią dziewczyną, za kilka dolarów.

— *Tanią?! Ten ktc ze mną był, to może i tak myślał, ale mi tego nie wypowiedział, bo bym wyciągnęła od niego więcej.*

— Gdzie to było, w hotelach?

— *Przeważnie, przecież ci z recepcji też chcą żyć. Naprawdę nie myślałam co robię, uciekłam z domu i potrzebowałam pieniędzy, a to był najlepszy sposób ich zdobycia. Ale teraz doszłam do wniosku, że trzeba z tym skończyć.*

— Mówiłaś to już wiele razy — stwierdza kpt. Kupińska.

— *Tak, ale teraz to już koniec.*

— Mówisz tak, bo jesteś tutaj.

— *Nie, nie dlatego, że jestem w Izbie Dziecka. We wrześniu kończę 17 lat, chcę iść do pracy, być w domu.*

— Czy liczysz na pomoc domu, możesz się jej spodziewać?

— *Właśnie. Kiedy pisałam tu wypracowanie, to napisałam, że nie wiem, czy będę w domu uważana za członka rodziny.*

— Nie masz tej pewności?

— *Nie miałam. Kiedy w sobotę przyjechała do mnie mama, rozmawiałam z nią i mama próbowała wybaczyć mi. Naprawdę obiecałam sobie i jej, że to będzie już koniec. Ale jak podejdzie do tego Sąd Rodzinny, tego nie wiem. Mam przecież wyrok i skierowanie do Zakładu Wychowawczego. Trzeba będzie odpokutować. Przeważnie mówi się, że człowiek błądzi raz, a ja zbłądziłam wiele razy, bardzo wiele razy.*

— I to za pieniądze, to już nie była ucieczka z domu dla buntu

— (westchnienie, ale trochę aktorskie) *Pieniądze pociągają, nie wszystkich może, ale mnie skusiły. Chciałam je mieć szybko i łatwo.*

— Wódkę lubisz?

— *Nie, nie piję. Wprawdzie palę papierosy, ale wódki nie piję.*

— Szczerze?

— *Szczerze!*

— Bo wiesz, myślałem, że na drogę płatnej miłości wkroczyłaś po pijanemu.

— *Pierwszy raz tak. Wciągnęły mnie koleżanki, które zaimponowały mi pieniędzmi, lokalami, zagranicznym towarzystwem.*

— Powiadasz, że się zmienisz? A to, co robiłaś, ta płatna miłość i pieniądze, to nie będzie cię ciągnęło?

— *Nie!*

— Pomijam pieniądze...

— *Nie, bo tak naprawdę to one nie były najważniejsze. Może o tyle, że się spotkało koleżankę, która też to samo robiła, także na ucieczce, no i mówi — taki i taki, za tyle i tyle, no i już...*

— Umawiamy się. Ta taśma z tą rozmową będzie zachowana w całości. Spotkamy się za rok. Ja cię znajdę gdziekolwiek byś nie była, nawet gdybyś była otoczona chmarą kumpli.

— *Gwarantuję, że wśród nich pan mnie nie znajdzie, naprawdę!...*

Odchodzi, tym charakterystycznym krokiem, po którym poznaje się kobiety wodzące mężczyzn pragnących miłości za pieniądze. Kapitan Kupińska także odprowadza ją wzrokiem.

Uciekinierzy

— *To już duży stopień demoralizacji. Będziemy starali się o miejsce w Zakładzie Wychowawczym.*

— Może po osiągnięciu pełnoletności nie wróci do „zawodu"?

— *Może, to zależy od wielu czynników i wielu ludzi. A takich dziewcząt trafia do nas wiele, za wiele.*

— A ileż jest chronionych przez gangi i alfonsów?

— *Właśnie.*

— Tu potrzebna jest szeroka pomoc społeczna, zwykłych ludzi — gości kawiarń i restauracji hotelowych oraz ich personelu.

— *Tak, za często i oni czerpią zyski z płatnych usług tych młodocianych uciekinierek.*

— Ja tej dziewczynie wierzę, mimo cynizmu i tego ironicznego uśmieszku w czasie całej rozmowy.

— *Trzeba jej wierzyć, tylko wtedy można zdobyć jej zaufanie, a ona z panem rozmawiała zupełnie inaczej niż z nami, ona panu uwierzyła, że chce jej pomóc.*

— Ważne, że wierzy jej matka i chce pomóc.

— *Tak, to połowa sukcesu. To wydaje mi się połową sukcesu, że może jeszcze zawróci z drogi nierządu.*

— Jeśli w domu faktycznie znajdzie ciepło, opiekę i zrozumienie...

Chwileczkę, chwileczkę! Miały być przykłady, relacje. Za wcześnie na wnioski i komentarz pedagogiczny.

Słusznie. Wracam więc do opowieści małych uciekinierów, tym razem wyjętych z wypracowań pisanych w Milicyjnej Izbie Dziecka w Łodzi.

Halina S., 15 lat

„Z domu uciekłam dlatego, że były częste kłótnie i bicie. Matka, kiedy wypije, wyzywa mnie i każe wynosić się z domu. Trudno tam wytrzymać i do domu nie chcę wracać..."

Jacek P., lat 11.

„To już nie dom, a piekło. Starzy nie rozmawiają ze sobą całymi dniami. Stale się kłócą. Próbowałem ich pogodzić, ale oberwałem takie lanie, że do dziś mnie boli. Wtedy uciekłem, może to ich otrzeźwi i zwróci uwagę, że jesteśmy rodziną, że potrzebuję ich rady i pomocy, a nie tylko ubrania, jedzenia i pieniędzy...".

Apolonia W., 16 lat.

„Ojca całymi dniami nie ma w domu. Mamy też. A ja potrzebuję z kimś porozmawiać i poradzić się. Kiedy mam jakieś kłopoty, a tata jest w domu, każe mi dać święty spokój, bo albo czyta gazety, albo ogląda telewizję, albo śpi. Mama znowu siedzi przed lustrem i stale gdzieś chodzi. Często słyszę skargi, że tata zmarnował jej życie. Kiedy tak zaczynają, to ja uciekam z domu, do Ryśka. Jest mi z nim dobrze, rozkosze pozwalają zapomnieć o domu, który jest tylko hotelem...".

Elżbieta S., 12 lat.

„...Mój dom stoi na południowej stronie. Mamy dwa mieszkania, to jest pokój i kuchnię. Mama przychodzi z pracy punktualnie, a tata jak chce i pijany. Rodzice w stosunku do mnie są źle usposobieni, stale mi dokuczają, sama nie wiem dlaczego. Odżywiają mnie bardzo słabo, odzywają się ordynarnie i szorstko. I tak będę uciekała, a kiedy będę starsza, to pójdę do prostytutek, przecież matka i tak mówi, że jestem mała kurwa...".

Jerzy N., 13 lat.

„...Dorośli karali mnie tak: jak wróciłem do domu, to mama powiedziała, żebym pokazał jaki dostałem stopień, a ja mówię, że dostałem piątkę, a mama żebym jej pokazał ten zeszyt i tę piątkę. To ja mówię, że zeszyt zostawiłem w szkole. Kiedy poszedłem spać, mama zajrzała mi do teczki i wtedy wydało się, że to była dwója. Kiedy rano wstałem, zaczęło się bicie, a ja krzyczę „tatusiu!". A tatuś jak się obudził to złapał pasa i jak mi dołał, że... na nic się zdało moje wołanie babci. Wołała siedzieć w kuchni, bo i ona by dostała...".

Znowu sięgam po taśmę, tym razem z fragmentem reportażu WOJSŁAWA RODACKIEGO, który wykorzystywałem w programie „Cztery pory roku". Sprawa dotyczy ucieczki 12-letniej Agnieszki.

— *"...Mamusia nie była dla mnie zła. Tylko mój ojczym. Jego nikt nie bije, tylko on mnie."* (szloch dziecka).

— Mamy tutaj wypracowanie Agnieszki „Dlaczego uciekłam z domu" — to kapitan Halina Kupińska — Agnieszka pisze: *„Dlatego uciekłam z domu ponieważ krzyczeli na mnie rodzice i mama mówiła, że odda mnie do domu dziecka lub do babci, albo gdziekolwiek, bo nie chce mnie widzieć na oczy. Wtedy pomyślałam sobie, że jak odejdę z domu to się ucieszy...*

— *Przed przyjściem do nas ojczyma* — znowu głos dziecka — *moja mamusia bardzo mnie kochała. Chciałabym być tylko z mamusią...*

— Agnieszka od kilku dni przebywa w Milicyjnej Izbie Dziecka — to znów kpt. Halina Kupińska — Mimo kilkakrotnych wezwań i zobowiązań matka nie zgłosiła się do nas...

Reporter w towarzystwie dzielnicowego odwiedza dom Agnieszki. Przy furtce spotykają matkę. Jest agresywna...

— *Chcę wiedzieć o co chodzi, co jest grane?*

— *Chodzi o pani dziecko* — mówi spokojnie dzielnicowy.

— *Wie pan, to jest dla mnie dno, dosłownie dno. Proszę mi wierzyć, ona wyszła do rodziny. Wyszła z domu rano w sobotę. Miał iść z Renatką (córka kuzynki — przyp. aut:) do „Uniwersalu". Miała wrócić za 45 minut...*

Głos Agnieszki: — *Przychodzę ze szkoły, odrabiam lekcje, to mama wypuszcza mnie żeby nie widział mnie ojczym, na dwie godziny... Mojej koleżance Ewie zazdroszczę, że jej tata nie bije, chociaż także dostaje złe stopnie... Pierwszy raz uciekłam z domu, bo ojczym mnie skatował za dwójkę, potem za dzienniczek... Powinnam porozmawiać z mamą, żeby on od nas odszedł, żeby on z nami nie mieszkał...*

— A jak mama zdecyduje się z nim zostać? — pyta reporter.

— *To wtedy ja odejdę. Wstaję rano przed szkołą, o 6-tej i mama wysyła mnie do sklepu, żebym kupiła chleb i mleko dla mojego kota, psa i kurek. A później wysyła mnie po wodę. Jak idą do rodziny, to zostawiają mnie w domu samą. Zapytałam kiedyś „powiedz mamusiu, kogo więcej kochasz, narzeczonego czy mnie? Powiedziała, że mnie. Ja mamusi we wszystkim wierzę....*

— *Ja z nią rozmawiałam* — to znowu matka — *Mnie się wydaje, że to ona powinna przemyśleć sprawę i zastanowić się nad tym, jaką krzywdę mnie wyrządziła, wszystkim nam, także mojemu przyszłemu małżonkowi.*

— Powiedziała, że chce być tylko z panią.

— *Ale ja z nią nie chcę być. I taka jest moja decyzja. Ja się jej brzydzę. Nie powinnam tego mówić, ale tak jest...*

Znowu dziecko.

— *Ja chcę być tylko z mamą, tak jak wtedy było..."*

Foto: Mirosław Zajdler

ROZMOWA Z PSYCHOLOGIEM

Tych nagrań z Milicyjnej Izby Dziecka słuchamy wspólnie z psychologiem, dr WOJCIECHEM WOJTOWICZEM. Chcę byśmy wskazali na przyczyny ucieczek dziecięcych. Pierwsza nasuwa się już sama. W większości zaprezentowanych tu przypadków ucieczka była jedynym (zdaniem dzieci) wyjściem z sytuacji rodzinnych.

— *Tak, bardzo często posądzamy dzieci o to, że są niegrzeczne, że to z ich wewnętrznych powodów dochodzi do ucieczek. Tymczasem rzeczywistość jest zupełnie inna. To nie przerosty wyobraźni, to nie fantazja i chęć poznawania świata, a brutalne traktowanie dziecka w jego najbliższym środowisku, w rodzinie i zachwianie poczucia bezpieczeństwa.*

— W domu brak zaufania i opieki, w szkole nie kontrolowane rozgrywki między uczniami i obojętność nauczycieli.

— *Ja nie wiem czy to obojętność. Nauczyciele nie zawsze o tym wiedzą i nie zawsze docierają prawdy. A dziecko nie potrafi samo sobie poradzić i właśnie ucieczkę uważa za jedyne wyjście z sytuacji, wychodząc z założenia, że można będzie zacząć od nowa. Ucieczka to także próba uwolnienia się od rodzinnych ograniczeń, a często od cierpienia.*

— Przerażające jest, że dzieci nie znajdują zrozumienia i opieki wśród ludzi im najbliższych, do których usiłują zwrócić się o pomoc. Ta wypowiedź 12-letniej Agnieszki jest wstrząsająca. Dla jej matki ważne jest wszystko, tylko nie dziecko.

— *Zwróć uwagę na to, że matka Agnieszki ma specyficzną i trudną sytuację własną. A takich kobiet i takich Agnieszek jest tysiące.*

— Masz rację, jak poinformował mnie mgr Tadeusz Michalski — wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania w Łodzi — w domach dziecka naszego województwa przebywa ponad 1000 dzieci, z których tylko 25 jest pełnymi sierotami. Pozostali mają rodziców, przynajmniej matkę.

— *Co drugie, trzecie dziecko z domów dziecka i prawie każdy z przebywających w państwowych zakładach wychowawczych mógłby opowiedzieć ci historie podobne do tych, które zawarłeś w opowieściach o Agnieszce czy o Grażynie.*

Jeżeli Agnieszka nie spotka na swej drodze ludzi prawych, którzy się nią zajmą, to za lat kilka może znaleźć się na drodze Grażyny. Bo tej nie wierzę w jej deklaracje, chyba że Sąd Rodzinny nie da już wiary i umieści w Zakładzie Wychowawczym. Ja też miałem okazję poznać jej przypadek i ją samą. To już dziewczyna głęboko zdemoralizowana i nie mamy gwarancji, że po osiągnięciu pełnoletności i wyjściu z zakładu nie wróci do „zawodu", na łatwy chleb poznany w czasie ucieczki pierwszej z powodu buntu na dom i rodzinę.

— Przeglądałem wiele wypracowań tych małych uciekinierów. Z prawie każdego wynikało, że rodzice nie mieli dla nich czasu. W pogoni za dodatkową pracą, za pieniędzmi i uciechami życia towarzyskiego, coraz mniej czasu mieli dla dzieci i ich spraw.

— *To nie wszystkie przyczyny ucieczek. Myślę jednak, że będzie jeszcze okazja do rozważań na ten temat. Spodziewam się, że artykułem tym wywołasz refleksje, niektórych zmusisz do myślenia, innych do podzielenia się uwagami nad swoją sytuacją rodzinną. Wbrew pozorom sprawy losu dzieci, nawet nie swoich, nie są ludziom obojętne.*

ZBIGNIEW KORZENIOWSKI

Dokończenie ze str. 1

„Technozbyt" (był naczelnikiem wydziału): „Jest pracownikiem energicznym, zdolnym i ambitnym."

LZG „Restauracje" (kier. działu zaopatrzenia materiałowego): „W stosunku do podwładnych wymagający. Wykazywał wiele zainteresowania działalnością przedsiębiorstwa i jego wynikami ekonomicznymi."

ZPB im. Boj. Rew. 1905 r. w Pabianicach (kier. organizacji i analiz): „...wykazał wiele zainteresowania działalnością przedsiębiorstwa w ogóle, w szczególności wynikami ekonomicznymi."

Tyle, jeśli chodzi o opinie wpięte do akt sądowych. Gdy się je czyta, rośnie przekonanie, że zarówno prokurator, jak i Wysoki Sąd po prostu przyczepili się do człowieka. No bo jakże to tak: świetny pracownik, organizator, zawsze na kierowniczych stanowiskach, a do tego, proszę tylko zwrócić uwagę! w każdym zakładzie, do tego o tak odmiennych profilach produkcyjnych, świetnie dawał sobie radę. Dziś mógł kierować budową domów, jutro produkować tkaniny, pojutrze układać menu dla najbardziej wybrednych smakoszy krajowych i zagranicznych. Wprost geniusz i tyle. I raptem posądzenie o branie łapówek, ba! nawet o to, że ustalał ich wysokość. I to będąc szefem **Spółdzielni Rzemieślniczej „Skóra"?** Czy aby na pewno nie zaszła tu jakaś pomyłka?

HISTORIA, JAK JĄ WIDZI WYSOKI SĄD

Kto komu uszył buty...

Spółdzielnia Rzemieślnicza „Skóra" w Łodzi zrzesza rzemieślników z terenu Łodzi: szewców, kaletników, kuśnierzy itp. Od 15 XI 1978 r. prezesem Zarządu — Kierownikiem Spółdzielni był Wiesław B., jego zastępcą od 2 I 1980 r. Szczepan P. Oskarżeni: Jan K., Henryk K., Józef Zbigniew D., Zdzisław G., Tadeusz Sz., Zenon Konstanty D., Jerzy L., Stanisław J. — są z zawodu szewcami, właścicielami prywatnych warsztatów szewskich i są członkami spółdzielni „Skóra". Natomiast Czesław G. od 1 VI 1980 r. pracował jako kierownik zaopatrzenia i zbytu w Centralnym Laboratorium Przemysłu Obuwniczego w Krakowie.

Zaopatrzenie rzemieślników — członków spółdzielni „Skóra" przebiegało dwutorowo: przez spółdzielnię i tzw. tranzytowe. Zaopatrzenie tranzytowe polegało na tym, że rzemieślnicy wyszukiwali na terenie kraju przedsiębiorstwa, które miały potrzebne im towary w nadmiarze i przeznaczone do upłynnienia. W przypadku wyszukania takich surowców zawiadamiali o tym spółdzielnię, otrzymywali ze spółdzielni zamówienie i upoważnienie do odbioru towaru i sami odbierali towar. Warunkiem otrzymania ze spółdzielni zamówienia i upoważnienia do odbioru towaru było uiszczenie przez rzemieślnika przedpłaty do kasy spółdzielni. Natomiast ostateczne rozliczenie gotówkowe następowało po nadesłaniu do spółdzielni faktury na nabyty przez rzemieślnika surowiec. Przy zaopatrzeniu tzw. tranzytowym pośrednictwo spółdzielni ograniczało się tylko do wystawienia zamówienia i upoważnienia, bo resztę formalności załatwiał sam rzemieślnik.

Natomiast zaopatrzenie w surowce rzemieślników przez spółdzielnię odbywało się w ten sposób, że spółdzielnia sprzedawała surowce rzemieślnikom po ustaleniu przez komisję ilości surowców przypadających na każdego zrzeszonego w spółdzielni członka.

Od kilku lat spółdzielnia „Skóra" otrzymywała surowce skórzane w ilościach znacznie mniejszych, niż wynikało to z potrzeb rzemieślników.

Ta sytuacja pogorszyła się jeszcze w r. 1980—81 i np. w 1951 r. spółdzielnia otrzymała na zaopatrzenie rzemieślników 3.393.96 m kw. skóry miękkiej — obuwniczej, co spowodowało, że rzemieślnicy mogli zakupić miesięcznie wprost minimalne ilości skóry, wystarczające na wykonanie kilku par obuwia.

Tę trudną sytuację wykorzystali oskarżeni Wiesław B., prezes spółdzielni „Skóra", osk. Szczepan P., zastępca prezesa oraz kierownik zaopatrzenia i zbytu Centralnego Laboratorium Przemysłu Obuwniczego w Krakowie Czesław G.

Spółdzielnia Rzemieślnicza „Skóra" nabywała surowce m. in. na giełdach garbarsko-skórzanych, które odbywały się w każdym kwartale roku, a organizowane były w Łodzi, Poznaniu, Gdańsku. Udział w giełdach, jako przedstawiciel spółdzielni „Skóra", brał Szymon P., zaś przedstawicielem Centralnego Laboratorium Przemysłu Obuwniczego był Czesław G.

W 1980 r. na jesiennej giełdzie Szymon P. poznał Czesława G. i wówczas G. dał do zrozumienia P., że może wyrazić zgodę na sprzedaż dla spółdzielni „Skóra" pewnych ilości skór miękkich, pod warunkiem, iż otrzyma korzyść majątkową. Wysokości tej korzyści bliżej nie określił.

Szymon P. oświadczył G., że spółdzielnia nie dysponuje takim funduszem, z którego mógłby przekazać mu korzyść majątkową i w tej sprawie porozumie się ze swoim zwierzchnikiem Wiesławem B.

Po powrocie z giełdy P. powtórzył rozmowę z G. Wiesławowi B., który po pewnym czasie wezwał P. do siebie i oświadczył, aby zaproponować tę transakcję rzemieślnikowi, który zgodzi się „zapłacić dodatkowo", bo szkoda tracić takiej transakcji, która ma wpływ na obroty spółdzielni, a następnie na premie dla pracowników".

MACHINA RUSZA I NABIERA ROZPĘDU

P. jednak ma jakieś skrupuły, bo oświadcza, że nie będzie rozmawiać na ten temat z rzemieślnikami, bo pracuje tu za krótko i nie zna dobrze nikogo, a przecież taka sprawa wymaga zaufania. Na tym stanęło. Ale w jakiś czas potem B. zawiadomił P., że znalazł, że jest taki, nazywa się Kazimierz S. i gotów jest dać łapówkę.

Tak więc S. otrzymał od prezesa B. zamówienie na skóry i wraz z P. pojechali do Krakowa. Właściwie jedna tylko sprawa zaprzątała ich umysł, a raczej umysł P.: jak wręczyć łapówkę Czesławowi G.? Ale wszystko poszło sprawnie, Czesław G. nie tylko pośpiesznie schował pieniądze, całe 10 tysięcy, ale powiedział, że jeśli ci z Łodzi chcą nabywać u niego skóry, muszą podnieść haracz. Od teraz trzeba płacić mu 100 złotych za każdy metr kwadratowy skóry.

Po powrocie sprawa zostaje przekonsultowana w zarządzie spółdzielni „Skóra". Prezes, a zarazem kierownik Wiesław Adam B. wręcz twierdzi, że ten G. to szubrawiec, ale przecież w zaistniałej sytuacji nie ma innego wyjścia. Trzeba mu dać. Ale co my będziemy z tego mieć? — pyta. — Nic, zupełnie nic. Więc decyduje, że każdy rzemieślnik, który będzie chciał nabyć skórę musi dostarczyć 300 zł ponad cenę urzędową za każdy jej metr kwadratowy. Rozliczenie będzie takie: 100 zł otrzyma Czesław G. w Krakowie, 100 zł on, prezes Wiesław B. i 100 zł jego zastępca Szczepan P..

Prezes B. był jednak ostrożny. Kiedy przyszedł do niego szewc Zenon D. i prosił o przydział skóry, powiedział, że owszem, ale trzeba dać komu trzeba 200 zł od każdego metra kwadratowego. Szewc D. szybko zebrał kolegów. Rada w radę zgodzili się. Kiedy przyszli do prezesa, ten powiedział, że sytuacja uległa zmianie i teraz jeden m kw. kosztuje już 300 zł.

W czerwcu 1981 dokonali przedpłaty 340 tys. zł i pojechali do Krakowa wioząc 45 tys. zł jako łapówkę dla G. Ale tam, kiedy skóry były już na samochodzie, Szczepan P. zażądał od szewców dodatkowo 140 tysięcy za załatwienie całej tej sprawy. Dali. Szczepan P. z tego dał Szymonowi G. 47 tys., resztę — 93 tys. — przywiózł do Łodzi i przekazał prezesowi B., który swojemu zastępcy odpalił „jedynie" 46 tys. Przeliczając całą transakcję (rzemieślnicy nabyli 460 m kw skóry), Czesław G. otrzymał od nich rzeczywiście po 100 zł za każdy metr kwadratowy.

Jesienią tegoż roku G. „podniósł" cenę: 400 zł za każdy metr skóry! Przecież na rynku jej nie ma, a ceny pną się w górę jak w gorączce. Gdy wiadomość dotarła do prezesa B., postanowił zagrać va banque: jeśli rzemieślnicy chcą z czegoś szyć buty, to niech płacą poza ceną oficjalną dodatkowo 3.000 zł łapówki za każdy nabywany metr kwadratowy skóry.

Ale zanim transakcja doszła do skutku, był 13 grudnia 1981 r. i sprawa nieco się skomplikowała. Znalazł się jednak szewc, Tadeusz Sz., dysponujący własnym samochodem i odpowiednią ilością paliwa oraz gotówki i powiedział, że pojedzie do Krakowa. Pojechali więc sporą grupką, z zastępcą prezesa Szczepanem P., który wiózł dla Czesława G. 170.000 zł łapówki. W sumie nabyli wówczas 408 m kw. skóry za 1.350.000 zł, wliczając w to pieniądze wręczone G.

Po powrocie do Łodzi do podziału pomiędzy prezesa B. a jego zastępcę pozostało 990.000 zł.

NIEWINNI CZARODZIEJE

Przed sądem Czesław G. wyjaśnia: „...to P. sam wepchnął mi 12 tys. zł, mówiąc, że chciałby się w jakiś sposób zrewanżować. Potem dał jeszcze 150 tys. złotych. Już przedtem obdarowywał mnie koniakiem marki „Maxim" i sam zaproponował, że będzie płacić po 400 zł od każdego metra kwadratowego skóry. Pieniędzy nie dotykałem, to P. położył na biurku kopertę. A skoro ją położył, to jej zawartość przeznaczyłem na własne cele".

Z wyjaśnień prezesa B.: „zarzuty są wyssane z palca, oparte na pomówieniu, bo zastępca Szczepan P. był zawsze do mnie źle ustosunkowany i teraz złośliwie twierdzi, że wymagałem jakichś pieniędzy. A tak w ogóle, to stosunki między nami układały się źle, nawet bardzo źle, bo P. cały czas robił mi koło pióra. Zaprzeczam, abym kiedykolwiek żądał lub otrzymywał korzyści majątkowe od rzemieślników bądź od mego zastępcy P. (cytat z protokołu przesłuchania: w tym miejscu wprowadzono do pokoju przesłuchań Szymona P., który w mojej obecności oświadczył, że do mego gabinetu przyniósł w teczce około 1.000.000 zł pochodzące od rzemieślników na zakup surowców skórnych i z tej sumy otrzymał on ode mnie 495.000 zł). Nigdy też nie mówiłem właścicielom prywatnych zakładów szewskich, by w związku z zakupem skóry wręczali mi bądź innym osobom haracz. (W tym miejscu wprowadzono do pokoju przesłuchań Zenona D., który oświadczył w mojej obecności, że w czasie rozmowy przeprowadzonej ze mną na terenie spółdzielni ja poinformowałem go, iż on w związku z zakupem skóry miękkiej musi płacić dodatkowo haracz w wysokości po 300 zł za każdy metr kwadratowy skóry").

Z zeznań Szczepana P.: „...udałem się z wcześniejszym żądaniem G. na róg ulicy, gdzie on mnie oczekiwał. Na rogu wyjąłem z aktówki pieniądze zawinięte w papier przebitkowy i zapakowane w kształcie paczki, który to pakunek wręczyłem G. W środku paczki pieniądze ułożone były po 100.000, zawinięte w papier przebitkowy...".

„...prezes B. zapytał czy odliczyłem dla siebie pieniądze, odpowiedziałem, że jeszcze nie. Wręczył mi ponownie pieniądze, które mu wręczyłem przed chwilą i wyszedłem do toalety, gdzie odliczyłem 495.000 zł, które zatrzymałem dla siebie, a drugą część pieniędzy w kwocie 495.000 zł przekazałem bez udziału osób trzecich prezesowi Wiesławowi B. Prezes otrzymane ode mnie pieniądze włożył do biurka...".

FINAŁ I KILKA REFLEKSJI

W aferze skórzanej, która sporym echem odbiła się wśród rzemieślników zrzeszonych w **Spółdzielni Rzemieślniczej „Skóra" w Łodzi**, zapadły już wyroki. *Trzy główne persony dramatu* poszły na wikt i opierunek zakładów karnych, ośmiu, obok kary grzywny, skazanych zostało na kary pozbawienia wolności z zawieszeniem. Z werdyktem sądu nie zgodzili się ani sami oskarżeni, ani prokurator. Złożono stosowne odwołania.

Jednakże wertując akta prokuratorskie i sądowe nie mogę oprzeć się kilku refleksjom. Po pierwsze: jak to możliwe, że ludzie postawieni na odpowiedzialnych stanowiskach, choć te stanowiska zmieniali wielokrotnie, byli przez nadrzędne władze nolubieni? Ktoś przestawiał pionki na szachownicy naszej gospodarki obdarzając ich zaufaniem i wierząc w ich nieomylność, prawość i uczciwość. A może kierowano się zasadą: nie nadajecie się w budownictwie, pójdziecie do przemysłu, a jeśli tam nie poradzicie, damy was do rzemiosła... Ot, taki „podrzutek", co to wszędzie można go posadzić i będzie reprezentował.

Inna refleksja: w aktach roi się od podań i próśb o uchylenie aresztu tymczasowego. Jako uzasadnienie podaje się zły stan zdrowia zatrzymanego. Więc jak to jest: człowiek może pracować, wykonywać spory wysiłek, często niedojadać, być pod presją zadań, planów, wytycznych itp. i jest wszystko w porządku, jest zdrowy. Gdy znajdzie się nagle w odosobnieniu ,pozbawiony wszelkich trosk, za to mający sporo czasu na medytacje — okazuje się, że jest chory, właściwie wrak ludzki gotów lada dzień rozsypać się, zagasnąć jak resztki ogarka na grobowej płycie.

I jeszcze jedno: prezes spółdzielni zarabiał do momentu zatrzymania 20 tys. zł miesięcznie. W owym czasie najlepsza prządka mogła otrzymać za swoją, wcale nie lżejszą pracę niż praca prezesa, 4 do 4.500 zł. Tylko, że łódzkie prządki posiadają swój honor robotniczy, czego o prezesie nie da się powiedzieć. Pozostaje nadzieja, że przez kilka lat będzie mógł wraz ze swoim zastępcą i kierownikiem zaopatrzenia i zbytu z Krakowa, pojąć pewne, jakże proste prawdy, że żadne stanowisko nie chroni człowieka przed prawem.

EUGENIUSZ ŁASKI

Rys.: Janusz Szymański-Glanc

Człowiek w osiedlu

Fachowcy i mieszkańcy

Oba spotkania, i tu na Widzewie i tu na Radogoszczu, odbyły się w szkołach. W szkole podstawowej nr 198 przy ul. Czajkowskiego są władze dzielnicy Widzew, w szkole nr 122 przy Jesionowej-Bałut.

Jakie są oczekiwania ludzi przychodzących na takie spotkania? Na pewno nie spodziewają się zbyt wiele. Wiedzą, co się dzieje w gospodarce, znają sytuację budownictwa, rozumieją magiczne słowo „kryzys", nikt nie zapyta co to jest ta infrastruktura, która stale nie nadąża. Oglądają telewizję, czytają gazety, mają znajomych i przyjaciół. Nie spodziewając się zbyt wiele w obu przypadkach zapełnili salę. Krzeseł przygotowano na 200—300 osób i wszystkie były, przynajmniej na początku, zajęte. Przyszli posłuchać fachowców, poznać tych, od których zależy, czy nieduże możliwości zostaną w pełni wykorzystane, przyszli załatwić niewielkie, ale drażniące sprawy. Przyszli dowiedzieć się na co i kiedy mogą liczyć.

Szybko okazuje się, że żyją w osiedlu, którego nie rozumieją. Nie potrafią rozgryźć zasad urbanistycznych, na których zostało oparte, nie rozumieją rozwiązań architektonicznych, przyjmują to wszystko jako coś zastanego, ale niezrozumiałego. Okazuje się, że większość z obecnych nie miała nigdy możliwości dowiedzenia się, dlaczego ich osiedle jest takie, jakie jest.

Samorząd, jeśli w ogóle istnieje, zużywa swe siły całkowicie na to, by woda dochodziła na IX czy X piętro, a śmieci były wywożone nie tylko wtedy, kiedy brudem zainteresuje się San-Epid.

Żyjemy w wielkich miastach — Retkinia liczy 75 tysięcy *mieszkańców*, Widzew-Wschód ponad 40 — które powstały na naszych oczach i których nie rozumiemy. Jeden przykład — dlaczego na Radogoszczu wszystkie pawilony usytuowano na obrzeżach osiedla? To pytanie dręczyło wielu mieszkańców. Okazuje się, że jest to zgodne z jedną ze szkół urbanistycznych, która naucza, że mieszkaniec wysiadając na obrzeżach osiedla z tramwaju czy autobusu po drodze do swego bloku, usytuowanego w centrum osiedla, powinien zrobić zakupy. Załóżmy się, że dla 95 procent ludzi obecnych w szkole 122 była to nowa informacja, choć przecież dotyka ona podstaw myślenia, na którym opierali się projektanci. Nie powstały jak dotychczas żadne skuteczne kanały informacyjne, które pozwoliłyby przeciętnemu mieszkańcowi osiedla zrozumieć świat bloków, ulic i pawilonów, w którym żyje. A przecież jest to zupełnie inny świat niż ten, który poznał w starych dzielnicach: małe domy, wąskie ulice, sklepiki co trzy, cztery bramy. W nowych osiedlach nawet bram przecież nie ma.

Fachowcy, którzy mówili o tych sprawach próbowali zbywać je krótko. Dla nich były to rzeczy oczywiste. Mówili tak, jak w swoim gronie, aż wreszcie ktoś z sali na Widzewie nie wytrzymał i huknął:

— Panie, niech pan nie mówi blok 236, pawilon 138 przy ciągu pieszo-jezdnym tylko niech mi pan powie, jaka to ulica. I tu wyniknął problem, bo na kolorowym planie dzielnicy nie było nazw ulic. Gdy go rysowano ulice te jeszcze były nie nazwane. Sala lekko się uśmiechnęła i po krótkiej naradzie podpowiedziała architektowi właściwą nazwę.

Przebojem natomiast zdobył zainteresowanie i sympatię mieszkańców jeden z projektantów osiedla Radogoszcz, który zaczął mówić prostym językiem o podstawowych regułach konstruowania takiego osiedla. Fachowcy na takich zebraniach powinni pamiętać, że ci którzy ich słuchają nie mają obowiązku wiedzieć tyle, co oni. Mieszkańcom nowych osiedli, żądającym nowych domów, ulic, sklepów należy się przejrzysta informacja. Z reguły zresztą problem nie jest aż tak skomplikowany, by nie można go wyjaśnić bez uciekania się do fachowego żargonu.

Mieszkańcy nowych osiedli są dobrze zaprawieni w bojach z kłopotami życia codziennego i z budowlańcami. Nie spodziewają się zmian z dnia na dzień. Mają jednak prawo oczekiwać, że ich miasta-osiedla będą z czasem skrojone na bardziej ludzką miarę, że ich przykre doświadczenia posłużą, by nauka nie poszła w las. Pocieszające jest to, że już nie buduje się tak zwanych ciągów pieszo-jezdnych, ale nadal nie wiadomo, na czym polegał błąd, nie wiadomo o tym przeciętnemu mieszkańcowi.

Podczas spotkania na Widzewie była dobra okazja, by wyjaśnić na czym autor opierał swój projekt, czy warunki jego zostały spełnione, czy cały pomysł był do bani, czy tylko jego część. Po spotkaniu zostało wrażenie, że wymyślił to jakiś idiota, co sugeruje, że podobną kondycję psychiczną mieli ci, którzy ten pomysł do realizacji zatwierdzili. Była tam dobra okazja, by pokazać mieszkańcom jak powstają błędy, jak dochodzi do weryfikacji pomysłów powstałych przy desce kreślarskiej przez życie. Dla fachowców jest to pewnie oczywiste, dla mieszkańców zaś nadal niezrozumiałe.

Najwięcej czasu poświęcono na litanię skarg i zażaleń. Recytowaną raz monotonnym, raz podniesionym, raz męskim, raz kobiecym głosem mówiła o sprawach tak znanych, że nawet ich tu nie wymienię. Znają je lokatorzy, znają władze dzielnicowe.

Wynika z tych głosów jeden wniosek natury ogólniejszej, a właściwie potwierdzenie dawno znanej już prawdy. Prawdy, że określenie „nasze mieszkanie" nie obejmuje tylko 50 czy *60 metrów kwadratowych M-3*, czy M-4. Obejmuje owo M, ale i parę najbliższych bloków, sklep, szkołę, przystanek autobusowy czy tramwajowy. W sumie elementy te tworzą całość, z którą jeszcze możemy się jakoś utożsamić, zainteresować się, nawet wziąć pewną odpowiedzialność.

U ludzi występuje chęć oblaskawienia otoczenia, stworzenia owej „niszy ekologicznej", o której parę tygodni temu pisał Andrzej Majer. Ludzie chcieliby mieszkać „u siebie", jakoś zagospodarować obcą okolicę. Jak na razie olbrzymia większość ich zapału i wysiłku idzie na załatwienie spraw najbardziej podstawowych, najprostszych, a jednocześnie najtrudniejszych. Mimo iż proste są od lat nie rozwiązane. Dlatego nie należy bać się nowych rozwiązań, nowych sposobów, jakich jeszcze nie było. Takim pomysłem jest propozycja przedsiębiorstwa polonijnego „Arpex", które gotowe jest w krótkim czasie zlikwidować problem przemakających i przemarzających mieszkań. Na Widzewie-Wschodzie i Radogoszczu bloków z takimi mieszkaniami jest grubo ponad pół setki. Jaki to problem wie naprawdę tylko ten, kto ma w domu grzyb, wiecznie przeziębione dzieci, zniszczone tapety i meble oraz astronomiczne rachunki za prąd, bo stale suszy się zawilgocone ściany piecykami elektrycznymi. Spółka pracuje już na Retkini, ocieplając bloki na razie bardzo prostą metodą, ale zwykłe, przy stosowanej w tej dzielnicy technice budowlanej, skuteczną.

Ale zawsze jest jakieś ale. Spółka czeka na rejestrację w Wydziale Przemysłu i Usług Urzędu Miasta Łodzi i na razie zamiast 150 ma 12 ludzi. W budownictwie obowiązują ceny regulowane i, choć spółka płaci swym ludziom o połowę więcej niż przedsiębiorstwa państwowe, nie można jej za usługę dać więcej niż jest w cenniku. Gdyby to zależało od mieszkańców obecnych na spotkaniu w szkole przy Jesionowej obie sprawy byłyby już załatwione. Ale nie zależy to od nich.

KRZYSZTOF KRUBSKI

Foto: Mirosław Zajdler

Koczowisko na gruzach szczęścia

RYSZARD BINKOWSKI

Kiedyś była tam sielska, wiejska dzielnica słońca i zieleni, dobrych ludzi, królików, słoneczników i kwiatów. Dzwoniły bańki mleczarza, piały koguty, na parapetach prężyły grzbiety senne, ociężałe koty, psy naszczekiwały leniwie z cienia podwórek.

Przez dziesiątki lat biedni ludzie kosztem łez, głodu i ciężkiej pracy w pabianickich fabrykach budowali swoje domy: komórki, zakładali ogródki, tworzyli nowe, wąskie, ciche ulice, na krańcach których szumiało zboże. Z czasem ten i ów zdołał się nawet dorobić, wykształcić dzieci.

Ale trzydzieści tysięcy ludzi z głębi przemysłowych Pabianic musiało gdzieś mieszkać. I dlatego z dawnego Bugaju zostały tylko łąki pod lasem, rzeka Dobrzynka i stawy kąpielowe, nad którymi sterczy betonowa kawiarnia. Buldożery wjechały do ogródków, powaliły drzewa, przygniotły rośliny, zdruzgotały komórki, drewniaki, a solidne domy rozebrali cegła po cegle prywatni budowlańcy. Wyrosły dziesiątki bloków, zamieniając barwną oazę ciszy w szarą, betonową pustynię, w której dudni głucho warkot maszyn i silników autobusów linii numer 2.

Prawa strona ulicy Brackiej wrosła już w ten nowy, przytłaczający pejzaż, nieliczne domki stoją niemo, trwożnie przycupnięte pod ścianami bloków. Po drugiej stronie, bardziej od końca, szereg starych domów parterowych i kamieniczek stoi twardo jeszcze, ale w ciągłym zagrożeniu, bo chodniki już zryte, fundamenty nadszarpnięte, schodki poszczerbione, nie wiadomo, jak wyjść z domu, żeby nie wpaść w zwał rozbebeszonej gliny.

8 czerwca 1983 r. rano słońce wysysa barwy z malowanej, rozprutej ściany domu przy samym rogu Brackiej i Kopernika; rozebrani do pasa robotnicy wydłubują cegły z muru, spuszczają drewnianą rynną na ziemię. Ciężkie auta grzmią potężnie w wąskiej ulicy, wzniecają tumany żółtego pyłu, który osiada miękko na szybach okien, wciska się szparami do izb, okrywa burą patyną korony drzew w sadach.

Dalej niewielki prostokąt między Kopernika, Bracką, Owsianą i Żytnią, który pustoszeje z dnia na dzień. Przedstawia krajobraz po bitwie, jakby przejechała tędy kolumna czołgów lub przegalopował tabun oszalałych słoni.

Posesja przy ulicy Owsianej nr 3 już nie istnieje, ale wciąż tam trwa życie. Od miesiąca z okien bloku naprzeciwko mieszkańcy obserwują kobiety i mężczyzn, którzy koczują w dzień i w nocy, pilnując przed złodziejami resztek dobytku. Szczerze mówiąc to nie ma już właściwie czego pilnować. Więc może chodzi o to, że oni nie mogą rozstać się z tym, co było sensem ich życia? No cóż, kiedy słucha się cierpliwie sąsiadów i właścicieli, wynika jasno, iż ci ostatni koczują na gruzach szczęścia i nie spełnionych nadziei.

Starsza pani Przedmojska jest mała, drobna, jedno ramię jakby niższe, dłonie zniszczone, kryje je w kieszeniach cienkiego płaszcza. Siwe włosy, twarz zapadnięta, podbródek drży ze wzruszenia. Przedmojska często płacze, słowa z trudem wydobywają się ze ściśniętego gardła.

Stara kobieta schyla się, podnosi fragment narożnika łączącego bale drewnianym kołkiem. Drewno ciężkie, smoliste, jak dzwon.

— *Ile tego drewna* — mówi Przedmojska — *ile strasznej harówki. Samej przedwojennej cegły weszło dziewiętnaście tysięcy sztuk. To miał być dom rodzinny dla pokoleń. Sześć izb, weranda, mury prawie na metr, wielkie fundamenty, głębokie piwnice... Na to trzeba było zapracować. Całe życie tyrałam w „Dobrzynce", tej dzisiejszej „Wolanie", a mąż w MPK zaczynał jako konduktor. Nie mogłam siedzieć na macierzyńskim, poszłam zaraz do pracy. Dziecko zostało pod opieką dwunastoletniego chłopca. Potem mnie okradli... Czteroletni dzieciak umarł na dyfteryt, nie mogłam się nim opiekować, trzeba było pracować na budowę domu. I stanął, mogłam do niego przynieść urodzoną wcześniej córkę...*

Stara kobieta ociera chusteczką wyblakłe, szkliste od łez oczy.

— Mógłbym porozmawiać z mężem?

— *A cóż on powie? Sama gorycz, bo taki los. Człowiek ma osiemdziesiąt lat, przeszedł wszystkie szczeble w MPK, rzetelnie, awansował na stanowisko biurowe. W 1934 roku zbudował dom, który według opinii fachowców mógł stać jeszcze dwieście lat. Nie ma domu, mąż ze mną w izbie kwaterunkowej. A on walczył w obronie Warszawy, siedział w obozie do 45 roku. Mnie wysiedlili Niemcy. A teraz...*

Na posesję o powierzchni 600 m kw., gdzie oprócz domu stało jeszcze siedem komórek, garaże na motocykle, pralnia, wprowadziła mnie córka, Wiesława Gieborowska, przytrzymując uwiązanego na sznurku psa. Posesję od Brackiej i Owsianej odgradzają zwały ziemi. Wykopy trwają od kilku lat, dziecko nie mogło wyjść do szkoły, bo jak polało, można się utopić w grząskiej, gliniastej bryi.

Wiesława Gieborowska jest szczupła, ruchliwa, elokwentna. Włosy gładko przylegają do czaszki, drobna twarz ogorzała, dłonie spieczone słońcem. Ma na sobie jeszcze zimową odzież, ciężkie buty, rajtuzy. Jest uradowana i zażenowana zarazem.

Wiesława Gieborowska jest lekarzem z zawodu. Pracowała w trudnych warunkach, na wsi, m.in. w Hucie Dłutowskiej, męcząc się z dzieckiem i robiąc specjalizację. Za Gierka przez kilka lat nie mogła wykonywać zawodu.

Wytarła starannie wąską ławeczkę pod jedynym ocalałym kasztanem na tym żałośnie martwym pobojowisku. Usiadła i pokonując zdenerwowanie usiłuje uporządkować to wszystko, co smutne i złe, co wypełniło serce i myśli. Ale wciąż nie może odżałować tego domu, pokazuje na zdjęciach tę oazę zieleni. Mówi, że to było coś pięknego, leśniczówka po prostu. I te śliwy, orzechy, jabłonie. A w środku sześć szaf napchanych wszelkim dobrem.

Ponieważ Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa zamierzała na terenie posesji postawić blok, więc przed trzema laty przyszedł biegły, nawet nie zajrzał do środka, tylko wymierzył dom, spytał, ile płyt na podwórzu. Powiedzieli, że 60 a było 200. Ekspert chyba nie liczył ziemi, ogrodzenia, drzew owocowych, bo wycenił na 340 tys. złotych. Z możliwością odwołania się do prezydenta Łodzi. Prezydent Józef Niewiadomski odpisał, że nastąpi powtórna wycena. Po raz drugi biegły przyszedł wieczorem razem z żoną. Ciemno, więc nie ma co oglądać. Powiedział, że takie domy staniały i oberwał 80 tysięcy. Czym się miały dzielić dzieci i rodzice? Przedmojska w ogóle nie wzięła swoich 130 tysięcy, pozostały w depozycie.

Nie można powiedzieć, żeby władze miasta nie zrobiły nic w tej sprawie. Przyszłym wysiedleńcom zaproponowano mieszkania zastępcze w starym budownictwie na ul. Orlej i H. Sawickiej. Stare rudery, bez wody, wspólna kuchnia, współlokatorka chora psychicznie.

Szukali domku. Znaleźli na ul. Zaradzyńskiej, ale cena 700 tysięcy.

Starsi Przedmojscy zrezygnowali z mieszkania własnościowego w bloku. Stary przed eksmisją wywiózł część rzeczy do mieszkania kwaterunkowego przy Piotra Skargi. Na tej samej ulicy, lecz w innym domu, zamieszkał syn Janusz z rodziną.

Gieborowska mogła otrzymać własnościowe M-3 za 450 tysięcy, pierwsza rata 90 tys. złotych. Prezydent Pabianic, p. Kunka, obiecywał działkę budowlaną, zapewniał, że będą mogli wykupić ten swój dom i przenieść na działkę. Ale do tego nie doszło, bo sprawa była już załatwiona poza Pabianicami.

W tym czasie, a także już po eksmisji, szły pisma odwoławcze, m.in. w sprawie wyceny, do Łodzi i Warszawy, które odsyłano do rozpatrzenia władzom pabianickim. Z Łodzi, mimo monitów, pewne dokumenty nie mogły trafić do Ministerstwa Administracji.

Stanęło na tym, że lekarka W. Gieborowska wpłaci 45 tys. i otrzyma mieszkanie lokatorskie w bloku przy ul. Narcyza Gryzla, trzydzieści metrów kwadratowych.

Gieborowska zrywa się z ławki, biegnie do kupy czarnych belek, gdzie ma ukryte stare rzeczy, gdzie ślepym okiem łypie telewizor, przynosi dużą kasetę od jubilera i foliowe zawiniątko. Komplet srebrnych sztućców, po sześć sztuk, był prezentem. Zniknął. A w folii jest „Chata za wsią" i pięknie oprawiony „Nowy Testament" z dedykacją od wuja, co pływa jako kapitan na „Batorym", z wpisaną piękną sentencją Martina Kinga.

— *Książki brat wyciągnął facetowi spod bluzy* — mówi wzburzona — *a pustą kasetę wrzucili pod łóżko, przewrócili na to piec, szafę, nakryli pierzynami i materacami. Nie wiedziałam, że srebrne sztućce ukradli...*

— Kto?

— *Robotnicy w czasie eksmisji. Kierownik kwaterunku, pan Tarnowski, oznajmił, że jak nie wyjdziemy, to wszystko spali...*

Zapalam papierosa. Wychudzony łaciaty kot ociera się o nogi, on też nie chce się rozstać ze starymi śmieciami. A ja notuję. 27 lutego 1983 r. przyszła decyzja prezydenta Kunki, że w ciągu trzech dni mają się wyprowadzić. Stary Przedmojski i syn Janusz wynieśli część rzeczy. Ale Wiesława Gieborowska nie miała jeszcze mieszkania. Miała za to trochę biżuterii, futra, kożuchy, sprzęt gospodarstwa domowego, motocykl i całą bibliotekę, która leżała złożona w wannie. 3 marca w południe podjechało wielkie auto z sześcioma robotnikami i kierownikiem kwaterunku. Milicjanta nie było, więc zadzwonili z fabryki, bo telefon domowy był już zerwany.

— *Wyłamali futrynę drzwi łomami. Jak weszli do środka, milicjant sobie poszedł. A oni powybijali szyby w oknach, zerwali firanki, zrzucili obrazy...*

Pokazuje szczątki serwisu porcelanowego, resztki kompletu do czekolady, skorupy cukiernicy. A Przedmojska znowu płacze. I mówi przez łzy:

— *Miałam taki wielki przedwojenny obraz, Pan Jezus w zbożu z apostołami, to potłukli. I krzyże zrzucali, i ukradli mi trzy kupony bistoru, co sobie kupiłam na wczasach w Szklarskiej Porębie. Stałam przy bieliźniarce i podawałam córce co było pod ręką. Trochę pierścionków, lornetkę teatralną, małe radio, aparat fotograficzny, ślubne prezenty, złoty medalik córki. Pijani byli. Wściekli, w tej złości zwinęli nawet słuchawki i stempel lekarski córki... Żebyśmy tu nie mieszkali, zerwali kominy, wyłamali kawał dachu, przewrócili piec. Na górze były dwie izdebki, więc córka tam mieszkała, choć zawiewał śnieg. Mój Boże* — wzdycha żałośnie — *a tak tu było cicho, jak na wsi. Pieczarki rosły na gołębim nawozie. I bez złodziejstwa, na noc drzwi domów i komórki zostawały otwarte...*

I co z tego zostało? Śmiecie, bo wiele rzeczy wepchnął pod ziemię plantujący teren buldożer. Sterczą ścięte pnie orzechów, wyrwany korzeń starej jabłoni, walają się worki foliowe, koła od wózka. Granicę byłej posesji wyznaczają dwa piece kaflowe i dwa psy przywiązane do sczerniałych skrzynek. Pilnują dobytku.

— *W pewnej chwili* — podejmuje Gieborowska — *zobaczyłam koło szafy mężczyznę, który wszedł do pokoju przez okno. Kieszenie miał wypchane, a w nich pieniądze, skórkowe rękawiczki i zegarek brata marki „Kirowskij". Ale to nic. Oni pomylili się i moje rzeczy zawieźli na Piotra Skargi, zaś rzeczy rodziców do bloku przy Gryzla 4, mieszkania 24, gdzie miałam mieszkać.*

W dokumentach stoi, że decyzją PSM Gieborowska otrzyma mieszkanie i klucze dopiero 23 marca.

— *Ojciec nie chciał przyjąć tych rzeczy, nie podpisał, więc zrzucili wszystko na podwórze i zostawili pod gołym niebem. Poszedł spać, a ja pilnowałam reszty na Owsianej. Rano połowy rzeczy nie było, zginęła m.in. nowa pralnica i żelazko. Ponadto sąsiedzi widzieli, jak robiono selekcję moich książek. Książki lekarskie zostały, ale beletrystyka, głównie klasyka w pięknych płóciennych oprawach, znikła, w tym „Pan Tadeusz" w skórze. Skradziono też „Małżeństwo doskonałe", słownik Kopalińskiego, cenny podręcznik Chrzanowskiego, przedwojenne wydanie „Kuchni polskiej".*

Potem przez 6 tygodni trwała rozbiórka, którą prowadziła brygada prywatnego przedsiębiorcy z Łodzi. Ludzie mówią, że robotnicy to starzy recydywiści, a przedsiębiorca milioner. Ale ten drugi osąd należy raczej do kompetencji izby skarbowej. Faktem jest, że o wykupieniu domu przez rodzinę nie mogło być mowy, ponieważ przedsiębiorca, o czym prezydent Kunka nie wiedział, kupił ten dom już przed dwoma laty w „Inwestprojekcie". Ponoć za sześć tysięcy. Dzisiaj taki dom z ogrodem kosztuje co najmniej milion. Faktem jest też, że terminu eksmisji i rozbiórki nie chciano opóźnić, chociaż były tam jeszcze zimujące rośliny (tulipany, narcyzy, żonkile) oraz zwierzęta i ptactwo domowe. Do dziś po pustym placu snują się kury i dorodny, krzykliwy kogut.

Janusz Przedmojski jest szczupły, smagły, kędzierzawy, w dżinsowym ubraniu. Wygląda młodo, lecz twarz ma smutną. Osiemnaście lat pracy w „Narzędziówce". Mówi, że przy eksmisji robotnicy wszystko brali pod pachę, gubili. Szedł za autem, zbierał rękawiczki, kapelusze, bieliznę.

— *Moje gołębie, srebrniaki, siedziały na pisklętach* — mówi z goryczą — *a oni przewrócili komórki do góry nogami, przygnietli kury, które nie miały gdzie nieść jaj. Królików trochę uratowałem. Żeby się dostać do komórek, musiałem wyważać drzwi. A jak rozbijali garaż, to zgnietli i obdarli z lakieru motocykl siostry, WSK po 1400 km przebiegu.*

Wyciąga resztki okapów miedzianych, nogi od dębowego kredensu, potrzaskane ramki okienne, jedyną ocalałą kolorową, rzeźbioną witrażową szybę z werandy. Wszystko zostało wybite. Swój własny betonowy płot wykupili od przedsiębiorcy.

— *A ile robotnicy sprzedali na lewo! Jeden bal szedł za cztery tysiące. Nasyłali chłopców, żeby tu kradli.*

— Jak się pan czuje na nowym miejscu?

— *A tak, że napiłem się wódki i przyszedłem tutaj, żeby się powiesić na gruszy.*

W piątek, 13 maja, wjechał spychacz; rozwlókł wszystko, zmieszał z ziemią zapasy węgla. Gieborowska przez trzy dni kopała dziabką, aż znalazła torebkę z drobnymi. Bez kluczy do mieszkania w bloku. Wymiana zamka kosztowała 950 zł. Nie ma drzew, nie ma chodników z krawężnikami w ogródku, pusto a Gieborowska koczuje. Ale za kilka dni wyniesie się na dobre do bloku. Czemu taka uparta?

— *Niczego nie odwrócę. Ale może wysiedzę podwyżkę odszkodowania.*

Sąsiedzi ubolewają. Panie z bloku przynoszą jedzenie dla kur i psów. Babcia wysyła wnuczkę ze świeżo upieczonym ciastem. Wieczorem mały chłopiec świeci z okna reflektorem, wypatruje złodziei. Maturzysta z Owsianej uczył się w nocy przy otwartym oknie i doglądał, czy koczującym kobietom nic nie zagraża.

Adela Kubicka gotowała obiady i przynosiła wartującym pod gołym niebem.

Zofia Śmiech dostarczała gorącą wodę i herbatę.

Przeprosin nie było.

Ale władza terenowa dostrzegła problemy obywateli.

Dnia 1 czerwca 1983 r. dyrektor pabianickiego RPGKiM, Radosław Januszkiewicz, przesłał na ręce Gieborowskiej pismo, w którym informuje, że w związku z przywłaszczeniem sobie zegarka nieuczciwy pracownik został ukarany „karą porządkowa nagany", z jednoczesnym ostrzeżeniem, że przy recydywie zostanie zwolniony z pracy.

Kto w to uwierzy?

EDWARD KOPCZYŃSKI

Tradycyjnie sezon zbiorowych polowań zaczynaliśmy w naszym Kole Łowieckim od polowań na lisy i bażanty...

Stałem na stanowisku i czekałem na myśliwską przygodę. Darzbór — westchnąłem, chociaż to łowieckie pozdrowienie i życzenie nie najlepiej pasowało do sytuacji. Nie byłem w borze, nie byłem w lesie, a naganka, która za parę minut powinna ruszyć przeczesze tylko szeroki pas — dwieście, trzysta metrów — olszyn i brzóz z bogatym podszytem rosnących po obu brzegach małej rzeczki, płynącej tutaj korytem pełnym zakrętów. Pomyślałem o nagance. Nie mieli łatwego zadania. Teren był trudny. Pas olszyn i brzóz biegł jakby łagodną doliną, rzeczka wiła się raz w lewo, raz w prawo i często stanowiła przeszkodę ciężką do przebycia, a liczne mokradła porosłe ostrą trzciną stanowiły często niebezpieczną pułapkę — można było wpaść w błotnistą maź aż po kolana, po pas...

Nowy sezon łowiecki — co da, czym obdarzy? Na lisa nie liczyłem, do luf dubeltówki włożyłem dwa naboje śrutowe, dwie czwórki na koguty — na nie mogłem liczyć. Lis jak dotąd, od ładnych paru lat omijał mnie z daleka, a jeżeli już wyszedł... Trzy lata temu w wysokim sosnowym lesie miałem prawie pewniaka. Dostrzegłem mykitę w miocie, sznurował na moje stanowisko prosto jak strzelił — serce zabiło gwałtownie, mocniej zacisnąłem dłonie na strzelbie. Kiedy był na odległość strzału, niespodziewanie zginął mi za jałowcem, potem za drugim. Pójdzie przez dukt, przez linię strzelców, kierunek miał zdecydowany. Nie myliłem się, poszedł przez dukt, dziesięć metrów ode mnie, wyłożony jak na tarczy, ale te dziesięć metrów i moje serce, które miałem gdzieś pod gardłem, sprawiły, że wygarnąłem dwa razy tuż za nim, po jego wspaniałej kicie. W następnym sezonie, w podobnej sytuacji lis przyszedł do mnie po linii nie wiadomo skąd. Miałem go od razu na odległość strzału, ale za cyngiel pociągnąć nie mogłem, bo za lisem — na stanowisku — był kolega myśliwy. Czekałem napięty jak struna, a on dostrzegł mnie z dwudziestu kroków i jak piorun skoczył przez wąski dukt za którym był zwarty młodnik. Strzeliłem z przyrzutu i lis padł w ogniu tuż przed młodnikiem. Zemocjonowany opuściłem broń, a lis w sekundę później, jak podcięty batem, skoczył w gąszcz drągowiny i tylem go widział...

Pas olszyn i brzezin dzielił teren naszego obwodu łowieckiego jakby na dwie połowy, ciągnął się na przestrzeni około dziesięciu kilometrów i stanowił wspaniałą ostoję, jakby matecznik — bażantów. Rozmnażały się tutaj w sposób naturalny, znajdując dla siebie najlepsze warunki — woda, krzewy i zarośla, wysokie drzewa na nocleg, tuż pod ręką zielone soczyste uprawy na polach — naszym hodowlanym obowiązkiem było zapewnienie im tylko w czasie zimy karmy i czuwanie nad tym, aby liczba drapieżników nie zakłóciła równowagi biologicznej. Lisy, uznając tak jak myśliwi walory tego bażanciego eldorado, konkurowały z nami w polowaniu na tego ptaka i chociaż nie miały tutaj swoich stałych siedzib, zbójowały w tym rewirze każdego dnia, dziesiątkując ptaki.

Łowczy, rozprowadzając myśliwych postawił mnie na drugim stanowisku — pierwsze, flankujące, zajął kolega Dziwisz, doskonały strzelec. Widziałem go na lewo od siebie, trochę jakby w dole, wysunięty w stronę naganki, stał pod brzeziną, mając za plecami otwartą przestrzeń. Oceniłem swoje stanowisko. Było niezłe. Krzewy, kępy trzcin pośród rzadkich tutaj wysokich drzew. — Lis opuszczając mioty mógł tędy szukać drogi ucieczki. Przez chwilę miałem chęć wymienić naboje na dwójki — grubszy śrut — ale machnąłem ręką, bażant, ten piękny, kolorowy ptak był pewniejszy... Ledwie usłyszałem sygnał naganki, zobaczyłem lisa. Nie spieszył się, szedł truchcikiem prosto na stanowisko Dziwisza. Strzelać nie mogłem, był zbyt daleko, chwilami ginął za krzakami, ale kierunku nie zmieniał. Cholera — zakląłem — znów pech, równie dobrze mógł wyjść na mnie. Lis tymczasem zwolnił, potem nagle przystanął — był o kilkanaście kroków od Dziwisza — czekałem już tylko na huk wystrzału. Tymczasem nic się nie działo — lis stanął jak wmurowany na sekundę, dwie, trzy, cztery — potem odwrócił się i zaczął iść kulawym sztychem w moim kierunku. Do diabła, Dziwisz go nie widział, oślepł czy co? Bezszelestnie podniosłem broń do oka i czekałem, musiał jeszcze zbliżyć się do mnie o dziesięć, o pięć metrów... jest. Pociągnąłem za spust i zanim usłyszałem huk wiedziałem, że trafiłem dobrze, lis bowiem rozpłaszczył się na trawie i ani drgnął. Nie wierzyłem mu jednak, trzymałem broń w pogotowiu nie spuszczając oczu z rdzawej plamy, ale po chwili nie miałem już wątpliwości, lis był mój. Doładowałem broń, teraz już dwójką, jakby wbrew logice, bo nie wierząc w lisa w ogóle, pomyślałem teraz, że może wyjść drugi — tak często bywało. Nic takiego się jednak nie zdarzyło, natomiast pod wierzchołkami drzew szybował spłoszony przez nagankę kogut — wygarnąłem raz i drugi, ale bez skutku. Niech tam, trafi się inny, grunt że mam lisa. Tu i tam rozległy się huki wystrzałów — ciekawe, co tam mają...

Po pędzeniu koledzy oglądają mojego lisa i gratulują mi, niezbyt duży, ale o pięknym futrze. Wynik całego pędzenia: mój lis i trzy koguty. Kiedy zostawiamy nagankę i maszerujemy na nowe stanowiska, na nową linię, jestem koło Dziwisza — mówię:

— *To jest prezent od pana.*

Nie rozumie mnie.

— *Był przed panem o piętnaście kroków, stał parę sekund, potem ruszył na mnie.*

Dziwisz patrzy na mnie i chyba sądzi przez chwilę, że kpię z niego, bo z kwaśną miną wzrusza ramionami.

— *Też pan wymyśli.*

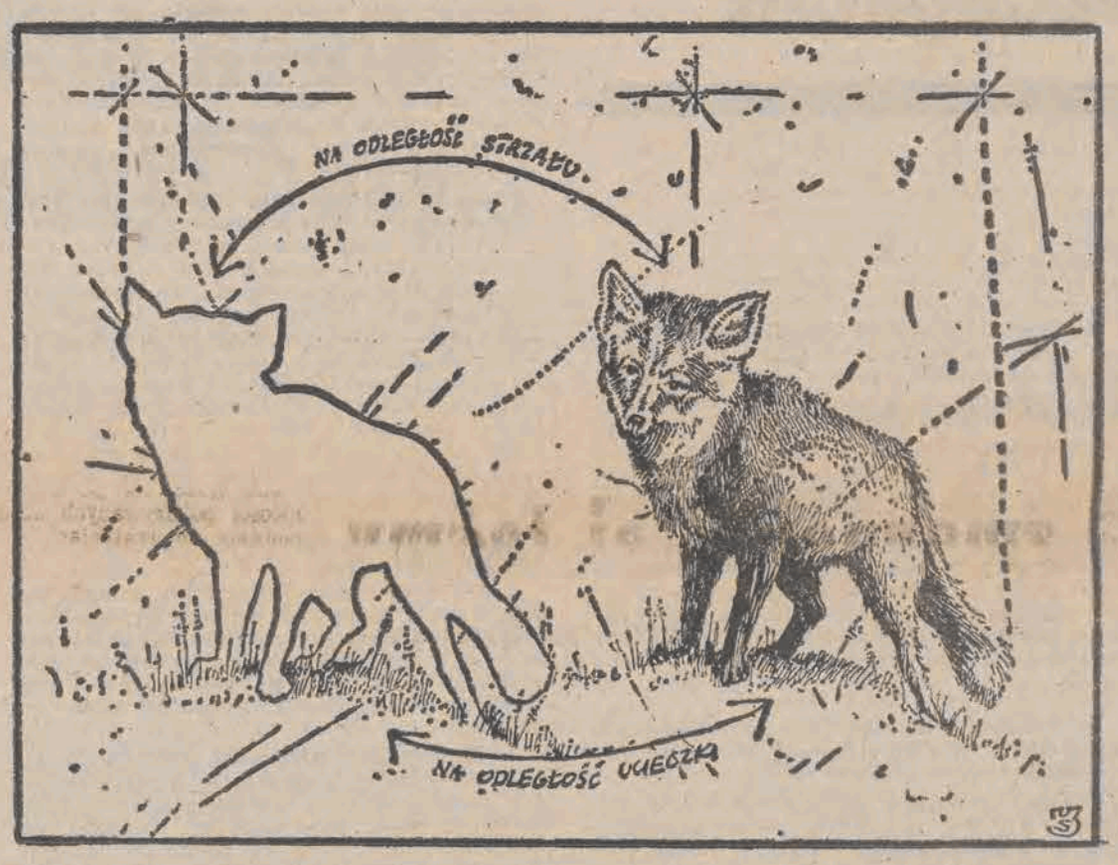

Rys.: Janusz Szymański-Glanc

— *Nie wymyśliłem, daję słowo.*

Widząc zaciekawienie w oczach Dziwisza, opowiedziałem jak było. Uwierzył, ale odniosłem wrażenie, że wolałby tej prawdy nie znać, nie każda prawda jest potrzebna, a człowiek wciąż się uczy.

Idę na nowe stanowisko i pocę się. Dzień jest stosunkowo ciepły, nie ma ani śniegu, ani mrozu — ubrany jestem zbyt grubo i dźwigam lisa. Założyłem mu ptasie troki na tylne łapy i przerzuciłem przez plecy. Gumowe, filcowe buty z cholewami grzęzną w nie zamarzniętej podorywce, bo idziemy polem, skrajem olszynowego pasa, raz trochę w dół, raz do góry — ale nie czuję zmęczenia, jestem pełen radości. Łowczy w pewnej chwili wskazuje mi nowe stanowisko i wyjaśnia:

— *Proszę uważać, tu również może wyjść.*

Miejsce jest rzeczywiście wyborne, wymarzone na taką randkę z lisem. Wysokie olszyny i brzozy rosną tu gęściej, podszyt jest bogaty, przede mną w odległości jakichś dwudziestu metrów wije się poprzecznie rzeczka, niezbyt szeroka, za nią jak parawan, wysokie trzciny, zarośla. Ponosi mnie fantazja. Te trzciny chronią zwierza przed ludzkim okiem, lubi takie przesmyki, rzeczka jest do przebycia jednym skokiem, najlepsza droga ucieczki wiedzie właśnie gdzieś tutaj. Słowa łowczego też nie są bez znaczenia — zna teren doskonale i w ogóle ma nosa. W świetnym nastroju — lis to trofeum niezmiernie rzadkie, a przy moim dotychczasowym pechu niebywałe — szukam miejsca, gdzie by swego lisa z trokami u stawek położyć. Jednocześnie szukam najlepszego stanowiska dla siebie — wolno mi to uczynić, parę metrów w prawo czy w lewo, ewentualnie trochę w przód, bliżej rzeczki, nie ma znaczenia. Znajduję grubszą olszynę, kładę przy jej pniu lisa i przygotowuję broń do nowego spotkania. Czas mija, naganka jeszcze nie ruszyła, a mnie się wydaje, że brzoza — trzy, cztery metry w prawo byłaby dla mnie lepszym stanowiskiem, gdybym stanął za nią, miałbym lepszą obserwację przedpola. Decyduję szybko, przesuwam się parę kroków i jestem za brzozą. Rozglądam się, miałem rację, stąd mam większe możliwości skutecznego strzału. Po chwili rodzą się wątpliwości — z miejsca gdzie stoję widzę więcej, ale gdyby lis na przykład wyszedł ze zwartych trzcin tam po lewej stronie, miałbym do niego — na skuteczny strzał — zbyt daleko. A tamtędy wyjść może, konfiguracja terenu wyraźnie na to wskazuje. Wbrew przysłowiu — nie szukaj tyłkiem szczęścia — przesuwam się teraz trochę bliżej rzeczki i bardziej w lewo — dla odmiany jestem teraz schowany za grubą olszyną. Rozglądam się i z zadowoleniem stwierdzam, że uczyniłem dobrze — tu całkowicie panuję nad sytuacją, którą los myśliwski może zgotować. Stoję i wydaje mi się, że zbyt długo nie ma sygnału —wezwania, aby naganka ruszyła. Patrzę w lewo, w prawo, do tyłu i... i wydaje mi się, że zbytnio wysunąłem się do przodu i w związku z tym ograniczyłem możliwości ewentualnego manewru, gdyby lis — do diabła, dlaczego myślę tylko o lisie, przecież bażant jest stokroć pewniejszy — wyszedł inaczej niż mogłem teraz przewidywać. Refleksja każe mi powtórnie bacznie rozejrzeć się dokoła, co mnie wcale nie uspokaja, a wręcz przeciwnie podwaja moje wątpliwości. Słyszę wreszcie sygnał do naganki — ten sygnał jest również jakimś poleceniem dla mnie — nie waham się dłużej, pierwsze stanowisko było najlepsze, trzeba szybko na nie wrócić. Kiedy już tam jestem, przyglądam się przedpolu z zadowoleniem — tu rzeczywiście powinno być nieźle. Patrzę w dół, pod nogi, i szukam wzrokiem przy pniu drzewa lisa, którego parenaście minut temu położyłem. Lisa nie widzę. Spokojny, przechodzę do olszyny o dwa kroki dalej — musiałem stać tu i tu musi leżeć moja zdobycz. Lisa przy pniu nie ma. Wolne żarty — pomyślałem sobie — jak mogłem w tym rzadkim lesie —nie-lesie tak stracić orientację. Trochę już podekscytowany zaglądam w trawy przy pniach najbliższych drzew. Lisa jak nie ma tak nie ma. Cholera — żeby tak się zgubić. Kręcę się na przestrzeni kilkudziesięciu kwadratowych metrów, oglądam kolejne pnie, a lisa szlag trafił, nigdzie go nie ma. Robi mi się ciepło i trochę głupawo, przecież to jest absurdalna sytuacja. Strzeliłem go czterdzieści minut temu, założyłem troki, niosłem półtora kilometra, położyłem gdzieś tutaj, a on przepadł. Wyraźnie już podniecony czuję potrzebę zapanowania nad sobą — lis . musi być gdzieś w pobliżu, pod tym czy innym drzewem, w żadne lisie sztuczki nie wierzę, zabity jest zabity, nie ma cudów. Czując krew napływającą do skroni, zdejmuję kapelusz i kładę go na murawie — kapelusz będzie dla mnie znakiem, że swojej zguby muszę szukać gdzieś w pobliżu... Chodzę, wypatruję oczy, a lisa nie ma. Jest mi już gorąco. Naganka ruszyła, w każdej chwili coś się może dziać przed moim stanowiskiem, a ja zamiast się ukrywać nieruchomo, kręcę się od drzewa do drzewa. Pal diabli to co może przyjść, gdzie jest lis. Zacząłem prawie biegać od pnia do pnia, ale wciąż bez skutku. Szukam wzrokiem kapelusza i też go nie widzę. Pocieszam się tym, przecież minutę, dwie temu położyłem go i — do diabła — kapelusz nie mógł uciec. Bzdura — ani lis ani kapelusz, o-o-o — kapelusz jest, leży siedem, osiem kroków ode mnie, ale nie tam, gdzie go szukałem. Znów się pocieszam, kapelusz dowiódł mi, jak łatwo mimo wszystko się tu zgubić. Podchodzę do kapelusza, wycieram pot z czoła i z kieszeni kurtki wyciągam papierosa, chcąc się uspokoić. Zapalam go, zaciągam się kilka razy i gniotę papierosa butem. Słyszę z oddali nagankę, ale to już mnie nie interesuje, muszę znaleźć lisa, biegam już prawie. W minutę potem mam wszystkiego dosyć. Mojego lisa jak nie ma tak nie ma, a naganka zbliża się — kiedy przyjdzie, muszę zwołać kilku naganiaczy i prosić o pomoc w odnalezieniu zguby. Już widzę twarze kolegów, już słyszę ich głosy. Uśmiechy politowania lub współczucia — strzelił lisa w jednym pędzeniu, a zgubił w drugim. Jak nic wyjdę na idiotę, na starego sklerotyka. Karcę się w duchu. Spokój, tylko spokój, nie wolno tracić zimnej krwi, lis musi tu gdzieś być. Musi, wcale nie znaczy, że go znajdę. Następne moje wysiłki są równie bezowocne, jak dotychczasowe. Zgrzany, z twarzą nabiegłą krwią, staję przy kapeluszu i zapalam nowego papierosa. Poddaję się, nie mam sił na dalsze szukanie, jest mi już wszystko jedno, co powiedzą koledzy, jak będą patrzeć — wolałbym tylko na tym polowaniu w ogóle nie być... W sitowiu za rzeczką widzę naganiacza, dalej, na prawo od niego drugiego, to już koniec, muszę ich zawołać, muszę prosić o pomoc. Odruchowo podnoszę kapelusz, trzymam go w ręku, patrzę na zbliżających się naganiaczy i... i dostrzegam swego lisa. Leży przy pniu o sześć kroków ode mnie. Nie wierzę jeszcze oczom, podchodzę bliżej — leży tak, jak go położyłem w niewielkim zagłębieniu w trawie — niech go szlag trafi. Jak łatwo się zgubić w takim głupim miejscu, nie do uwierzenia.

Po oskórowaniu lisa — świetnie zrobił to jeden z kolegów — oddałem trofeum do wyprawy. Mały, solidny, prywatny zakład garbarski. Pan Kaczmarek, przyjmując skórę, zauważył:

— *Niezbyt duży, ale ładny, czerwono-czarny grzbiet i łapki, — o, na prawym uchu ma plamkę, białą plamkę* — obejrzał skórę i dodał. — *Prawie nie widać gdzie dostał.*

— *W sam łeb* — wyjaśniłem.

Kiedy po dwóch tygodniach zjawiłem się po odbiór, pan Kaczmarek rozłożył ręce i oznajmił:

— *Pierwszy raz jestem w takiej sytuacji — pana lis zniknął.*

— *Zniknął?*

— *Tak, zginął jeżeli pan woli. Prowadzę ten zakład kilkanaście lat i nie miałem dotąd takiej historii — zrozumiałe, że za lisa panu zapłacę.*

— *Powiedział pan, że lis zniknął — chciał pan chyba powiedzieć, że ktoś go panu zwędził.*

— *To niemożliwe, trzymam wyprawione skóry w tamtym pomieszczeniu, nie zdarzyło się dotąd nic takiego.*

Wbrew rozsądkowi przypomniałem sobie swoje poszukiwania na polowaniu i powiedziałem:

— *Niech pan dobrze sprawdzi, przeszuka miejsce po miejscu* — zakłopotany dodałem — *Mnie ten lis też zginął.*

Pan Kaczmarek patrzył na mnie z wyraźną ciekawością, więc opowiedziałem mu wydarzenie sprzed dwóch tygodni.

— *To dziwny lis* — zauważył, wysłuchawszy mnie.

— *Zwyczajny* — zaprzeczyłem — *tak się po prostu złożyło.*

— *Niech pan sobie myśli, co chce, ale to dziwny lis. Pierwszy, który stąd zniknął.*

— *Ktoś go panu ukradł* — powiedziałem głośno, zbyt głośno.

— *Nie, on zniknął...*

Nabrałem w płuca powietrza tak głęboko jak mogłem, zatrzymałem je chwilę, a potem, starając się panować nad sobą, mówiłem wolno:

— *Proszę pana, przyjdę po wyprawioną skórę za tydzień — za tydzień — słyszy pan, proszę dobrze szukać, znajdzie ją pan na pewno.*

Pan Kaczmarek wzruszył ramionami i rzekł bezradnie:

— *Dobrze, dobrze, ale to nic nie zmieni.*

Po wyjściu od pana Kaczmarka, wsiadając do tramwaju skonstatowałem w duchu — nie zniknął, tylko zginął, ktoś się o to zatroszczył, inne patrzenie na sprawę to bzdura, wierutna bzdura, ten Kaczmarek to dziwak, stary dziwak. Trzymając ręką uchwyt rączki przymknąłem oczy: zobaczyłem lisią skórę na półce w pomieszczeniu pana Kaczmarka — pęczniała do rozmiarów zwierzęcia, jakby ktoś ją nadmuchiwał. Tramwaj przyhamował z jakiejś przyczyny, a ja trzymając się silnie uchwytu oprzytomniałem — zacisnąłem zęby i zgrzytnąłem w duchu — bzdura, wierutna bzdura, kto w to uwierzy?

■

Kronika kulturalna

ŁÓDŹ włączyła się w obchody organizowane z okazji 40-lecia powstania prasy wojskowej i 40-lecia Ludowego Wojska Polskiego. Z tej okazji Garnizon Łódzki WP przygotował wiele interesujących imprez. I tak 27 czerwca otwarta została w Klubie Garnizonowym wystawa książek wydawnictw MON, zaś w oknie wystawowym RSW „Prasa-Książka-Ruch" oglądać można wystawę fotografii prasowej „Wojsko w objektywie".

W Łodzi wystąpi także zespół estradowy Pomorskiego Okręgu Wojskowego „Czarne berety".

* * *

W PIOTRKOWIE Trybunalskim trwą siódmy przegląd orkiestr wojsk lotniczych. Bierze w nim udział siedem zespołów muzycznych z terenu kraju. Obecny przegląd odbywa się pod hasłami nawiązującymi do 40 rocznicy powstania LWP. Wiąże się także z tym wydarzeniem otwarta w sobotę w piotrkowskim BWA ekspozycja malarstwa, rysunku, grafik, a także medali pamiątkowych.

* * *

W ŁODZI od 1 do 4 lipca odbywać się będą X Jubileuszowe Igrzyska LZS młodzieży szkół rolniczych i spółdzielczych „Samopomocy Chłopskiej". Imprezą towarzyszącą Igrzyskom będzie ogólnopolski przegląd zespołów amatorskich organizowany przez Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej. W imprezie weźmie udział 1200 dziewcząt i chłopców.

* * *

W SALONIE Sztuki Współczesnej obejrzeć można wystawę szwedzkiej artystki **H. Nystrom.**

W OŚRODKU Propagandy Sztuki czynna jest wystawa dorobku artystycznego laureatów ogólnopolskich konkursów graficznych.

W GALERII Bałuckiej czynna jest wystawa grafik **J. Hernandeza.**

W GALERII „Chimera" także grafika. Swoje prace prezentuje **P. Rogucka.**

* * *

W CIECHOCINKU zakończyły się XII spotkania z folklorem Kujaw. Podczas spotkań odbyło się 56 imprez, wystąpiły najlepsze ludowe zespoły artystyczne Kujaw i Ziemi Dobrzyńskiej. Jury pod przewodnictwem Teresy Nemere, pracownika naukowego Muzeum Etnograficznego w Toruniu, oceniło występy 13 zespołów folklorystycznych. **W grupie kapel i śpiewaków I miejsce przyznano zespołowi „Kujawy" z Radziejowa, II nagrodę uzyskali artyści z Bądkowa, a III — członkowie kapeli kujawskiej spod Kowala. W kategorii zespołów prezentujących folklor stylizowany laureatami zostały zespoły dziecięce z Lubania, Nadroża i Kowala.**

* * *

ROZPOCZĘTY został konkurs fotograficzny, zorganizowany w Toruniu z okazji 750-lecia nadania praw miejskich grodowi Kopernika. Połączono go z plenerem, w którym uczestniczyli artyści fotograficy z całego kraju. W kategorii zdjęć czarno-białych I miejsce przyznano **Janinie Gardzielewskiej** z Torunia, II — **Jerzemu Romanowi** z Warszawy, zaś III — **Kazimierzowi Helebrantowi** z Wrocławia. W drugiej kategorii najwyżej oceniono barwne fotogramy **Jerzego Wardaka** i **Czesława Kuchty** z Torunia.

Na zakończenie pleneru zorganizowano wystawę prac jego uczestników w salach toruńskiego BWA.

Młodzież na Widzewie gra Witkiewicza...

Stanisław Ignacy Witkiewicz napisał w 1920 roku dramat „Nowe wyzwolenie". W tym czasie powstała prawie cała dramaturgia Witkiewicza. Autor mierzył wysoko: ma być próbą — podobnie jak malarstwo — odrodzenia w sztuce zanikających uczuć metafizycznych poprzez dążenie do Czystej Formy. Celem dzieła sztuki było wywołanie u odbiorcy dreszczu metafizycznego, przeżycia własnej, indywidualnej Tajemnicy Istnienia.

Powstanie owej Czystej Formy w teatrze możliwe było za cenę deformacji psychologii i działania. Taką sztukę można sobie wyobrazić w zupełnej dowolności absolutnie wszystkiego z punktu widzenia życia przy niezmiernej ścisłości i wykończeniu w powiązaniach akcji. Wychodząc z teatru, człowiek powinien mieć wrażenie, że obudził się z jakiegoś dziwnego snu, w którym najpospolitsze nawet rzeczy miały dziwny, niezgłębiony urok, charakterystyczny dla marzeń sennych, nie dający się z niczym porównać. Tak wyglądał ideał teatru Czystej Formy. W teatrze Witkiewicza wzrastał nadrealizm. Sam autor był przecież pierwszym i jedynym twórcą, który wytrzymał próbę czasu — polski nadrealista w dramacie. W jego sztukach powraca kilka stałych typów: tajemniczy wódz, tyran, perwersyjna hetera z wyższych sfer, słodkie dziewczątko o dwuznacznie naiwnej minee. Pociągała go też parodia literacka, niekiedy pełniąca funkcję kanwy fabularnej: parodia Rittnera w „Małym dworku", Upiór Ibsena w „Matce" i Wyspiańskiego w „Nowym wyzwoleniu". Autentycznie awangardowy pisarz, który jak pisze Konstanty Puzyna pokazał język pogrobowcom mieszczańskiego realizmu, otworzył epokę nową, tę, w której żyjemy. Reszta należy do nas. Wyzwanie to podjął młody reżyser MARCEL SZYTENCHELM. Bez zapowiedzi, bez reklamy, zaprezentował w prowadzonym przez siebie Studiu Teatralnym „Słup" (przy Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Widzew) sztukę Stanisława Ignacego Witkiewicza „Nowe wyzwolenie" we własnej inscenizacji i reżyserii. Była to, po „Wyroku", druga premiera młodego, bo powstałego w grudniu 1982 roku zespołu teatralnego. Z uwagi na ogromnie interesującą propozycję własnej wizji teatru młodzieżowego, sposobu jego prowadzenia jak i szalenie ambitnego repertuaru, w którym każdy najmniejszy detal jest głęboko przemyślany i konsekwentnie zrealizowany, warto zauważyć, zdokumentować pracę Marcela Szytenchelma. Do tej pory znaliśmy talent aktorski i recytatorski Szytenchelma (10-krotny laureat konkursów recytatorskich), obecnie poznaliśmy talent twórcy teatru.

Do pierwowzoru sztuki „Nowe wyzwolenie" inscenizator Marcel Szytenchelm wprowadził dużo zmian, co z jednej strony może być sporą odwagą i pewnym ryzykiem, a z drugiej strony zdumiewającą dojrzałością debiutanta w jego jakże klarownej wizji swego teatru i teatru w ogóle. Na scenie, a właściwie w piwnicy (stylizowanej) w oszczędnej, naturalnej scenerii, w skromnych acz adekwatnych do wymowy dramaturgicznej całości kostiumach, pojawiają się młodzi aktorzy kreujący często o wiele starszych od siebie ludzi. Florestan Wężymord (Przemysław Sowa) u Witkiewicza 30-letni mężczyzna. Canotier. Elegancki. Przystojny. U Szytenchelma 18-letni chłopak z kreślącą się wyraźnie indywidualnością, fobiami psychicznymi, kruchością aż do unicestwienia. Król Ryszard III (Robert Łuchniak), u Witkiewicza garbaty, ogolony do skóry mężczyzna. Brzydki. U Szytenchelma — młody chłopak o urodzie efeba, ogromnym wdzięku, histerii aż do zatracenia. W tej arcytrudnej roli wymagającej opanowania warsztatu aktorskiego 18-letni uczeń II LO w Łodzi — Robert Łuchniak, posiadający wręcz niebywałą ekspresję i zdumiewającą dojrzałość aktorską. Świetnie poprowadzony przez reżysera, tworzy w roli króla Ryszarda prawdziwą kreację aktorską i zapowiada przyszły talent najwyższej próby! Tatiana — siwa baba w wieku ok. 40 lat z potwornie podkrążonymi oczyma, ze śladami wielkiej piękności i wielkiego powodzenia u samców, znalazła w osobie Ewy Drążkiewicz idealną odtwórczynię. Zadziwiająca doprawdy jest dojrzałość wewnętrzna u tak młodych ludzi. Zabawnisia — 17-letnia dziewczynka ze szkółki klasztornej to wymarzona rola dla chyba młodszej wiekowo Małgorzaty Szum. Joanna Wężymordowa, 63-letnia kobieta, która zmarła kilka lat temu (w akcji), obecnie zmartwychwstała z trumny, znajduje w interpretacji Ewy Wojciechowskiej dobrą, przekonywającą odtwórczynię. Gospodyni, u Witkiewicza tłusta baba z zakasanymi rękawami, u Szytenchelma seksowna krakowianka lub łowiczanka wyjęta ze sklepu porno. Kapitalne, wyraziste są dwa draby w żeńskim wydaniu Anity Wojtal i Anny Zgid, sadystyczne modelki z obcęgami, piłą, maszynką do lutowania. Jedynie Nieznajomy w wykonaniu Ryszarda Pepłońskiego jest nietrafiony, przeszarżowany w środkach wyrazu i trochę sztuczny. Rzecz cała opowiada o tym, jak to kiedyś będą rządzić światem wyłącznie kobiety. Tatiana — hetera symbolizująca totalną zagładę mężczyzn, bierze w ramiona w końcowej scenie spektaklu. Obok mocnych, drapieżnych pań-dziewcząt w „Nowym wyzwoleniu" oglądamy śmiesznych, żałosnych, zniewieściałych, połamanych fizycznie i psychicznie panów-chłopców.

Fakt, że sztukę zrealizował 26-letni człowiek, a zagrali ją w większości nastoletni uczniowie (II LO im. G. Narutowicza) w zestawieniu z jej wymową, analogią do dnia dzisiejszego, podwaja, o ile nie potraja sukces zespołu, tym bardziej, że dorośli chcieliby wiedzieć jak widzą i czują pewne zagadnienia z dorosłego życia, w wypadku „Nowego wyzwolenia" tak głębokiego w warstwie myślowej i podtekstach — młodzi „83" Głębokie zrozumienie bardzo trudnego tekstu i specyficznego języka Stanisława Witkiewicza przez tych młodych ludzi, powoduje mój podziw dla ich z pewnością ogromnej pracy włożonej w przygotowanie tego spektaklu. Na dzielnicowym przeglądzie teatrów na Widzewie „Nowe wyzwolenie" otrzymało główną nagrodę. Zdziwiony jestem, że nie znalazłem tego przedstawienia w zestawie repertuarowym VI Konfrontacji Teatrów w Łodzi, zorganizowanych przez DDK-Bałuty. Konkurencja na szczeblu dzielnicowym jest dobra w zdrowym jej potraktowaniu w skali miasta, ale w skali ogólnopolskiej, warto chyba, wręcz trzeba pokazać to, co w Łodzi najlepsze, choćby nawet kosztem zabrania nagrody przez inną dzielnicę tego samego miasta. Sądzę, że Studio Teatralne „Słup" znajdzie odpowiednich opiekunów w Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Widzew, który zorganizuje pokaz „Nowego wyzwolenia" nie tylko w naszym mieście. O laurach tego ambitnego zespołu będziemy jeszcze z pewnością słyszeć i czytać.

BOHDAN GADOMSKI

Na zdjęciu: Robert Łuchniak w roli Ryszarda III w sztuce St. I. Witkiewicza „Nowe wyzwolenie". Studio Teatralne „Słup".

Nie ma miejsca dla „Błękitnych zwierząt"

Helmtrud Nyström — „Zdarzenie z palmową kobietą"

Jest tajemnicza i nierzeczywista.
Nierealna.
Prehistoryczna i dziecinna.
Jest zaprzeczeniem oczywistości, intelektu i natury.
Zaprzeczeniem maszyny.
Wydaje się być bardzo świeża.
Subtelna i poetycka.
Zupełnie irracjonalna i bez sensu.
Jest bardzo tajemnicza.
Coś przed nami ukrywa.
Wie co to jest dadaizm i obrazy Paula Klee.
Być może lubi stare miniatury w starych księgach.
Nie jest nudna.
Może zdarzyło jej się zwiedzać stanowiska archeologiczne gdzieś na południu?
Ona nie rysuje.
Raczej pisze.
Lubi się bawić, ale nagle poważnieje.
Na pewno maluje!
Wtedy mówi zupełnie innym głosem i dłonie jej wykonują zupełnie inne ruchy.
Zmienia się wtedy kolor jej oczu.
Zamyka się w sobie i używa koloru niebieskiego.
Potrafi być słoneczna i pełna wewnętrznego ciepła.
Lubi zwierzęta i drobne kolorowe kamyczki.
Nigdy nie może zdążyć z opowiedzeniem tego, co chce opowiedzieć.
Nagle kończy się jej kartka.
Myśli, że inni myślą, że to, co opowiada, jest zmyślone.
A to szczera prawda!?
Tak naprawdę było i jest.
Nie chciałaby jednak, aby traktowano ją zawsze zbyt poważnie.
Tylko czasami.
Uważa, że rzecz, którą tworzy artysta powinna być szlachetna szlachetnością starych foliałów i romańskiego malarstwa.
Jest erotyczna, ale ukrywa to w systemie znaków.
Wymyśliła sobie własny alfabet.
Kolor dla niej jest żywą istotą.
Kiedy się z nim umiejętnie obchodzić ożywa albo usypia.
Wzlatuje bardzo wysoko albo zagrzebuje się w piasek.
Wtedy płaczą wyschnięte rzeki.
I góry przewracają się na bok.
Największym jej marzeniem to napisać kiedyś mapę świata i narysować królika wielkiego jak dom.
I potem to wszystko pomalować.
Wie, że można obłaskawić wszystkie zwierzęta.
Można też ugłaskać surrealizm.
W jej mitologii Europy nie porwał byka świnio-tapir.
Ponieważ świat ma zabłocone buty, dawno się nie kąpał i śmierdzi mu z gęby, lepiej nie zapraszać go na herbatę.

Te uwagi odnoszą się do grafiki Helmtrud Nyström. Do barwnych akwafort, które są bardzo pięknie zrobione. Mówiąc językiem Babla — one są zrobione smacznie. Nyström potrafi bawić się tworzeniem w sposób tyleż bezinteresowny, co skuteczny. Pochodzi z Hanoweru, studiowała w Malmö, mieszka w Lund. Pokazuje swoje prace w Salonie Sztuki Współczesnej na ulicy Piotrkowskiej. W ramach imprez towarzyszących wystawie Małe Formy Grafiki.

ANDRZEJ GRUN

Kilometry zmarnowanej taśmy

„Jeżeli tak wygląda typowe, współczesne kino japońskie, to nie dziwię się wcale, że Kurosawa chciał popełnić samobójstwo" — podsumowała szumnie reklamowany Przegląd Filmów Japońskich jedna z moich znajomych.

A ja chciałbym bardzo porozmawiać, ale tak po męsku, z tym kimś, kto całą imprezę wymyślił i sprowadził do Polski taką chałę. Rozumiem — zamierzano zrehabilitować się w oczach kinomanów za niewywiązanie się z przyjętych na siebie zobowiązań — wszak maj i czerwiec miały być miesiącami, w których chciano pokazać drugie w tym roku Konfrontacje (interesujące jest, dlaczego cała sprawa utonęła w morzu milczenia. Nikt, w imię najzwyklejszej zawodowej przyzwoitości, nie wyjaśnił, co spowodowało, że do Konfrontacji nr 2 nie doszło). Tymczasem osiągnięto efekt akurat przeciwny do zamierzonego — zwiększyły się jeszcze frustracje widzów, którym program: oszczędzajmy na kulturze, realizowany niestety w praktyce, odebrał przywilej w miarę uczciwego kontaktu ze współczesnym światowym kinem.

Trudno się jednak dziwić, że ludzie przychodzący regularnie co dwa dni przez dwa tygodnie do kina czuli się wystrychnięci na dudka, skoro nawet największy przebój Przeglądu „Huczący ogień", z supermistrzem karate, Sonny Chibą, następcą Bruce'a Lee, okazał się niewypałem.

„Nowatorstwo" tego obrazu okazało się czymś przekraczającym wytrzymałość nerwową przeciętnego polskiego widza. Reżyser nie chciał zdecydować się na jedną klarowną konwencję, w której chciałby utrzymać cały film. Podejrzewam, że spowodowane to było brakiem czysto rzemieślniczych umiejętności Noribuni Suzuki. Dramatyczna scena śmierci siostry bohatera sąsiaduje z kiczowatym, z farsy wyjętym, pościgiem, w czasie którego dochodzi do efekciarskich, jawnie trickowych pojedynków wzbudzających jedynie szmer niezadowolenia na widowni. Pomieszanie z poplątaniem. Jeżeli się nie respektuje reguł filmowej baśni, którymi rządził się obraz z Brucem Lee, trudno liczyć na uznanie. I właściwie tylko żartobliwa aluzja, zupełnie nie z tego filmu, wywołuje uśmiech zrozumienia: nad kawiarnią, do której za chwilę wejdzie bohater, widnieje napis „Casablanca". Kamera pokazuje przytulne wnętrze lokalu, ślizga się po ścianach, na moment zatrzymuje się na wiszącym tu zdjęciu — portrecie Humprey'a Bogarta, by za chwilę skupić naszą uwagę na siedzącym za kontuarem mężczyźnie w białym smokingu, trzymającym w charakterystyczny (gdzieś zapamiętany?) sposób papierosa w dłoni, o twarzy... smutnego Japończyka.

Inne „rodzynki" japońskiej kinematografii nie miały nawet takich swoich „pięciu minut" rzetelnego kina. Chociaż nie da się ukryć, że na melodramacie z początku naszego wieku o wielkiej, niespełnionej miłości można było wysiedzieć tylko dlatego, że w tle opowiadanej historii pokazywano nam piękno dalekowschodniego krajobrazu. Jakże słuszna była propozycja, która padła w trakcie projekcji z sali, żeby zmienić tytuł filmu — „Dzika Róża" na — „Pocztówka z Japonii". Trudno bowiem zaakceptować love story, którego motywem przewodnim jest... chodzenie. Bohaterowie chodzą i chodzą, perfidnie wysyłani wszędzie razem — po bawełnę, kukurydzę, towary z miasta, drepczą ze sobą nic nie mówiąc, od czasu do czasu spoglądając sobie w oczy i uśmiechając się do siebie. I kiedy wszyscy oczekują, że za moment coś się wreszcie zacznie dziać, film się... kończy śmiercią dziewczyny. Pozostaje nieukojony w żalu chłopak, który nie potrafi zapomnieć o ukochanej nawet po wielu, wielu latach.

Już tylko dla potwierdzenia nicości pokazywanych obrazów podzielę się wrażeniami z jeszcze jednego filmu — tym razem dramatu kryminalnego z psychologicznymi ambicjami pt. „Dworzec". Tu wyborowy strzelec — kandydat na Olimpiadę, w cywilu — inspektor policji, decyduje się dla swych sportowych i zawodowych pasji poświęcić życie rodzinne: rozwieść się z żoną, zapomnieć o dziecku. Po tragicznej śmierci przyjaciela (też inspektora), który ginie zastrzelony przez gangstera, nasz bohater dostrzega, że wokół niego nie ma nic, tylko pustka i beznadzieja. I to „nic" plastycznie pokazuje się na ekranie.

Bohater snuje się bez celu i sensu przez długie, długie minuty po różnych zakątkach różnych miast, najczęściej odwiedzając dworzec w bliskiej mu miejscowości: tu kiedyś po raz ostatni żegnał się ze swoją żoną (stąd zapewne tytuł filmu), odbywa długie, nic nie znaczące rozmowy, spotyka wreszcie kobietę, z którą chciałby coś przeżyć, ale nie umie się z nią porozumieć — to też zostało niestety pokazane: np. siedzą oboje nad dzbanuszkami sake, milcząc spoglądają bezmyślnie w ekran telewizora. W końcu, rozczarowany i zgorzkniały (jego kobieta żyje z mordercą jego przyjaciela — taka komplikacja!), decyduje się na... samotność.

A reszta? Nie, nie zamierzam pisać o pozostałych filmach przeglądu. Po co się denerwować, uświadamiając sobie po raz kolejny, że straciło się ponad 14 godzin na oglądaniu kinowej chały!

Smutne jest to, że przedstawiciel kinematografii japońskiej (w wywiadzie dla „Pegaza") uważa ten przegląd za bardzo reprezentatywny dla współczesnego rodzimego kina. Podkreślił nawet, że kilka z pokazanych filmów to przeboje sezonu!

Pocieszające jest z kolei, że większość naszych polskich filmów ostatniego okresu takiego ubóstwa formalnego, treściowego, myślowego, choć bliska, jeszcze nie osiągnęła.

PAWEŁ STRZELECKI

Tam, gdzie dachy słomą kryte (7)

JERZY ŻUKOWSKI

W poprzednim odcinku autor opowiadał m.in. o przygotowaniach i ataku oddziału Sama na stację kolejową w Słotwinach, gdzie zmagazynowana była broń, którą postanowiono zdobyć. Dziś dalszy ciąg tej relacji:

Po opanowaniu budynku, uwięzieniu Niemców w pomieszczeniu z zakratowanymi oknami i uprzedzeniu polskich kolejarzy, by siedzieli cicho, co uchroni ich przed gestapo, należało teraz dostać się do magazynu broni. Drzwi do niego wzmocnione były grubą blachą i zamknięte na dwie sztaby z masywnymi kłódkami. Nie tracąc czasu na szukanie kluczy, Nero założył ładunek plastyku i odpalił go. Wyrwa w drzwiach okazała się jednak za mała, by przez nią wejść do środka, więc Koszka, Leser i Dąb musieli otworzyć drzwi stalowym łomem. Po zapaleniu światła, w tumanie opadającego kurzu i tynku oczom chłopców przedstawił się bajkowy widok.

Pod jedną ze ścian leżały karabiny, obok nich — skrzynki z amunicją, dalej — karabiny innego typu, sześć ciężkich rosyjskich cekaemów na kółkach typu maxim, a przy nich blaszane skrzynki z taśmami amunicyjnymi. Na ławie leżały dwa erkaemy, pepesze i kartoniki z amunicją do nich. Było tego wszystkiego chyba ze ćwierć wagonu. Przez głowy chłopców przeleciała myśl: tyle broni, przecież wszystkiego i tak nie da się zabrać.

Wirek zdecydował szybko: brać erkaemy, pepesze, sześć skrzynek amunicji i ile się da karabinków i zbiórka na peronie. Sam chwycił pepeszę (nareszcie miał broń z iglicą), włożył do kieszeni tyle amunicji, ile dało się zmieścić i zbiegł na dół, na peron, zaniepokojony strzałami, jakie się tam rozległy.

Chłopcy nie mogli zdecydować się w wyborze łupu, kazali nawet jednemu z Niemców wyciągnąć na peron maximy. Uwijali się szybko i kiedy ostatni z nich, jak wszyscy, obładowany bronią opuścił magazyn, Nero podłożył pod stertę pozostawionych karabinów resztę plastyku i założywszy do detonatora spłonkę z opóźnionym zapłonem, zamknął drzwi. Gdy wszyscy byli w końcu korytarza, w magazynie znów huknęło.

W tym samym czasie od strony torów w kierunku dyspozytorni szedł uzbrojony Niemiec. Obstawa peronu powaliła go celnym strzałem. I zanim jeszcze Wirek zszedł na dół, z kierunku bocznic, gdzie leżał patrol Kapra, rozległy się pojedyncze strzały karabinowe. Prawdopodobnie w którymś ze stojących na bocznicy wagonów niemiecki wartownik zauważył podejrzany ruch i zorientowawszy się, iż zrobiono napad na parowozownię, zaczął strzelać, a jego strzały zaalarmowały innych Niemców. Chociaż strzelający zza wagonów Niemcy byli w mroku nocy niewidoczni, Kaper szepnął do leżących obok chłopców z patrolu:

— Walcie do nich.

— Ale nie widać celu — odpowiedzieli.

Na to Kaper: — Walcie na nosa.

Osa, Fred i Berkut kropnęli parę strzałów wzdłuż wagonów w kierunku, gdzie widzieli błyski ognia. Po chwili usłyszeli z daleka głośny jęk „O mein Gott". Któryś z Niemców został widać przypadkiem trafiony. Potem — drugi i strzały z wagonów ucichły. Nagle do odgłosu strzałów dołączył się niespodziewanie długi gwizd lokomotywy. Od strony Wykna nadjeżdżał właśnie spóźniony przeszło godzinę pociąg osobowy, hamując powoli przed stacją. Ale gdy parowóz mijał stanowisko patrolu Kapra i maszynista usłyszał strzały, dodał pary, choć miał przed sobą czerwone światło, i nabierając znów rozpędu pociąg minął stację, znikając wkrótce w mroku.

Tej nocy wydarzenia i niespodzianki następowały po sobie jak w kalejdoskopie. Zaraz po przejechaniu pociągu, gdy ostatni już chłopcy opuszczali peron, ciągnąc za sobą cekaemy, a Koszka zamknął wszystkich Niemców w budynku na klucz i odwołał wartowników, całkiem niespodziewanie odezwały się strzały po drugiej stronie torów. Serie z cekaemów — jedna po drugiej — szły w las. Jak się później okazało, na dość odległym od parowozowni torze na górce rozrządowej nocował opóźniony pociąg z wojskiem. Słysząc strzelaninę, przygłuszoną łomotem przejeżdżającego pociągu osobowego, i nie mogąc zlokalizować dokładnie jej miejsca, niemieccy żołnierze otworzyli ogień na wszelki wypadek w kierunku pobliskiego lasu. Wiedzieli przecież, że w lesie mogą być ukryci partyzanci. Tymczasem oddział był już na polu za budynkiem parowozowni. Gdy czwarty patrol — jako ostatni — dołączył, w pozostałych patrolach sprawdzano stan liczebny. Nikogo nie brakowało.

W parę minut po północy oddział zaczął się oddalać od stacji Słotwiny. Oświetlająca pola poświata księżyca ułatwiała znacznie marsz. Zdobyte łupy rozdzielono między wszystkich chłopców. Dwa zabrane cekaemy, choć na kółkach, trzeba było nieść, żeby nie zostawiać śladów. Były bardzo ciężkie i do każdego z nich trzeba było przydzielić aż czterech ludzi. Szybko przekonano się, iż choć od przybytku głowa nie boli, to jednak czasem bardzo bolą ręce.

Gdy w pełnym świetle księżyca oddział dochodził do niedużego wzniesienia, usłyszano długą serię z cekaemu, ale kule przeszły nad głowami chłopców. Wirek krzyknął: „Rojem" i oddział natychmiast zmienił szyk marszu. Widocznie dostrzeżono go przez lornetki z transportu wojskowego niedaleko stacji, bo po chwili znów rozległy się strzały z cekaemów. Te i następne też przeszły nad głowami, a kiedy za grzbietem wzniesienia zniknęła wreszcie stacja, oddział wszedł na miedzę i dalej pomaszerował już normalnym szykiem, czyli gęsiego, by pozostawić za sobą jak najmniej śladów.

Po pół godzinie postanowiono pozbyć się maximów — były jednak zbyt ciężkie dla lotnego oddziału partyzanckiego nie posiadającego żadnych podwód. Na polu nie można ich było pozostawić, więc gdy po krótkim odpoczynku dotarto do wsi Długie, na skraju której stała kuźnia, a przy kuźni był duży staw, wrzucono oba cekaemy do wody. Uwolniwszy się od nich, pozostałą broń i amunicję rozdzielono i teraz całe towarzystwo żwawym krokiem mogło już wędrować do odległej od Słotwin wsi Kolacinek. Po zakwaterowaniu, rozstawieniu wart i ustaleniu służb, chłopcy rozlokowali się w stodole na sianie i zasnęli.

Akcja na Słotwiny zakończyła się pełnym sukcesem. Nikt nawet nie został ranny. Jedynie Melania zwichnął sobie rękę, a Nurek podczas szamotaniny z Bahnschutzem zgubił swą wojskową czapkę z orzełkiem. Jak się później okazało, dzięki tej czapce Niemcy wprowadzeni zostali w błąd i posądzali o napad na stację w Słotwinach jakiś duży oddział partyzancki, który — ich zdaniem — musiał przywędrować tu aż z okolic Końskich. Nie szukano go zatem w rejonie działania oddziału Sama.

XI. POWRÓT DOWÓDCY

Pobudka była jak zwykle około siódmej, lecz tym razem nikogo nie trzeba było budzić dwa razy. Mimo trudów minionej nocy, wszyscy ciekawi byli bowiem zdobyczy. Jeszcze przed śniadaniem zgromadzono cały łup w jednym miejscu. Dla chłopców był to wspaniały widok!

Po przeliczeniu, przejrzeniu i ponownym rozdzieleniu broni zarządzono zbiórkę całego oddziału, a gdy w przyjętej kolejności ustawiły się wszystkie patrole, trudno było poznać, że jest to ten sam oddział, co wczoraj. Dowódca i zastępca wyfasowali świeżo zdobyte empi, każdy patrol dostał erkaem. Dwaj patrolowi otrzymali steny, Kres — pepeszę, a doktor — długi pistolet Mausera. Wśród reszty rozdzielono 22 karabinki SW-40 (tak zwane „samozariadki" — krótkie, bardzo lekkie, z tłumikiem ognia, automatyczne, dziesięciostrzałowe — idealne dla partyzantki) i pięć najlepszych karabinów Mausera. Poza tym co trzeci żołnierz miał również pistolet, a kilku — po granacie.

W ciągu jednej nocy zdobyto tyle broni, że razem z już posiadaną wystarczyłoby na wyposażenie drugiego czterdziestoosobowego oddziału. Mając pod dostatkiem rosyjskiej amunicji, postanowiono przestawić się głównie właśnie na rosyjskie uzbrojenie, a resztę zabezpieczyć w odpowiednim miejscu.

Tak więc dzień mijał na zapoznawaniu się ze zdobyczami i opowiadaniu wrażeń minionej nocy. Wszyscy dowiedzieli się też jak to było z „dezercją" Leliwy.

Po opuszczeniu kwatery u Brzozy, pękło mu sznurowadło i by je zawiązać — korzystając z odpoczynku oddziału na miedzy — oddalił się od kolegów. Zrobił tak, ponieważ musiał włożyć okulary, a nikt nie wiedział, iż ma osłabiony wzrok. Bał się, że z tego powodu może zostać zwolniony z oddziału. I kiedy po uporaniu się ze sznurowadłem wrócił na miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą odpoczywali koledzy, stwierdził z przerażeniem, że oddziału „ani dychu, ani słychu". Głośno zawołać nie miał odwagi, puścił się biegiem w kierunku, gdzie spodziewał się odnaleźć kolegów. A ponieważ i tam nie było nikogo, zdecydował samotnie iść na stację w Słotwinach. Dotarłszy na miejsce, zorientował się, że oddział musi być jeszcze w drodze. Czekając, skrył się w kępie drzew przed budynkiem administracji parowozowni i stamtąd obserwował najbliższe otoczenie. Po nadejściu oddziału obserwacje Leliwy okazały się bardzo przydatne i ułatwiły ocenę sytuacji na stacji.

Tegoż wieczora, jak zwykle po zachodzie słońca, urządzono wieczorynkę dla gospodarzy i tych, którzy w ciągu dnia zatrzymani zostali w „kotle". Wszyscy wypili po kieliszku bimbru na pohybel Niemcom, a Wirek wyraził swe uznanie dla postawy chłopców w czasie akcji. Wygłaszano różne komiczne monologi, opowiadano kawały, śpiewano piosenki wojskowe i partyzanckie. I kiedy Kaper, jak zwykle prowadzący wieczorynkę, zaintonował adaptowaną z oddziału Wichra piosenkę — hymn oddziału, chłopcy pomyśleli sobie, że teraz to już naprawdę mogą się nazywać Jędrusiami. Z ich ust popłynęło:

Tam, gdzie dachy słomą
kryte pośród drzew,
Tam, gdzie jasne słonko wita
ptasząt śpiew,
Tam, gdzie Wisła płynie,
wiosną szumi gaj (bis)
Tam ma Ojczyzna i mój
polski kraj...

Po wieczorynce, pożegnawszy miłych gospodarzy, oddział opuścił kwaterę i wsiąkł w mrok nocy. Tylko szczekanie wiejskich psów wskazywało kierunek, w jakim się oddalił.

W trzy dni po akcji na stację w Słotwinach Wirek odwołany został z oddziału przez Komendę i skierowany do pracy w Kedywie w Koluszkach. Powrócił natomiast Sam, który niedawno dostał awans na podporucznika, czego mu wszyscy serdecznie gratulowali. Sam przyniósł też rozkazy dowództwa z awansami i dla innych członków oddziału, co było powodem wielkiej radości i okazją do urządzenia specjalnej uroczystości.

Stopniowo oddział zdobywał coraz większe zaufanie u gospodarzy, u których kwaterował. Niejeden z nich poczytywał sobie za zaszczyt gościć u siebie oddział Sama, który sumiennie płacił za każdą szklankę mleka i każdy kawałek zjedzonego chleba. Zachowanie chłopców było na najwyższym poziomie. Nie było przypadków pijaństwa, nigdy też nic nikomu nie zginęło.

XII. „PATENT" BERKUTA

Podczas parodniowego dekowania się w okolicach Głowna, gdzie oddział Sama zajmował kwatery po raz pierwszy, nic szczególnego się nie wydarzyło. Co prawda Niemcy ponownie urządzili obławę w Lesie Rogowskim, ale i tym razem nie natrafili na ślady partyzantów. Tymczasem oddział, postawiony w stan ostrego pogotowia, czekał na kwaterze na dalszy rozwój wypadków. Późnym popołudniem w dniu obławy na kwaterę przybył łącznik i powiadomił, iż Niemcy odjechali. Pogotowie odwołano i zaczęto szykować się do kolejnej roboty. Tuż przed północą w kierunku Warszawy przejeżdżać miał duży transport wojskowy i należało „podstawić mu nogę" — tak brzmiał rozkaz.

O wyznaczonej porze i w wyznaczonym miejscu obstawiono tory, do których zamocowano ładunki wybuchowe, czekając na pojawienie się pociągu. Tym razem ładunki miały być odpalone ręcznie ze stanowiska obserwacyjnego, gdyż Niemcy zastosowali nową taktykę, wysyłając przed ważnymi transportami inne pociągi, należało więc uważać, by wysadzić ten właściwy. Niestety, tej nocy transportu nie było i oddział musiał wycofać się na kwaterę. Niemcy chyba coś zwietrzyli, gdyż wysłali transport wojskowy z Koluszek dopiero tuż przed wschodem słońca.

Po tej nieudanej akcji wszyscy chodzili markotni, gdyż ominęła ich okazja ostrzelania wagonów wykolejonego pociągu i wypróbowania tym samym zdobytej w Słotwinach broni. Sam postanowił jednak dać chłopcom możliwość postrzelania. W godzinach przedwieczornych oddział opuścił niepostrzeżenie kwaterę — zasłonięte drzewami gospodarstwo, i zszedł do jaru, wychodząc następnie na jego drugi brzeg, po czym rozłożył się na płaskim polu. Ustawiono prowizoryczne tarcze z desek owiniętych papierem i w ten sposób urządzono strzelnicę. Każdy z patroli strzelał po kolei, gdy w tym czasie inne ubezpieczały całą operację.

Podczas tych ćwiczeń strzeleckich towarzystwo przeżywało dużą emocję i odczuwało satysfakcję, jako że po raz pierwszy, nie zmuszony okolicznościami, oddział wystąpił w dzień, dając do zrozumienia Niemcom, których ktoś z pewnością poinformował, iż stanowi silną i dobrze uzbrojoną jednostkę, z którą trzeba się liczyć. Dzięki tym ćwiczeniom strzeleckim oddział nabrał też u miejscowej ludności wielkiego poważania. Z dużą przesadą podawano wiadomości o jego stanie liczebnym, co dawało poczucie bezpieczeństwa okolicznej ludności, mogącej liczyć na obronę ze strony partyzantów. Mniej pewni siebie poczuli się za to donosiciele.

Do zmroku oddział zatrzymał się w niewielkim lasku, gdzie zjedzono suchą kolację, po czym, nie spiesząc się, minął wieś Przyłęk, przeszedł na drugą stronę torów pod tunelem, przeciął Las Rogowski, wychodząc w pobliżu wsi Jasienin i skierował się dalej na południe ku folwarkowi Leszczyny. Maszerując skrajem lasu, usłyszano nagle z tyłu serię strzałów z broni automatycznej. Chłopcy natychmiast przypadli do ziemi, oczekując na następne strzały, ale w lesie słychać było tylko głosy przebudzonych nagłym hałasem ptaków. W pierwszej chwili pomyśleli, że to Niemcy urządzili zasadzkę, ale zaraz potem — że przecież jest noc i skraj lasu, a Niemcy niezbyt chętnie zaglądali do lasu podczas nocy. Od czoła oddziału poszło więc szeptanie:

— A może po prostu któryś z erkaemistów rąbnął sobie serię?

Okazało się jednak, że nie i dopiero po pewnym czasie najmłodszy ze wszystkich, strzelec Berkut, przyznał się cicho, iż to jego „samozariadka" sama wypaliła i to ogniem ciągłym, prawdopodobnie na skutek zawadzenia spustem o jakąś gałąź. Podczas dalszego marszu zachodzono w głowę, jak było to możliwe, skoro karabin SW-40, choć automatyczny, strzela przecież ogniem pojedyńczym.

Po przyjściu na kwaterę w folwarku Leszczyny Kaper z samego rana wezwał do siebie Berkuta i obaj dokładnie obejrzeli jego karabin. Zauważyli, że spust założony był odwrotnie niż powinien, czyli kabłąkiem do przodu, co powodowało, iż cofający się po strzale zamek nie zaczepiał o przytrzymywany palcem spust i wracał do przodu, dzięki czemu padał następny strzał. Powtarzało się to aż do momentu zwolnienia nacisku na język spustowy.

Okazało się, że poprzedniego dnia wieczorem po wyczyszczeniu karabinu, składając go o zmroku, Berkut pomylił się i odwrotnie założył spust, a także zapomniał zabezpieczyć broń. W ten oto przypadkowy sposób Berkut dokonał niezwykle ważnego dla oddziału odkrycia, iż wszystkie „samozariadki" przerobić można w ten sposób na ogień ciągły, co też zaraz zrobiono. I tak oto oddział miał 22 karabiny strzelające dodatkowo ogniem ciągłym, a to stanowiło już dużą siłę w starciu z przeciwnikiem bez artylerii i granatników.

Teraz można by już próbować przedrzeć się do walczącej Warszawy — pomyśleli chłopcy, którzy nie zdawali sobie jednak sprawy z trudności wykonania tego zamiaru. Mając to na uwadze, Komeda Okręgu zdecydowała, iż oddział Sama nadal pozostanie w dotychczasowym rejonie swojego działania i będzie wspomagał powstańców poprzez wykolejanie transportów wojskowych i utrudnianie komunikacji. Wiadomość o tym przyniosła łączniczka Andrzej, dostarczając również sprzęt saperski.

Jeszcze tej samej nocy na trasie Koluszki — Rogów, około kilometra od bloku sygnałowego Wągry, w dość płytkim wgłębieniu terenu, w czasie, kiedy zgodnie z rozkładem jazdy nie mogły przejeżdżać pociągi osobowe, założono na torze wiodącym do Warszawy minę. Po pewnym czasie usłyszano sapanie parowozu i pojawił się pociąg towarowy, ale o niewielkim składzie. Mina wybuchła — jak zwykle po przejechaniu lokomotywy, by ochronić polskich maszynistów — i cztery wagony spadły z toru. Zobaczywszy to, maszynista dodał pary i pociąg odjechał. Na rokaz Sama dla wypróbowania „patentu" Berkuta poszły w kierunku wykolejonych wagonów krótkie serie z przerobionych „samozariadek". Wszystkie strzelały ogniem ciągłym.

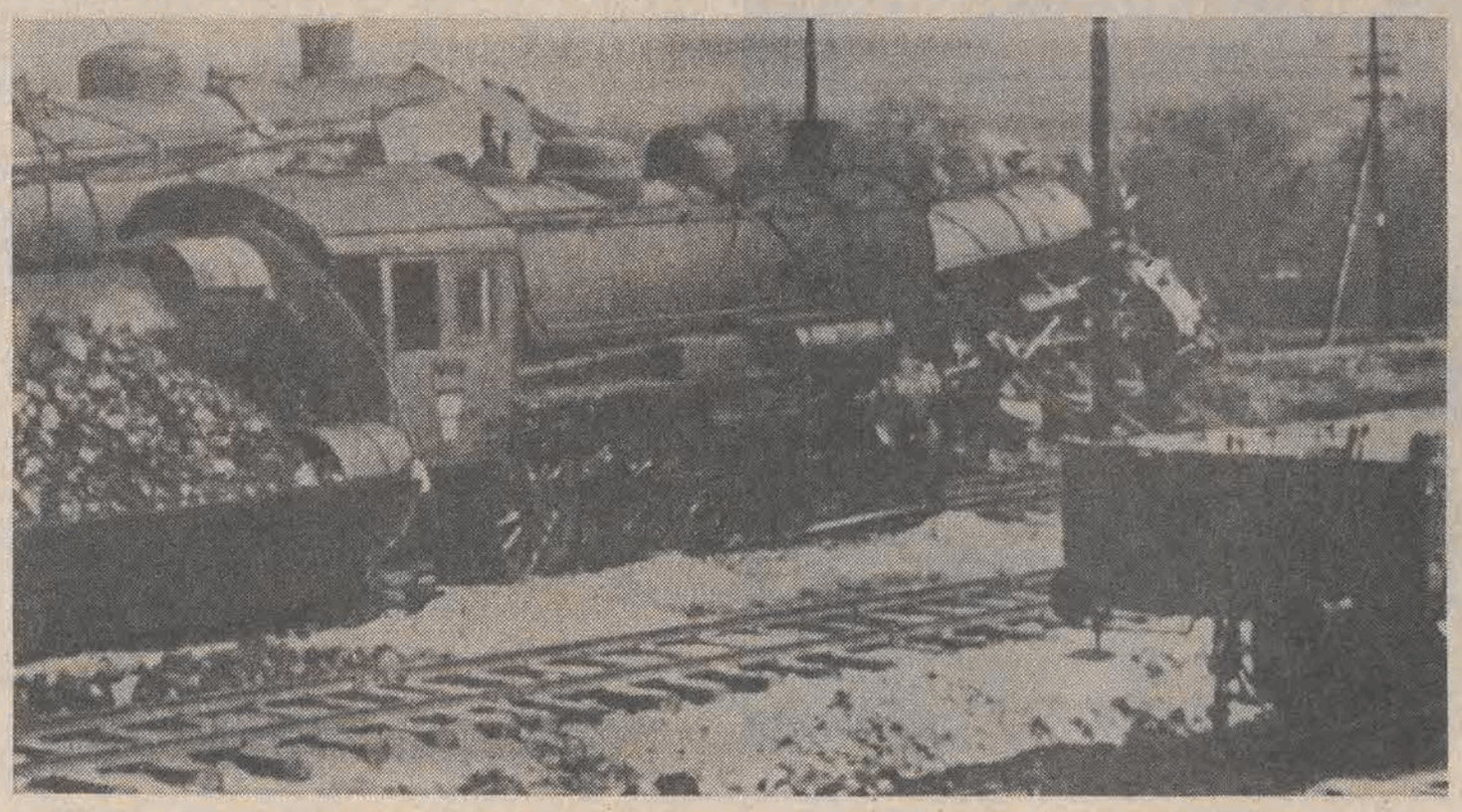

C.D.N.

Opracował i do druku podał
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Polemiki • Listy • Opinie

„Norma" po włosku

Po dłuższym okresie stagnacji, scena Teatru Wielkiego stała się ponownie czołową placówką życia muzycznego w mieście. „Fidelio". „Medea". „Żydówka" — to tylko część ostatnio wystawionych dzieł, które na powrót przyciągnęły zainteresowania melomanów do tego teatru.

Kolejna premiera 18 kwietnia 1983 — tym razem „Normy" V. Belliniego — nie pozostawiła już żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z dużym wydarzeniem artystycznym nie tylko w Łodzi, ale i w kraju.

Nowych, niebywałych dotąd przeżyć artystycznych dostarczyła nam premiera „Normy" 5 czerwca 1983 r. we włoskiej wersji językowej, z udziałem zaproszonych gości: Urszuli KOSZUT (Norma), Joszefa HORWATHA (Pollione) i Gerharda GEISTA (dyrygent).

Przedstawienie z udziałem Urszuli Koszut stało się prawdziwą ucztą duchową, dającą pełnię satysfakcji najbardziej nawet wybrednym i wymagającym melomanom. Artystka kreując na łódzkiej scenie operowej Normę (dopiero po raz trzeci w swojej zawodowej karierze), przekonała nas bez reszty, iż dysponuje nie tylko pięknym sopranem, ale także niezwykłym wprost temperamentem aktorskim oraz oryginalną i urzekającą urodą, co w teatrze operowym nie jest bez znaczenia. Te umiejętności i walory, pozwoliły artystce w sumie na wydobycie z dzieła Belliniego nowych i nieznanych nam na polskich scenach wartości tego arcydzieła światowej literatury operowej.

Śpiewaczka zademonstrowała nam głos nieskazitelny w swym brzmieniu, wyrównany w całej skali i czysty jak kryształ we wszystkich rejestrach. Jej interpretacja wokalna Normy odznaczała się absolutną precyzją i dokładnością, co świadczy również o dogłębnym przemyśleniu roli i całego dzieła do ostatniej nuty i gestu scenicznego; także w całym kontekście jego złożoności i uwarunkowań zarówno muzycznych, jak i scenicznych.

Mieliśmy w tym na wskroś romantycznym i wzruszającym przedstawieniu całe bogactwo ludzkich uczuć nie tylko przez artystkę wydobytych, ale i ukazanych z niezwykłym wprost pietyzmem i wirtuozerią. Przeżywaliśmy więc razem ze sceniczną Normą Urszuli Koszut, autentyczny ból, rozpacz, uniesienie i umiejętność dochowania wierności uczuć, nawet wbrew przeciwnościom, jakie niesie ze sobą ludzkie życie.

Joszef Horwath (Węgry) jako Pollione wykazał się dobrą grą aktorską i dużym doświadczeniem wokalnym. Jednakże głos w swej barwie, choć przypominający słynnego bułgarskiego tenora Mikołaja Nikołowa, to jednak nie dorównujący innym walorom wokalnym tego śpiewaka. Głos Horwatha nie zawsze był czysty w skrajnych rejestrach.

Tomasz Fitas, jako Orowist, wokalnie i aktorsko zaprezentował się umiarkowanie dobrze.

Adalgiza Ryszardy Racewicz nie pasowała całkiem do czołówki obsady. Artystka ta posiada niewątpliwe walory głosowe dane jej przez naturę, jednakże zbędne eksponowanie siły głosu w nie zawsze stosownych ku temu momentach odbierało nieco blasku całości przedstawienia.

MARIAN STRZELECKI

W Ugandzie czy w Galicji?

Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat ukazał się w naszej prasie tygodniowej syntetyczny a popularny artykuł, poświęcony historii Żydów. Jest niewątpliwą zasługą „Odgłosów", że sięgnęły do tej tematyki umożliwiając czytelnikom lepsze rozumienie jakże ważnych i brzemiennych w możliwe następstwa wypadków, dziejących się dzisiaj na Bliskim Wschodzie.

Do publikacji Franciszka Kowola pt. „Żydzi — syjonizm" w numerze 25 naszego tygodnika (z 18.06.83) pragnę dorzucić kilka ciekawostek, które może (a sądzę tu po własnym bardzo osobistym, czy raczej bardzo „prywatnym" stosunku do historii) ubarwią relacjonowaną przeszłość, ożywią ją i przybliżą.

Jak pisze Fr. Kowol, twórcą politycznego syjonizmu — w odróżnieniu od idealistycznego mesjanizmu syjonistycznego, kultywowanego przez Żydów przez całe stulecia — był Theodor Herzl, paryski korespondent wychodzącego w Wiedniu pisma „Neue Freie Presse". Pismo to poświęcało bardzo dużo uwagi toczącej się właśnie w Paryżu sprawie Dreyfussa (oficera francuskiego, Żyda z pochodzenia, oskarżonego niesłusznie o szpiegostwo, co stało się przyczyną wielkiego spięcia nastrojów nacjonalistycznych i antysemickich), a redaktor pisma, Maurycy Benedikt, żądał od Herzla wciąż nowych wiadomości i szczegółów. Pewnego razu telefonicznie skrzyczał swego korespondenta, że musi on w Paryżu zdziałać więcej dla sprawy Żydów, na co Herzl, tracąc cierpliwość, zawołał:

— Do diabła, nie mogę przecież utworzyć państwa żydowskiego!

— Co to znaczy, pan nie może? — wrzeszczał Benedikt — Pan musi!

I w odpowiedzi na to Herzl wraz z Maksem Nordauem, drugim korespondentem „Neue Freie Presse", zapoczątkował syjonizm..." 1)

Po paru latach działalności Herzl założył własne pismo — „Die Welt". „Sprawa, której służymy — pisał — jest wielka i piękna, jest dziełem pokoju, jest takim rozwiązaniem kwestii żydowskiej, które będzie pojednaniem. Jest to idea, która może natchnąć entuzjazmem wszystkich szlachetnych ludzi, niezależnie od tego, czy są chrześcijanami, Żydami czy mahometanami. Chcielibyśmy stworzyć zagwarantowaną przez prawo międzynarodowe ojczyznę dla tych Żydów, którzy nie mogą lub nie chcą zasymilować się w swym obecnym środowisku. Skupiamy się pod sztandarem Syjonu (—). Między wspomnieniem a nadzieją stoi nasz czyn. Nasze dzieło opiera się na gruntownym badaniu stosunków, ocenie politycznej sytuacji świata i zjednoczeniu wszystkich sił. „Die Welt" będzie organem tych ludzi, którzy chcą wyprowadzić żydostwo z tych czasów w lepszą przyszłość." 2)

Mimo tych zapewnień działalność Herzla nie zawsze liczyła się z realnymi możliwościami politycznymi i zawierała wiele elementów idealistycznych; w swych pismach dawał twórca nowego ruchu folgę wyobraźni, rozważał sprawę... bruków w przyszłych miastach przyszłego państwa, rozdawał wysokie funkcje i urzędy (tak np. Artur Schnitzler, znany pisarz austriacki, autor powieści i dramatów „Droga do wolności", „Anatol", „Zielona Kakadu" — miał zostać dyrektorem Żydowskiego Teatru Państwowego). „W pięknej, położonej wśród ogrodów i lasów stolicy — pisał Herzl — podąży uroczysty pochód do świątyni, aby dozgonnie obdarzyć władzą zwierzchnią dożę wybranego przez cały lud. Doża będzie miał na sobie haniebną odzież średniowiecznego Żyda: śpiczasty kapelusz i żółtą łatę. Dopiero w świątyni okryje się jego ramiona książęcym płaszczem, a na głowę włoży mu się koronę". 3)

Ustrojem przyszłego państwa miał być scentralizowany kapitalizm państwowy. Życiem gospodarczym miały rządzić liczne monopole, przewidywano nawet możliwość użycia wojska przeciw opornym robotnikom, też zresztą zorganizowanym w oddziały o strukturze wojskowej. 4) Jeszcze tylko nie było miejsca na mapie, w którym znaleźć się miało wymarzone państwo.

Oczywiście pierwszą myślą była Palestyna, bardzo wtedy uboga kolonia angielska. Było tam już od pewnego czasu prowadzone osadnictwo Żydów na ziemi, zakupionej przez Rotschilda, nikt jednak nie mówił o tworzeniu struktur państwowych. Kolejne zjazdy syjonistów proponowały wydzielenie części terytoriów Argentyny lub Brazylii, a na VI zjeździe w roku 1903 proponowano... Ugandę. Wniosek przegłosowano i wystąpiono z nim do rządu angielskiego, który i tu był suwerenem — odpowiedzi jednak nie było. 5)

Rzeczywiście — jak pisał Fr. Kowol w „Odgłosach" — syjoniści uważali antysemityzm za ruch pożyteczny, bo dopingujący Żydów do działań na rzecz własnego państwa. Jednocześnie trzeba powiedzieć, że postępowe nurty we wszystkich krajach diaspory uważały syjonizm za ruch wsteczny, zachowawczy, utrudniający współżycie Żydów z ludnością tych krajów i pogłębiający ich gettową izolację. O wspomnianym już szóstym zjeździe syjonistów pisał Szymon Rundstein w postępowym, socjalistycznym tygodniku „Ogniwo", redagowanym przez Wacława Nałkowskiego: „Był to zjazd Żydów z getta o fanatyzmie, lekkim tylko pokostem kultury pociągniętym. Gdy powrót do Palestyny stał się urojeniem — czyż naprawdę w jakimś dziewiczym zakątku Afryki rozświetlić się będzie w stanie ognisko żydowskiej cywilizacji?". 6)

Jak curiosum brzmi dzisiaj koncepcja, wysunięta w czasie pierwszej wojny światowej przez Niemca, Alfreda Lemma. Wysunął on projekt utworzenia niezależnego państwa żydowskiego w Galicji, a to „celem lepszego zachowania w Europie odrębności rasowej Żydów i kojarzenia jej później w całej swej nieskażonej czystości z elementami germańskimi w celu stworzenia typu europejskiego nadczłowieka" (sic!) 7)

Cóż za przewrotność historii: Niemiec chce kojarzyć rasę germańską z rasą żydowską i w ten sposób wyhodować arcyrasę nadludzi! Cóż by o tym powiedzieli złowrodzy wyznawcy Rosenberga, Streichera i Goebbelsa?

Ostatecznie, jak wiemy, powstała Palestyna i zaczęły się w niej od razu waśnie żydowsko—arabskie. Pełni entuzjazmu osiedleńcy, pierwsi obywatele nowego państwa, tworzyli z niczego nowe instytucje, brali pod uprawę wiekowe nieużytki, wznosili przemysł, budowali drogi, porty i mosty. Z niekłamanym podziwem pisali o tym nasi polscy literaci i publicyści, odwiedzający w latach trzydziestych Palestynę: Maria Kuncewiczowa w „Mieście Heroda" (wznowionym w roku ubiegłym), nawet zdeklarowany antysemita Adolf Nowaczyński w „Listach z Palestyny" (publikowane w tygodniku „Kronika Polski i świata" w 1938 roku). Nieustanne walki z Arabami spowodowały, że już w 1937 roku Anglicy wystąpili z projektem podziału Palestyny na monarchię arabską (dzisiejsza Jordania) i republikę żydowską (dzisiejszy Izrael). Podział ten po wielu perypetiach doszedł do skutku i też niczego nie załatwił. Sprawa nadal obfituje w tysiące zawikłań narodowościowych, ekonomicznych, politycznych i stanowi przedmiot czujnej, niespokojnej uwagi całego świata. I tak jak od początku istnienia syjonizmu, ci, którzy go najwydatniej popierają finansowo — wielka burżuazja żydowska — najmniej kwapią się do osiedlenia w Izraelu.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć cytat, świadczący wymownie o wielkim klasowym pomieszaniu pojęć w łonie samego narodu żydowskiego. Cytat pochodzi z komunistycznego pisma „Kronika dwutygodniowa", jakie przez krótki czas ukazywało się w Łodzi w roku 1933 pod redakcją Zenona Kliszki. Otóż w numerze 7 z 15.06. 1933 „Kronika" przytacza wypowiedź profesora seminarium rabinicznego w Berlinie, doktora Weinberga, zamieszczoną na łamach wiedeńskiego pisma ortodoksów żydowskich „Jüdische Presse" (jest po objęciu władzy przez Hitlera i po pierwszych pogromach antysemickich w Rzeszy):

„W ogólności w kołach żydowskich, a zwłaszcza ortodoksyjnych, żywi się wiele sympatii i zrozumienia dla niemieckiego przebudzenia się — czego wodzowie tego ruchu bynajmniej nie zapoznają (tzn. nie przeoczają — przyp. mój). Żydzi religijni wdzięczni są Hitlerowi za energię, z jaką zwalcza komunizm i bezbożników, którzy usiłują w Rosji zniszczyć naszą religię i zagrażają wszystkim cywilizacjom, opartym na religii. Zapewne, podczas tej wielkiej rewolucji, dokonującej się obecnie w Niemczech, zdarzyły się zajścia przeciwżydowskie. Bynajmniej jednak nie można odpowiedzialności za nie składać na rząd, ani na partię".

Kiedy dziś czytamy te słowa, wydają nam się nieprawdopodobne. A przecież zostały napisane — historia jest bowiem jednym wielkim ciągiem tragicznych pomyłek i błędów. Ale — przyznajmy — jaka jest przy tym fascynująco ciekawa!

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

1) Anegdotę tę podaję za E.E. Kischem, który umieścił ją w kapitalnej antologii „Klasycy dziennikarstwa" z 1959 r. na str. 229.
2) „Die Welt" nr 1 z 3.06.1897 r.
3) Aureliusz Kac: „Pamiętniki Theodora Herzla". Mies. „Droga" nr 3 z 1933 r.
4) Jak wyżej.
5) Szymon Rundstein — „Perypetie syjońskie". Tyg. nauk. społ. liter. i polit. „Ogniwo" nr 37 z 5.09.1903 r.
6) Jak wyżej. O poziomie i ideologicznym nastawieniu tygodnika „Ogniwo" niech świadczy fakt, że oprócz Wacława Nałkowskiego pisali w nim Andrzej Strug, Leon Wasilewski, Adam Plug i ksiądz Włodzimierz Kirchner, autor broszury „Wojna z nędzą na Bałutach".
7) Alfred Lemm w roczniku „Das Ziel" za rok 1916. Cytuję za: J.P. Ardeschah — „Niemcy wczoraj i dziś", w „Nowym Przeglądzie Literatury i Sztuki" nr 2 z lipca 1920 r.

Co dalej z Wieliczką?

Wielka sól — magnum sal! Zaczęto ją systematycznie wydobywać w wielickich salinach w połowie XIII wieku, ale już w czasach przedpiastowskich eksploatowano tu solankę. Przez całe stulecia docierała wielicka sól do najodleglejszych rejonów kraju i nawet poza granice Polski, przysparzając dochodów królewskiemu skarbowi i wzbogacając mieszczan.

Intensywne wydobycie trwało aż do pierwszych lat Polski Ludowej, kiedy to nieopatrznie przyśpieszono wyczerpywanie się zasobów przez przemysłowe wypłukiwanie soli. Dziś kopalnia jest już praktycznie nieczynna i stanowi jeden wielki kompleks muzealny, którego zalążkiem było, powołane do życia przed kilkunastu laty podziemne Muzeum Żup Krakowskich, obrazujące wydobywanie soli kamiennej na tych terenach.

Ów kompleks jest zresztą jedyny w swoim rodzaju na świecie, bo i największy, i najciekawszy pod względem stanu zachowania dawnych pokładów. Wydrążono tu przez wieki ok. 300 km podziemnych korytarzy na kilku poziomach, do głębokości 327 m. Trzy górne poziomy, a więc najstarsze, udostępniane są zwiedzającym, ale główną atrakcję stanowi poziom trzeci, na głębokości 135 m. Napotyka się tu figury świętych, wyrzeźbione w soli przez domorosłych artystów spośród górniczej braci, szereg dawnych urobisk urządzono jako kaplice, a jedna z nich, pod wezwaniem patronki kopalni, świętej Kingi, swoimi rozmiarami, wyposażeniem i wystrojem wnętrza kwalifikuje się właściwie jako kościół.

Ale mamy jeszcze wspomniane tu arcyciekawe muzeum właściwe, a także wielką halę widowiskowo-sportową, gdzie odbywają się przeróżne uroczystości i rozgrywa się, na pełnowymiarowym boisku mecze koszykówki.

Tą zasługująca na poznanie, a zbyt mało rozpropagowana osobliwość turystyczna i kulturalna funkcjonuje na budżecie najskromniejszym w całym muzealnictwie polskim i czerpie główne dochody z własnej warzelni soli, ponadto także z wpływów z turystyki, która w ostatnich dwóch latach mocno podupadła ze względu na znane trudności z wyżywieniem i zakwaterowaniem, toteż chyba nieprędko wyrówna rekord 800 tys. turystów rocznie. W praktyce zwiedzanie Wieliczki odbywa się na zasadzie kilkugodzinnego wypadu z Krakowa.

Na jakie możliwości rozwoju liczy więc wielicki rezerwat górniczy? Przede wszystkim na uruchomienie w niedługim czasie nowej, wielkiej kopalni soli w nieodległej Bochni i na gospodarczą symbiozę z tamtejszą kopalnią. Bo zachowanie tego, co przetrwało pod ziemią wymagać będzie sporych i zapewne rosnących środków na utrzymanie w stanie pełnej sprawności wszystkich podziemnych instalacji i urządzeń — od wind i systemu elektryfikacyjnego poczynając, a na wentylacji kończąc. Gdyby środków zabrakło i kopalniane muzeum trzeba było zamknąć, zlikwidować istniejący całodobowy dozór zabezpieczający, wystarczyłyby wtedy — według opinii ekspertów — zaledwie dwa tygodnie, żeby nie można było ryzykować ponownego zjazdu pod ziemię. Bo tu czy tam nagromadzić się mogą gazy, wedrze się woda, obsuną się stropy.

Wieliczka wraz z Krakowem znajduje się wprawdzie na światowej liście zabytków UNESCO, z czego jednak oba miasta nie odnoszą większych wymiernych korzyści. Zresztą do ewentualnego zwiększenia się napływu turystów dewizowych miasto jest nie przygotowane. Trzeba się więc liczyć m.in. z koniecznością ustalania cen biletów wstępu na poziomie zapewniającym utrzymanie jakiej takiej równowagi budżetowej.

Ale chyba mimo wszystko kopalniane muzeum plajty nie ogłosi, na razie bowiem podziemny personel placówki, rekrutujący się głównie z wielickich górników, silnie związanych uczuciowo z miejscem pracy swoich praojców, wykonuje wiele czynności poza ustawowymi godzinami i w razie potrzeby społecznie, w przekonaniu, że nie wolno dopuścić do tego, żeby ich kopalnia miała zginąć. I z pewnością doczekają się nadejścia łatwiejszych lat.

J.K.

Z wizytą u Henryki Hak

Po obejrzeniu reportażu Ryszarda Wójcika z cyklu „Zagubione w kadrze", emitowanego w programie drugim TvP 5 czerwca 1983 r., postanowiłem udać się na miejsce zdarzenia. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o samorodnym talencie Henryki Hak. Obrazy utrwalone na pokazywanych przed kamerami Tv zdjęciach — nie dawały mi spokoju.

I tak znalazłem się w Dmosinie. Niewielka, nowoczesna wieś położona na trasie przejazdu z Brzezin do Głowna, niegdyś należąca do województwa łódzkiego, obecnie skierniewickiego. Domy murowane, solidne. Gospodarstwa zadbane, utrzymane schludnie. Miło popatrzeć. Wiejska gospoda, położona tuż przy samej trasie, swoim wyglądem z zewnątrz zachęca podróżnego do korzystania z usług.

Pytam o gospodarstwo Haków. Owszem, słyszeli coś niecoś o tej „malarce", wyczuwam z ich wypowiedzi jakby ironię, zawiść, obojętność. Pojedzie pan tą drogą boczną w prawo, przez mostek i dalej w lewo, do gospodarstwa będzie około 3 km wyboistej drogi.

Droga fatalna. Doły, wertepy trudne do pokonania. Dobrze, że nie pada, inaczej trudno byłoby dotrzeć na miejsce. Przejechałem już prawie 3 km, a zabudowań jakoś nie widać. Może zbłądziłem? Pytam raz jeszcze przypadkowo spotkanego na drodze gospodarza o dalszą drogę.

— Należy przejechać prosto przez skrzyżowanie w lesie i dalej po prawej stronie zobaczy pan zabudowania Haków.

Z daleka widzę na skraju lasu przycupniętą, ubogą chatę, zabudowania gospodarskie kryte słomą. Ziemia tu licha, same piaski. Gospodarstwa również mniej zadbane. Nowe pustaki, żwir, kamienie, widocznie przygotowane pod nową budowlę. Nie potrzebuję pytać o właścicielkę — poznaję jej dzieci, które wybiegły na podwórko.

Wchodzę, chyląc nisko głowę, aby nie uderzyć o framugę drzwi tej skromnej wiejskiej izby, służącej jednocześnie za pracownię, sypialnię i jadalnię. Witam się z Henryką Hak, prosząc o chwilkę rozmowy o jej pasji malarskiej.

Przyszła niespodziewanie w czasie nauki w szkole podstawowej. Chciała koniecznie dalej się kształcić. Natrafiała jednak na przeszkody nie do przebycia, a pomóc nie było komu.

Zwykle ludzie wrażliwi na otoczenie, piękno przyrody, posiadający swoje własne zamiłowania, uzdolnienia — nie posiadają tej siły przebicia. Nie rozpychają się łokciami. Cisi i spokojni, z wielką pasją oddają się wybranej, umiłowanej przez siebie twórczości. Nic też dziwnego, że taki talent, pozostawiony samemu sobie, z biegiem czasu pozostaje niezauważalny w swoim osamotnieniu. Nie znajduje również poparcia we własnym otoczeniu, które nieraz przysparza sporo nieporozumień i kłopotów rodzinnych. W małej zbiorowości wiejskiej, szczególnie jaskrawie występują tego rodzaju konflikty, jeśli ktoś ze stałych mieszkańców wsi w jakiś tam sposób wyróżnia się od reszty otoczenia. Ile trzeba samozaparcia, odporności fizycznej i psychicznej, aby móc pozostać przy swoim.

Pytam czy oglądała niedzielny program w Tv poświęcony w całości jej twórczości? Niestety. O programie dowiedziała się od listonosza i sąsiadów, i bardzo tego żałuje.

Obecnie maluje rzadko. Martwi się bardzo, iż nie może dokończyć zaczętego obrazu do muzeum, chociaż pobiera stypendium. Wprawdzie niewielkie, z łatwością wystarczające na zakup przyborów do malowania, lecz dobre i to, cieszy się również z nagrody. W dodatku często zapada na zdrowiu, co z kolei ujemnie wpływa na naukę Krzysia, który się nią opiekuje. Mąż pracuje zawodowo i jednocześnie buduje własny domek w Głownie. Noc wygania, noc przygania. Nie ma czasu zajmować się dziećmi. Sama musi dbać o nie, chodzić na wywiadówki, pomagać w odrabianiu lekcji. Z Marzenką nie mam żadnych kłopotów, uczy się dobrze, natomiast syn czuje się zagrożony, pozostaniem w tej samej klasie. Dzieci latem do szkoły w Głownie, dojeżdżają rowerem, zimą idą pieszo przez zaspy trzy kilometry.

Dziwimy się bardzo, jak małe dzieci, młodzież wiejska dostaje się do szkół średnich, wyższych uczelni. Tu właśnie między innymi tkwi przyczyna i źródło dalszych niepowodzeń. Krzysio niechętnie opowiada o sobie. Nie narzeka na nic, nie uskarża się na nikogo. Pragnie się dobrze uczyć, mieć lepsze stopnie, czy podoła i kto mu w tym dopomoże? Pani Henryka pokazuje mi dzienniczek Marzenki. Same czwórki i piątki od początku do końca, celujący z zajęć plastycznych. Żeby jeszcze było w pobliżu kółko zainteresowań plastycznych — marzy dziewczynka. Być może wówczas w pełni rozwinąłby się ten niewątpliwy talent malarski, oddziedziczony po matce. Jednego najwięcej pragnę w życiu — mówi p. Henryka — aby moja córka zdobyła odpowiednie wykształcenie, zgodnie z zamiłowaniem, aby w przyszłości nie została pozostawiona samej sobie, jak było ze mną. Kto rozbudzi w małej Marzence, odpowiednio ukierunkuje niewątpliwie odziedziczoną po matce pasję malarstwa?

Siedzę przed kobietą steraną życiem, niepowodzeniem, załamaną fizycznie i psychicznie, nie tylko z powodu choroby, lecz również z braku ludzkiej życzliwości, wyrozumiałości. Jeszcze jeden zmarnowany talent. Ile ich było, ile jeszcze pozostało — pomimo osobistych wyrzeczeń, rozczarowań, upokorzeń — trudno obliczyć? Takim ludziom należy pomóc,

Henryka Hak łączy swoje osobiste nadzieje z młodziutką córeczką Marzenką. Być może jej właśnie się uda w życiu osiągnąć to wszystko, czego niestety nie uzyskała matka.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

BSM w Australii dzięki „Odgłosom"

W liście datowanym 27 II 1983 — Sydney, Barbara i Mieczysław Skrodzcy piszą do naszej redakcji:

Dotarł no nas egzemplarz Waszego pisma, nr 30 z dnia 30 X 1982. Z wielkim zainteresowaniem przeczytaliśmy artykuł Waldemara Uchmana o stosowanej z dużym powodzeniem przez mgr. Uchnasta metodzie leczenia zwanej BSM. Jesteśmy tą sprawą bardzo zainteresowani. Nasza 8-letnia córka cierpi na prawostronny niedowład (ręka i noga) spowodowany okołoporodowym uszkodzeniem lewej półkuli mózgowej. Do tego w piątym roku doszła epilepsja, jako następstwo uszkodzenia mózgu. Bardzo częste ataki wyniszczały organizm dziecka, które jest ostatnio opóźnione nieco w rozwoju.

Wszelkie nasze starania o skierowanie do Centrum Zdrowia Dziecka spełzły na niczym. Do Australii żona moja przyjechała 11 miesięcy temu. Przywiozła dziecko w stanie zupełnego wyczerpania fizycznego i psychicznego, z powtarzającymi się kilka razy dziennie atakami epilepsji.

W możliwie najszybszym terminie podjęliśmy leczenie u tutejszych specjalistów. Całkowita zmiana leków i metod leczenia dała pozytywne rezultaty. Po 3 tygodniach ataki epilepsji ustały i nie powtórzyły się do dziś. Dziecko zupełnie inaczej wygląda i reaguje. Chodzi do szkoły z innymi dziećmi. Poprawa widoczna jest we wszystkim. Niemniej uszkodzenie mózgu istnieje nadal. Również nadal prawa ręka i noga dziecka znacznie mniej są sprawne i nie spełniają należycie swej funkcji.

Chcielibyśmy wykorzystać każdą szansę i dlatego interesuje nas sprawa BSM. Droga poprzez Redakcję, z braku adresu p. Uchnasta, jest dla nas jedynym osiągalnym sposobem.

Napisaliśmy również do Centrali „Różdżkarz" w Poznaniu o przysłanie nam książki, o której była mowa w artykule, nie otrzymaliśmy jej jednak dotychczas...

Z poważaniem

BARBARA, MIECZYSŁAW SKRODZCY

Zgodnie z życzeniem autorów listu ich dokładny adres przekazaliśmy mgr Uchnastowi. Jeśli nasi czytelnicy z antypodów poinformują nas o efektach stosowania BSM będzie nam b. miło. Niestety dla tych zagranicznych czytelników, jak i dla krajowych nie mamy zbyt optymistycznych informacji o książce nt. BSM. Jak się dowiadujemy od różnych osób książka już jest rozsyłana. P. Uchnast zażądał jednak wstrzymania druku i ekspedycji z powodu rażących — jak twierdzi — błędów popełnionych w druku. W dodatku książkę zamówiło kilkadziesiąt tysięcy osób. Dostarczenie jej wszystkim oczekującym poprzez ekspedycję pocztową musi potrwać dość długo. Nie pozostaje jednak nic innego jak cierpliwe czekanie.

Ostatni Challenge

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Największą i najpopularniejszą imprezą lotniczą — i nie tylko lotniczą — okresu międzywojennego były Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych, tzw. Challenge. Cieszyły się wielkim zainteresowaniem nie tylko lotników, entuzjastów i sympatyków lotnictwa, lecz społeczeństw całej Europy. Kolebką lotnictwa światowego była Francja, z której wywodziła się większość pionierów lotnictwa pierwszej dziesiątki lat dwudziestego wieku. Nic zatem dziwnego, że właśnie we Francji organizowano najwięcej imprez i pokazów lotniczych, mających niesłychane powodzenie. Jednak najbardziej udaną imprezą były Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych roku 1928. Poza licznymi konkurencjami technicznymi, nowością tych zawodów był lot dookoła Francji — na trasie dwóch tysięcy kilometrów. Przy ówczesnej technice lotniczej, nawet dla wytrawnych lotników zawody były nie lada wyczynem, wymagającym hartu psychicznego, kondycji fizycznej, siły woli oraz mistrzowskich umiejętności prowadzenia samolotu. O trudności tych zawodów świadczy fakt, że z dwudziestu pięciu maszyn tylko sześć ukończyło je pomyślnie.

Francuzi — widząc, jaką popularnością cieszyły się zawody 1928 roku — postanowili przygotować spartakiadę lotniczą z wielkim rozmachem. Byli niemal pewni, że wielki konkurs lotniczy, ujęty w ramy organizacyjne przyczyni się do rozwoju lotnictwa sportowego i turystycznego. Uznali, że po bohaterskich wyczynach pionierów lotnictwa — po wielkich przelotach transkontynentalnych i transoceanicznych — nadszedł czas zakończenia okresu pionierskiego i rozpoczęcia ery rozwoju lotnictwa, szczególnie sportowego, dostępnego szerokim masom zapaleńców. Ich zdaniem, samolot powinien służyć nie tylko wojnie albo wyczynom pojedyńczych śmiałków, lecz zaspokajać potrzeby sportowe i kulturalne człowieka, a więc sport lotniczy, komunikacja i transport powietrzny. Do zrobienia w tej dziedzinie było jeszcze bardzo wiele. Dlatego właśnie Francuzi zainicjowali w 1929 roku pierwszy Challenge, czyli Międzynarodowe Zawody Samolotów Turystycznych (Challenge Internationale des Avions de Tourisme) pod egidą Międzynarodowej Federacji Lotniczej (FAI), których głównym celem było wyeksponowanie najlepszego, najbardziej komfortowego, najekonomiczniejszego i najprostszego w obsłudze samolotu turystycznego.

Do pierwszej spartakiady lotniczej w 1929 roku stanęło 55 samolotów z: Francji, Niemiec, Włoch, Szwajcarii i Czechosłowacji, z których ukończyło zawody tylko 31 maszyn, a zwycięstwo odniósł niemiecki pilot Fritz Morzik. Zgodnie z regulaminem Challenge'u, że kolejne zawody organizuje państwo, którego pilot był zwycięzcą, ten przypadł Niemcom.

W II Challenge'u, odbywającym się w Niemczech, w roku 1930 uczestniczyło 61 samolotów: niemieckich, francuskich, polskich, hiszpańskich, angielskich i szwajcarskich. Zawody pomyślnie ukończyły 32 samoloty, a zwycięstwo powtórnie przypadło znanemu pilotowi niemieckiemu, triumfatorowi poprzednich zawodów — Fritzowi Morzikowi. Polacy biorący udział w tych zawodach uplasowali się na dalszych miejscach. Następne zawody znów przygotowywali Niemcy.

Z każdym rokiem tak konstruktorom samolotów, jak i pilotom stawiano coraz większe wymagania. Stwierdzono, że coroczne zawody są zbyt męczące — szczególnie dla konstruktorów, którzy na każdy Challenge budowali specjalnie samoloty. Okres jednego roku na opracowanie, skonstruowanie i zbudowanie samolotu był stanowczo za krótki. Postanowiono więc organizowanie Challenge'ów co dwa lata i tak już pozostało.

Na podberlińskim lotnisku Staaken w 1932 roku, do III Challenge'u stawiły się 43 samoloty z dwuosobowymi załogami, reprezentującymi Niemcy, Polskę, Francję, Włochy, Czechosłowację i Szwajcarię. Ekipa polska startowała na dwóch typach samolotów: PZL-19 i RWD-6. Wymagania regulaminowe były znacznie trudniejsze niż w poprzednich Challenge'ach, a lot okrężny długości 4.000 km w I Challenge'u, wydłużony w następnym do 6.042 km, przedłużono jeszcze do 7.360 km. Toteż zawody ukończyły tylko 23 maszyny. Po raz pierwszy zwyciężyli Polacy: por. pil. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura, lecący na samolocie polskiej konstrukcji — RWD-6, z rejestracją: SP-AHN. Zdobyli Puchar Challenge 1932 dla Polski. Triumf lotników polskich odbił się szerokim echem na całym świecie. Zaszczyt organizowania następnego IV Challenge'u przypadł tym razem Polsce.

Do następnych zawodów, mających odbyć się w naszym kraju, w roku 1934 przygotowywali się nie tylko konstruktorzy, zakłady lotnicze i piloci, ale całe społeczeństwo polskie. Wyrazem entuzjazmu dla lotnictwa było zbieranie datków pieniężnych na zakupienie samolotów dla naszej ekipy. Płynęły pieniądze od młodzieży, kupców, rzemieślników, urzędników, żołnierzy, spółdzielców, kolejarzy i innych grup społecznych. Inicjatorką zbiórki była LOPP (Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej). Zebrano ponad milion złotych, za które zakupiono dla polskich zawodników jedenaście samolotów — pięć dolnopłatów: PZL-26 i sześć górnopłatów: RWD-9. Ofiarodawców usatysfakcjonowano wymalowaniem żądanych przez nich nazw na zakupionych samolotach, jak np.: „Wielkopolska", „Pomorze", „Społem", „Podoficer", „Dar Tytoniowców" itp. Samoloty obsadzono najlepszymi pilotami i mechanikami.

Nadszedł dzień 28 sierpnia 1934 roku — dzień rozpoczęcia IV Challenge'u w Warszawie. Obydwa lotniska warszawskie: lotnisko mokotowskie i Okęcie — tonęły w różnokolorowych flagach państw uczestniczących w zawodach, flagach Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej i LOPP oraz okolicznościowych transparentach. Uroczyste otwarcie zawodów nastąpiło na lotnisku mokotowskim, w obecności najwyższych władz państwowych z prezydentem Rzeczypospolitej na czele oraz władz lotniczych. Na lotnisko przybyły niezliczone rzesze publiczności. Przed trybunami wyszeregowane samoloty ekip uczestniczących w zawodach: jedenaście maszyn polskich RWD-9 i PZL-26; trzynaście samolotów niemieckich, a wśród nich cztery znakomite Messerschmitty BF-108, protoplasty późniejszych myśliwców Me-109, cztery Klemm-36 oraz pięć Fieseler Fi-97. Czechosłowację reprezentowały dwa Aero-200 i jeden RWD-9, specjalnie na zawody zakupiony w Polsce. Brak było ekipy włoskiej.

Uroczystości urozmaicone pokazami lotów szybowcowych oraz akrobacją polskich samolotów myśliwskich nie obyły się bez nieprzewidzianego wypadku podczas akrobacji indywidualnej. Niemal w ostatniej chwili, pod koniec trwania uroczystości przyleciało sześć maszyn włoskich — dwie Bredy-39, dwie Bredy-42 i dwa PS1. Opóźnienie przylotu Włochów do Warszawy spowodowały złe warunki atmosferyczne, które zatrzymały ich w drodze. Zawody rozpoczęły 34 samoloty z czterech państw.

Tego samego dnia, po otwarciu zawodów rozpoczęto pierwsze konkurencje Challenge'u — próby techniczne. Ważono samoloty, oceniano ich wyposażenie i własności techniczne, a nazajutrz rozpoczęto bardziej atrakcyjne konkurencje, trwające do 6 września.

Najbardziej atrakcyjnymi i emocjonującymi dla widzów, lecz najniebezpieczniejszymi dla załóg samolotów były próby prędkości minimalnej oraz próby startu i lądowania na bramkę. Podczas próby prędkości minimalnej załoga musiała wykonać niezwykle trudny lot nad torem długości 800 metrów i szerokości 60 metrów, na wysokości nie większej, niż 30 metrów nad ziemią. Punktowano od prędkości 75 km/godz, za którą zawodnicy otrzymywali zero punktów. Dopiero za zmniejszenie prędkości o każde 1,4 km/godz. zawodnik otrzymywał 1 punkt. Pilot musiał lecieć nad torem w dwu kierunkach: pod wiatr i z wiatrem. Przy prędkości choć trochę mniejszej od minimalnej samolot traci oparcie w powietrzu i zwala się bezwładnie na ziemię.

Słynnemu pilotowi niemieckiemu — Fritzowi Morzikowi — lecącemu na Messerschmitt FB-108, z numerem konkursowym „11" pierwsza próba prędkości minimalnej nie udaje się, ponieważ w pewnym momencie dotknął kołami ziemi. Powtarza ją, robi wszystko, aby wypaść jak najlepiej i znów się nie udaje — zero punktów. Według kolejności startuje do tej konkurencji załoga polska: kpt. pil. Jerzy Bajan i sierż. mech. Gustaw Pokrzywka, na samolocie RWD-9 „Jan Śniadecki", z numerem „71". Publiczność obserwuje lot Bajana z zapartym tchem i w wielkim napięciu. Jeszcze przed minięciem linii oznaczającej początek toru, samolot leci na minimalnym gazie. Ogon samolotu zwisa w dół, płaty ustawione do linii lotu pod kątem dającym możliwie największy opór. Pilot prowadzi maszynę doskonale. Słychać wśród widzów słowa zachwytu. RWD-9 wznosi się kilka metrów, to opada nieznacznie niżej, aby znów wznieść się o kilka metrów wyżej. Bajan wspaniale manewruje sterami i prędkością samolotu. Doskonały kierunek lotu. Widać, że ma opanowany pilotaż do najwyższej doskonałości i perfekcji. Każdy jego ruch jest delikatny i silny jednocześnie, celowy i opanowany. Pilot doskonale czuje i wie, kiedy dodać gazu, a kiedy go zmniejszyć. Niesamowita cisza i napięcie nerwowe towarzyszą obserwującej publiczności. Minął metę — wszyscy odetchnęli z ulgą. Leciał pod wiatr, a teraz zawrócił i leci wzdłuż toru z wiatrem. Znów ten sam żółwi lot, opanowany i jeszcze trudniejszy, a dla publiczności jeszcze bardziej denerwujący. Jak ten pilot trzyma się w powietrzu, że jeszcze nie przypadł do ziemi? Ten lot jest zaprzeczeniem praw, według których dotychczas szkolili się i latali piloci. Wylądował lekko, kończąc konkurencję. Wszyscy z zapartym tchem oczekiwali na wynik. „Rekord! — radośnie podawano sobie z ust do ust. — Bajan osiągnął 54,14 km/godz.! Rekord!" Uzyskał tę prędkość na samolocie rozwijającym prędkość maksymalną 281 km/godz., a o doskonałości maszyny decydowała jak największa rozpiętość między prędkością minimalną a maksymalną.

Wiele emocji i chwil grozy przeżyła komisja sędziowska podczas wykonywania tej próby przez Włocha Francois, który lądował dokładnie po grzbietach komisji.

Jedną z konkurencji była próba startu i lądowania, polegająca na jak najkrótszym rozbiegu samolotu przed bramką wysokości 8 metrów, przeskoczeniu jej i wykonaniu najkrótszego lądowania tuż za bramką. Przy tej próbie uszkodzono kilka maszyn. Niemiec Brindlinger przy lądowaniu rozbił swego Messerschmitta, a włoski pilot Vincenzi postawił swoją PS1 „na nosie". Obu zawodników wyeliminowano z Challenge'u. Polak Karpiński „podbił" swoją RWD-9, a Włoch Sanzin uszkodził podwozie przy lądowaniu. Przeżywano wiele dramatycznych momentów, gdy piloci chcąc uzyskać najlepsze wyniki, tracili równowagę i ratowali się, wykonując niebezpieczne ewolucje tuż nad ziemią. Starty na bramkę najczyściej i najlepiej wykonali Polacy na RWD-9 oraz Niemcy na Fi-97. Najlepiej wystartował na bramkę kpt. pil. Bajan — z odległości 76,1 m, a lądował na 79,8 m.

Inna próba — składanie i rozkładanie samolotu — polegała na złożeniu skrzydeł w najkrótszym czasie, przeprowadzeniu samolotu przez bramkę szerokości 4,5 m i wysokości 3,5 m, po czym złożeniu i zamocowaniu skrzydeł, aby samolot był gotowy do lotu. Znów wspaniały rekord Bajana i Pokrzywki — 44 sekundy. PZL-26 zmieściły się w jednej minucie, a inne maszyny potrzebowały na tę czynność o wiele więcej czasu. Było jeszcze wiele innych prób technicznych, jak rozruch silnika, zużycie paliwa itp.

W półfinale — po próbach technicznych i użytkowych — zdecydowanie prowadzili Polacy na RWD-9. Na pierwszym miejscu uplasował się kpt. pil. Jerzy Bajan z 994 punktami, drugie zajął Stanisław Płonczyński z 953 punktami, a tuż za nimi piloci niemieccy — Seideman z 939 punktami i Hubrich z 936 punktami. Natomiast słynny as lotnictwa niemieckiego, zwycięzca dwóch Challenge'ów — w latach 1929 i 1930 — Fritz Morzik musiał zadowolić się 21 miejscem. Na 22 miejscu znalazł się szef ekipy niemieckiej, również sławny pilot Osterkamp. Renomowany pilot włoski — Colombo — uzyskał dopiero 27 miejsce.

W dniu 7 września 1934 roku rozpoczęła się próba, mająca wyłonić zwycięzcę IV Challenge'u — lot okrężny wiodący nad Europą i Afryką o długości 9.538 kilometrów. Do tej konkurencji stanęły 32 maszyny. Po starcie z lotniska mokotowskiego w Warszawie trasa wiodła przez Królewiec, Berlin, Kolonię, Brukselę, Paryż, Bordeaux, Pau, Madryt, Sewillę, Casablankę, Meknes, Sidi-bel-Abbes, Algier, Biskrę, Tunis, Palermo, Neapol, Rzym, Rimini, Zagrzeb, Wiedeń, Brno, Pragę, Katowice, Lwów, Wilno, do Warszawy, gdzie na lotnisku mokotowskim należało lądować najpóźniej do wieczora 15 września. Zawodnicy mieli do dyspozycji 27 obowiązkowych, nie zawsze doskonałych lotnisk i osiem punktów kontrolnych w: Sewilli, Tangerze, Rabacie, Messynie, Nocera Terinese, Praja a Mare, Castelfranco, Lidzie i Grodnie, nad którymi musieli zrzucić meldunki.

Nie dość, że sam lot był niezwykle trudny, to jeszcze warunki atmosferyczne na całej niemal trasie były wręcz okropne. Do Berlina wiatry i deszcze. Pod Bordeaux niskie chmury i mgła. Również gęste mgły leżały w trudnych i niebezpiecznych do przelotu Pirenejach oraz w Apeninach. Lot w morderczych upałach Afryki też nie należał do łatwych, jak również niełatwy był przelot nad Morzem Śródziemnym. Najtrudniejszym odcinkiem był etap Rimini-Zagrzeb.

Polacy od początku przejęli prowadzenie, nadając wyścigowi ostre tempo. Szybkie PZL-26 pilotów: Grzeszczyka i Włodarkiewicza już w drugim dniu lotu osiągnęły brzeg afrykański — Casablankę. Gigantyczny wyścig obfitował w dramatyczne przeżycia załóg. Pech prześladował nie tylko Polaków. Nad kontynentem europejskim wycofał się pilot Tadeusz Karpiński, lecący na RWD-9, który stracił zbyt wiele czasu, błąkając się we mgłach Pirenejów. Prawie w połowie trasy — po przeleceniu 4.385 km — między Meknes a Sidi-bel-Abbes zawiódł silnik samolotu PZL-26 pilota Grzeszczyka, który również odpadł z zawodów. Około czterystu kilometrów dalej, nad Algierem pękł wał korbowy w RWD-9 Florianowicza, eliminując go z Challenge'u. Awarie nie oszczędziły też innych ekip narodowych. Do drugiego etapu wystartowały już tylko 23 maszyny. Na czele ciągle jeszcze utrzymywał się PZL-26 Włodarkiewicza. W czołówce lecieli: Bajan i Płonczyński, pozostawiając daleko w tyle słynne Messerschmitty Niemców. Czym bliżej mety, tym dramatyczniejszy był przebieg lotu okrężnego. 14 września, po starcie z Katowic przymusowo lądował pod Tarnowem prowadzący wyścig Włodarkiewicz, z powodu uszkodzenia silnika PZL-26. Tego samego dnia pilot Balcer lądował pod Mostami Wielkimi z awarią silnika samolotu PZL-26. Prowadzenie objął Polak — Giedgowd na PZL-26, który 14 września, jako pierwszy przyleciał na metę w Warszawie, entuzjastycznie witany przez publiczność. W tym samym dniu na lotnisku mokotowskim lądują samoloty kolejnych piętnastu zawodników, a wśród nich: Bajan, Buczyński, Płonczyński i Skrzypiński — wszyscy na RWD-9. Następnego dnia zjawia się Dudziński na PZL-26 oraz dwóch pilotów niemieckich: Francke i Junck — na Messerschmittach. Wszystkie ekipy, poza czeską, były poważnie zdekompletowane. Na trasie odpadło pięciu Polaków, pięciu Niemców i trzech Włochów. Pilot Stanisław Płonczyński na swej RWD-9 osiągnął w locie okrężnym przeciętną prędkość 213,89 km/godz., dając się wyprzedzić jedynie Niemcowi Pasenwaldtowi, który na Fi-97 osiągnął 215,53 km/godz.

Po locie okrężnym nadal prowadzili Polacy na RWD-9 — Bajan i Płonczyński, pretendując do zwycięstwa. Ale tuż za nimi był Niemiec Seideman, gorszy od Bajana tylko o 45 punktów, potem Czech Ambruz i znów dwóch pilotów niemieckich: Osterkamp i Junck.

Dzień 16 września zgromadził na lotnisku mokotowskim niezliczone tłumy publiczności, pragnącej uczestniczyć w ostatniej rozgrywce, decydującej o zwycięstwie w IV Challenge'u — próbie prędkości maksymalnej, na wyznaczonej trasie po trójkącie: Warszawa — Nowosolna — Głowaczów — Warszawa, długości 297 kilometrów. Do tej konkurencji stanęło już tylko 19 samolotów.

Punktualnie o godzinie 16 wystartował kpt. pil. Jerzy Bajan, a zaraz po nim Stanisław Płonczyński i następny Seideman, a potem kolejno reszta zawodników. Napięcie i zdenerwowanie publiczności wzrastało z każdą minutą. Obserwatorzy z trasy i punktów kontrolnych co chwilę przekazywali meldunki o przebiegu wyścigu. Na lotnisku orkiestra grała marsza lotników oraz inne marsze wojskowe, a spiker zapowiadał, że prowadzi dwóch Polaków, informując jednocześnie publiczność, jak odróżnić w powietrzu nadlatujących Polaków i innych zawodników. Polacy lecą na górnopłatach, inni na dolnopłatach. Po jakimś czasie głos spikera w megafonach podał smutną wiadomość, że pilot Giedgowd z powodu uszkodzenia silnika w PZL-26 lądował przymusowo i musiał zrezygnować z wyścigu, a pod Górą Kalwarią przymusowo lądował Włoch Sanzin. Na trasie już tylko siedemnastu zawodników. Prowadzili Polacy. Ktoś krzyknął: „Jest! Jest!" Na niebie widoczny rosnący punkcik, ale jeszcze zbyt odległy, aby go rozpoznać nawet lornetką. Tłum zamarł w bezruchu, z największym napięciem słuchając głosu spikera, który radośnie woła: „Jest! Górnopłat! Górnopłat, proszę państwa! Pierwszy leci RWD-9! To Polak! Oby tylko wytrzymał i zdążył dolecieć do mety, tych kilka kilometrów!" Publiczność nadal cicha i skupiona. Wszyscy z uwagą wypatrują, aż oczy bolą i łzawią od tego wypatrywania. Znów ktoś zawołał: „Jest! To nasz! Polak! Widać go! Górnopłat!" Zrywa się burza okrzyków i braw. Tłum szaleje.

Na lotnisko wlatuje jak wicher RWD-9, z numerem „71" i rejestracją: SP-DRD. To Bajan z Pokrzywką. Przeleciał nad taśmą mety i wspaniałą, radosną świecą wystrzelił pod niebo, oznajmiając zwycięstwo! Nie zdążył jeszcze wykonać okrążenia, aby podejść do lądowania, a już na lotnisko wpadł jak burza drugi RWD-9, numer „75", rejestracja: SP-DRC, pilotowany przez Stanisława Płonczyńskiego, z mechanikiem Zientkiem. Publiczność ryczy z zachwytu. Podwójne zwycięstwo Polaków! Szał radości na lotnisku. Rzucano w górę czapki i kapelusze, a kobiety wiewały chusteczkami, nie milknące brawa i radosne okrzyki. Ktoś zaintonował hymn narodowy, podchwycony natychmiast przez wszystkich, a potem znów szał radości i upojenia polskim zwycięstwem. Było to prawdziwe święto lotnicze i narodowe nie tylko dla Warszawy.

W kilkanaście sekund po Płonczyńskim nadleciały do mety Fieseler Seidemana, za nim Czech Ambruz na Aero-200 — życzliwie witani przez publiczność brawami i okrzykami. Dopiero po kilku minutach pojawiły się nad lotniskiem, schodząc do lądowania następne samoloty — dwa niemieckie, RWD-9 Buczyńskiego i reszta zawodników.

Gdy kpt. pil. Bajan miękko wylądował na murawie lotniska, okrzykom i wiwatom nie było końca. Zwycięski pilot był przedmiotem nie milknących owacji rodaków, dumnych ze wspaniałego wyczynu, stawiającego Polskę w rzędzie pierwszych potęg lotniczych świata. Puchar zdobyty w Berlinie przez Żwirkę i Wigurę, powtórnie zdobyty przez Bajana i Pokrzywkę. Wyrazem wdzięczności i radości społeczeństwa dla zwycięzców IV Challenge'u był serdeczny, ojcowski uścisk i pocałunek, jaki prezydent Rzeczypospolitej złożył na czole Bajana. Zwycięstwo Polaków było miażdżące. Bajan zdobył 1.896 punktów, Płonczyński — 1.866, Seideman — 1.846 i Ambruz — 1.822 punkty.

Najgroźniejszy konkurent Polaków, słynny Fritz Morzik wycofał się z zawodów już 8 września, w drugim dniu lotu okrężnego, to samo spotkało Włocha Colombo. Zwycięstwo zespołowe przypadło ekipie czeskiej, kończącej zawody w pełnym składzie. Polska miała wielkie szanse na podobne zwycięstwo, lecz zainstalowane w samolotach PZL-26 renomowane silniki amerykańskie Buccaneer-Menasco przekreśliły tę szansę. Zwyciężyły natomiast polskie silniki GR-760, w które wyposażono cztery samoloty RWD-9. Pozostałe dwa, które odpadły, posiadały czeskie silniki Walter-Bora. Pod tym względem sukces Polaków był bez precedensu.

Zaraz po zwycięstwie jeden z dziennikarzy zwrócił się do Bajana z prośbą o wywiad, na co Bajan przystał.

— Panie kapitanie, tradycyjnym zwyczajem chcemy prosić rzeźbiarkę Olgę Niewską, aby wykonała medal pamiątkowy z pańską podobizną. Czy ma pan jakieś specjalne życzenia w tym kierunku?

Bajan odpowiedział:

— Nie, proszę, niech panowie robią według swego uznania, pragnę tylko, żeby na medalu był również wizerunek Pokrzywki. Myśmy stanowili załogę zwycięskiej maszyny — on towarzyszył mi wiernie i pomagał ze wszystkich sił, a zatem i na niego spłynął zaszczyt należenia do zwycięskiej załogi. Pan wie, co to załoga i jak wpływa na wynik zawodów jej harmonijna praca. Dlatego chciałbym, aby na medalu pamiątkowym nie brakło i mego towarzysza.

Taki był kpt. pil. Jerzy Bajan — oficer, dowódca, przyjaciel i doskonały kolega. Skromny, cichy, nie szukający rozgłosu. Usuwając się w cień, podkreślał zasługi innych. W blasku sławy nie zapomniał o swoim wiernym towarzyszu — sierż. mech. Gustawie Pokrzywce.

Zwycięski samolot RWD-9 „Jan Śniadecki", ufundowany przez społeczeństwo lubelskie, przekazano kpt. Bajanowi na własność, jako dar od społeczeństwa polskiego.

Polsce przypadł zaszczyt ponownego organizowania następnego, V Challenge'u w roku 1936.. Poczyniono nawet pewne przygotowania do tej imprezy, lecz trudności finansowe oraz olbrzymie koszty takiego przedsięwzięcia zmusiły nasze władze do zrezygnowania z tej wspaniałej oferty. Również sytuacja międzynarodowa stawała się bardzo niekorzystna. Inne państwa, a przede wszystkim Niemcy, wolały rozbudowywać lotnictwo wojskowe i nikt nie podjął się inicjatywy zorganizowania kolejnego Challenge'u. W rezultacie Międzynarodowa Federacja Lotnicza (FAI) przyznała Polsce w roku 1935 na własność puchar, dwukrotnie zdobyty przez polskich lotników. Były to największe zawody, jakie zorganizowano w dziejach lotnictwa sportowego, a IV Challenge był już ostatnim zrywem tych wspaniałych zmagań lotników polskich i międzynarodowych.

Płk. pil. Jerzy Bajan od 1938 roku był komendantem Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie i szefem wyszkolenia. Tam zastał go wybuch II wojny światowej! 2 września 1939 roku ciężko ranny podczas hitlerowskiego nalotu, wydostał się po klęsce wrześniowej do Francji, gdzie długo przeleżał w szpitalu, a potem znalazł się w Anglii, pełniąc wysokie funkcje w dowództwie Polskich Sił Powietrznych. Od 1943 do 1945 roku był dowódcą Lotnictwa Myśliwskiego Polskich Sił Powietrznych w Anglii. Po wojnie mieszkał w Londynie, pełniąc funkcje prezesa Stowarzyszenia Lotników Polskich w Anglii. Zmarł 27 czerwca 1967 roku i pochowany jest na londyńskim cmentarzu w Nortwood.

Jego nieodłączny, wierny towarzysz — chor. Gustaw Pokrzywka, do września 1939 roku był oficerem technicznym 3 dywizjonu w 2 pułku lotniczym w Krakowie. Po klęsce wrześniowej 1939 roku przedostał się przez Rumunię do Francji, skąd na zbudowanej przez siebie awionetce z dwóch rozbitych samolotów, przeleciał do Anglii. Tam pełnił różne funkcje technika w dywizjonach polskich i brytyjskich. W 1947 roku powrócił do Polski, pracując w przemyśle do 1965 roku, na stanowiskach technicznych, po czym w 1965 roku przeszedł na rentę. Mieszka w Krakowie i jest aktywnym członkiem Klubu Seniorów Lotnictwa Aeroklubu Krakowskiego.

Wyspa w środku lądu

ALAIN DAUVERGNE

41 293 kilometry kwadratowe. Szwajcaria ma mniej ludności niż Paryż i jego przedmieścia. Tylko sześć milionów mieszkańców. Otóż ten karzełek, zamknięty wśród swoich gór, pozbawiony wszystkich surowców podstawowych, jest krajem najlepiej prosperującym na świecie. Zadziwiające! Komunały o Szwajcarii i słynne tajemnice bankowe bynajmniej nie tłumaczą wszystkiego.

WSZYSTKO JEST CHORE!

Wszystko — tak powiedziano by tu — jest chore! Liczba bezrobotnych wzrosła — jak nam mówiono — o 18 proc. w styczniu i o 138 proc. w ciągu całego roku: budżet państwa ponownie wykazuje deficyt; rząd stara się o przeforsowanie w parlamencie planu ożywienia gospodarczego, którego koszt sięga miliarda franków szwajcarskich; armia kłóci się z obrońcami środowiska naturalnego i z chłopami, ponieważ chce założyć poligon ćwiczebny dla swych oddziałów; wykorzystując wrogość wobec obcokrajowców rozważa się projekt ustawy, który ograniczy w drastyczny sposób prawo cudzoziemców do nabywania domów w tym kraju... Wobec takich wiadomości można by sądzić, że się jest gdzie indziej.

Ale w Szwajcarii? Niemożliwe! I — faktycznie — to „przerażające" bezrobocie! Nawet jeśli wprowadzi się subtelne zmiany do danych statystycznych, zobaczymy, że nie sięga ono wyżej niż ... 0,9 proc ludności aktywnej produkcyjnie (wobec przeszło 9 proc. we Francji i Niemczech); deficyt budżetowy państwa, chroniczny, to prawda, zamyka się sumą 450 milionów franków szwajcarskich, bagatelną w kraju, gdzie bilans płatniczy wykazuje bardzo dużą nadwyżkę; a co się tyczy planu ożywienia gospodarczego, który niewątpliwie będzie przyjęty, wielu zadaje sobie pytanie, czy rzeczywiście jest potrzebny, ponieważ wydaje się, że kryzys światowy w niewielkim stopniu dotknął gospodarkę narodową.

Szwajcaria ma najwyższy dochód na świecie na jednego mieszkańca (OECD). Przewidywana inflacja w 1983 roku wyniesie od 4 do 5 proc. Płace robotnicze są najwyższe w Europie, przy imponującym pokoju społecznym: najniższy wskaźnik strajków na świecie dziennie. Skąd więc w Szwajcarii ta dziwna panika, która wydaje nam się niemal niesmaczna? Chyba stąd, że ten kraj okazuje się tak zbijającym z tropu z niejednego powodu, kiedy tylko zeskrobuje się wierzchnią warstwę obrazu, do którego przyzwyczailiśmy się.

Andre Siegfried, w książce, skądinąd bardzo naukowej, rozkoszował się niedawno w taki sposób urokiem krajobrazu:

„Zdrowy odór gnojówki i krów, kwaśny i mocny zapach drewnianych willi i drzewa z jej lasów, jakże sympatyczna woń kawy z mlekiem, upajające zapachy szczytów pokrytych lodem i wierzchołków gór, a także nikłe zapachy wydzielane przez nadbrzeża tego „wilgotnego jeziora" genewskiego, rodzaj niemal zmysłowego odrętwienia, które przeczy skądinąd pasji do sportów alpejskich i kategorycznemu nakazowi tej drugiej pasji, która jest upodobaniem wszystkich Szwajcarów, potrzebie pracy..."

Jeżeli do tego obrazka doda się czekoladę, tradycyjne zegary z kukułką i tajemnicę bankową, będziemy mieli kompletny zestaw „komunałów" o Szwajcarii, takich, jakie rozpowszechniane są na świecie, zamiast „jechać tam, aby przyjrzeć się jej na miejscu". Niesłusznie.

PAŃSTWO, KTÓREGO NIE MA

Ciekawych czeka bowiem dużo niespodzianek. Poczynając od tego fundamentalnego odkrycia: „Państwo szwajcarskie" w rzeczywistości nie istnieje! Nie istnieje nic poza federacją państw. Jakikolwiek mieszkaniec tej krainy, gdyby mu w odpowiedni sposób zadać pytanie, odpowiedziałby, być może, że jest oczywiście Szwajcarem; ale jest poza tym i przede wszystkim obywatelem państwa, które nosi nazwę Genewa, Zurych albo Vaud. Ponieważ Szwajcaria jest federacją składającą się z dwudziestu sześciu kantonów albo półkantonów, z których każdy stanowi prawdziwe państwo ze swą konstytucją, z władzą wykonawczą (a więc z rządem) i z władzą ustawodawczą (parlamentem). We Francji nie zna się nawet nazw większości spośród nich. Kto słyszał, żeby mówiono kiedykolwiek o Zug albo Glarus?

Ponadto wszystkie te kantony są podzielone na przeszło 3.000 gmin, z których każda rozporządza także władzą wykonawczą, władzą ustawodawczą, własnym systemem fiskalnym, itd. Wynika stąd mnóstwo dziwactw, a właściwie mówiąc, rzeczy wprawiających w osłupienie każdy normalnie ukształtowany umysł jakobiński. W szczególności w dziedzinie szkolnictwa. Tak więc w niektórych kantonach rok szkolny zaczyna się na wiosnę, podczas gdy w innych początek jest na jesieni. Różnią się także programy. Z najróżniejszych przyczyn. Mali uczniowie Zurychu i Winterthur, dwóch miast położonych od siebie w odległości zaledwie 30 kilometrów, nie mają takich samych podręczników historii. Otóż dlatego, że przez wiele wieków Zurychczycy bezwzględnie uciskali Winterthur. A sposób, w jaki mówi się o tym w książkach Zurychu, nie odpowiada urzędnikom miejskim w Winterthur.

Niezależność kantonów i gmin nie ogranicza się tylko do dziedziny oświaty: do ich zakresu działania należą podatki bezpośrednie; ich kompetencje rozciągają się także bardzo szeroko na dziedziny sądownictwa i religii, policji, zdrowia, opieki socjalnej, itd. I zawsze głos obywateli ustanawia prawo.

Kiedy się widzi wszystko to, co ich dzieli, zdumiewające jest, że ta konstelacja tych małych organizmów zdołała utrzymać spoistość w ramach narodu sfederowanego. Jak to jest możliwe?

JAK TO MOŻLIWE!

Trzy dopełniające się odpowiedzi na to pytanie dostarczają wytłumaczenia mniej więcej zadowalającego. Pascal Delamuraz, deputowany i były mer Lozanny:

— *Szwajcaria jest zagadką, której spoiwem jest wola wolności.*

Denis de Rougemont:

— *Celem związku federalnego nie jest siła, lecz wolność każdego jego człowieka, zachowanie autonomii i jej gwarancja.*

Georges Plomb, dziennikarz z „La Suisse":

— *Tym, co łączy Szwajcarów, jest system polityczny. Nie jesteśmy ani jednym ludem, ani jedną kulturą, ani jednym narodem; jesteśmy Bund, sojuszem. Tym, co nas łączy, nie jest uczucie narodowe, lecz wola. Nie ma emocji, jest wola.*

Wszystko, albo prawie wszystko zostałoby powiedziane, gdyby do tego dodano inną więź, jaką stanowi armia, wszechobecna, wielkie obciążenie dla budżetu, która opiera się niemal wyłącznie na milicji tworzonej z uzbrojonych obywateli.

Służba wojskowa, przestrzegana z niezwykłym w Europie poczuciem obywatelskim, jest obowiązkowa dla wszystkich mężczyzn. Odbywana jest w czasie parotygodniowych okresów każdego roku przez znaczną część ich aktywnego życia. Wszyscy ci, którzy z jakiejkolwiek przyczyny uchylają się przed nią, muszą zapłacić podatek proporcjonalny do swych dochodów (jest to system bardzo szwajcarski: w wielu gminach obywatele, którzy „uchylają się" od obywatelskiego obowiązku służby w straży pożarnej, muszą również płacić podatek). Ta milicja, odbywająca ciągłe ćwiczenia, bardzo dobrze wyposażona, może być zmobilizowana w zasadzie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Tych 600.000 żołnierzy, jak się oblicza, może natychmiast przystąpić do działań, ponieważ każdy przechowuje stale swój mundur, karabin i pudełko z 24 nabojami. System obrony narodowej jest uzupełniony najlepszą na świecie siecią schronów przeciwatomowych: pozwala ona zapewnić schronienie niemal całej ludności.

Wszechobecność armii w kraju, którego neutralność jest uznawana przez cały świat od czasu traktatu wiedeńskiego z 1815 roku, nie należy do najmniejszych paradoksów. Jednakże mimo wszystko krótka wycieczka w historię pozwala znaleźć klucz do niej: Szwajcaria narodziła się w 1291 roku z połączenia trzech kantonów: Uri, Unterwalden i Schwyz (od którego wzięła się nazwa kraju). Ten pierwszy związek obronny stopniowo się rozszerzał, a jego bojownicy uchodzili za ludzi budzących lęk u większości narodów Europy. Wynaleźli halabardę i walczyli zażarcie w czworoboku, jak Macedończycy na cztery wieki przed narodzinami Chrystusa.

Tylko historia może także wyjaśnić inny paradoks: w jaki sposób ten mały kraj, liczący 6 milionów mieszkańców, pozbawiony wszelkich bogactw naturalnych, bez dostępu do morza, stał się tym państwem, któremu cały świat zazdrości bogactwa? Ambasador Szwajcarii w Paryżu, Francois Ziegler, ucieka się do zabawnej formuły, ażeby oddać tę całą sytuację:

— *Szwajcaria* — mówi — *to przenicowane ubóstwo.*

A historyk Jean-René Bory, olbrzym w sensie gadatliwości i wytrzymałości, rozwija taką myśl:

— *Jeżeli jest się tak biednym, potrzebuje się fabryk, które będą pracowały bez surowców pierwotnych. Chodzi o usługi: banki, ubezpieczenia, turystyka, która zaczęła się rozwijać od XIX wieku. Transport międzynarodowy (lotniczy, morski) rozbudował się po ostatniej wojnie w dużej mierze dlatego, że nas ominęła.*

Oto Szwajcaria, pozbawiona wszelkich zasobów, stała się dzisiaj głównym rynkiem złota na świecie, pierwszym światowym agentem ubezpieczeniowym i drugim reasekuratorem. Jednakże byłoby błędem sprowadzanie dobrobytu kraju do bogactwa banków, bowiem to głównie jej przemysł: mechanika precyzyjna, obrabiarki, chemia, przemysł włókienniczy, przemysł zegarmistrzowski i przemysł rolno-spożywczy. Nie można wspomnieć o zdrowiu Szwajcarów, nie wymieniając takich nazw jak Nestle, Sandoz, Ciba-Geigy, Hoffman-Laroche, Brown-Boveri, Sulzer, itp. Ale też przemysł maszynowy już nie jest kwitnący, włókienniczy cierpi w Szwajcarii tak samo, jak gdzie indziej. Jeżeli chodzi o zegarmistrzostwo, broni się ono przed śmiercią od czasu, kiedy nie powiodło się przejście na elektronikę. W ciągu kilku lat zbyt zmniejszył się tu o połowę, a ilość zatrudnionych spadła z 90.000 osób w 1974 roku do około 40.000 osób obecnie, a wielu sądzi, że ten krwotok jeszcze się nie skończył. Szwajcaria nie uchroniła się więc bynajmniej przed trudnościami. Miałaby nawet więcej niż inni powodów, żeby eksplodować, albo raczej stanąć w płomieniach, tak wielkie są sprzeczności wewnętrzne.

SPRZECZNOŚCI

Religia jest dobrym tego przykładem. Porozumienie między katolikami (49 proc. ludności) a protestantami (48 proc.) jest na pozór znakomite. Tak jak nakazuje prawo, każdy płaci, bez ociągania się, podatek kościelny, albowiem rozdział Kościoła od państwa nie istnieje w większości kantonów. (Podatku tego można jednak uniknąć składając deklarację o ateizmie poświadczoną w odpowiedniej formie). Jednak że pozory są zwodnicze. Konstytucja wprowadziła w 1874 roku zakaz działalności jezuitów i zabroniła Kościołowi rzymskokatolickiemu tworzenia całkiem nowych diecezji. W 1973 roku zakaz działalności jezuitów został uchylony, w wyniku — z trudem wyjednanego — głosowania. Kiedy jednak biskup Lozanny, Mamie, zaproponował ostatnio utworzenie biskupstwa w Genewie, reakcja była bardziej gwałtowna.

Równowaga lingwistyczna jest bardziej jeszcze nietrwała, a tym samym bardziej sprzyjająca napięciom. Cztery języki oficjalne: niemiecki (65 proc. ludności), francuski (18 proc.), włoski (12 proc.) i retoromański (1 proc.). Ale jeden jest tylko język zdecydowanie dominujący, alemański, achwitzerdutch. André Siegfried przypomina, że w V wieku Germanie odrzucili aż po Saanę, rzekę, która płynie przez Fryburg, Burgundów, którzy okupowali dość rozległe obszary w rejonie Genewy. Dialekt gornoniemiecki tych najeźdźców stał się schwitzerdutch, podczas gdy w krainie Burgundów pielęgnowano to, co lingwiści nazywają francusko-prowansalskim albo romańskim. Nic się od tego czasu nie zmieniło. Nawet retoromański — łacina, którą mówiły wojska rzymskie.

Kryzys jednak wrze również i pod tą przykrywką, gdyż przedsiębiorstwa i banki niemieckie, bardziej dynamiczne, potężniejsze, wchłonęły ostatnio wiele przedsiębiorstw romańskich. Ta ekspansja gospodarcza sprawia, że w kantonach romańskich bardziej odczuwa się ciężar niemiecki. Utyskuje się tu, że potęga Zurychu stała się nadmierna.

— *Szansa Szwajcarii* — zauważa Francois Gorss — *tkwi w tym, żeby nigdy nie stały się z sobą przeciwieństwa szwajcarskie — bogaci i biedni, protestanci i katolicy, ludność romańska i niemiecka.*

Pascal Delamuraz wyraża to w taki sposób:

— *Aż do tej pory w Szwajcarii jest się zawsze w danej chwili mniejszością w stosunku do innej.*

RÓWNOWAGA PRZEDE WSZYSTKIM

Utrzymując starannie tę równowagę Szwajcarom udawało się aż do tej pory zachować spokój i dobrobyt swej wyspy. A także dzięki posługiwaniu się swymi granicami jak śluzami: w latach tłustych lub chudych wykorzystywano obcą siłę roboczą w stopniu mniejszym lub większym, co pozwala ograniczyć skutki bezrobocia wśród ludności kraju.

Jednakże to już nie wystarczy i wzniesiono całą naukową konstrukcję, żeby uniknąć konfliktów. Tak więc w sferze socjalnej, po strajkach bardzo długich i bardzo zaciekłych, ustanowiono „pokój na froncie pracy", w dniu 19 lipca 1937 roku. Żadnych strajków ani lokautów, ale w każdej branży rokowania co trzy lata. Dlatego Alexandre Krauer, zastępca dyrektora generalnego Ciba-Geigy, zapowiada spokojnie:

— *Będę znał w czerwcu platformę z żądaniami pracowników przemysłu chemicznego. Nowa umowa, na lata 1984—1986 powinna być odnowiona w październiku. Rokowania są zawsze bardzo twarde, ale z chwilą, kiedy umowa zostanie zawarta, wszystko jest załatwione.*

System ten funkcjonuje dobrze: na przykład w 1981 roku odbył się w sumie jeden strajk, a pięć w 1980. Trzeba stwierdzić, że wszystkie te umowy przewidują system mediacji i arbitrażu, a nawet odwołania się do trybunału specjalnego.

Przywódca związku pracodawców Szwajcarii romańskiej, Michel Bard, stwierdza:

— *Pokój na froncie pracy jest tak powszechnie akceptowany przez Szwajcarów, że stał się czymś w rodzaju instytucji. Jednakże ta zgoda powszechna nie przychodzi za darmo, jest opłacana kompromisem.*

Płace są wysokie: około 3.000 franków szwajcarskich na jednego zatrudnionego w przemyśle.

Tak oto pojawiły się dwa decydujące pojęcia systemu: zgoda i kompromis. Zgoda jest obligatoryjna od samego szczytu w państwie, gdzie Rada Związkowa, składająca się z siedmiu członków wybranych przez parlament, jednakże nie podlegających odwołaniu przezeń, stanowi niewątpliwie jedyny rząd kolegialny świata demokratycznego. Każdy ma pod swoją opieką jeden lub kilka departamentów ministerialnych, jednakże wszystkie decyzje zapadają jednomyślnie, żaden z siedmiu członków Rady nie wyraża nigdy publicznie swoich własnych uczuć. Od 1959 roku panuje coś co w Szwajcarii określa się jako „formułę magiczną": dwóch radykałów, dwóch chrześcijańskich demokratów, dwóch specjalistów i jeden przedstawiciel Demokratycznej Unii Centrum. Jeżeli te cztery formacje są w ten sposób reprezentowane, stabilizacja wydaje się zapewniona.

Obowiązkowe dążenie do uzyskania powszechnej zgody jest więc sprawą instytucjonalną we władzy wykonawczej — w Radzie Związkowej, gdzie każdy z siedmiu członków przejmuje kolejno na okres roku funkcję prezydenta Konfederacji.

Każda ustawa przyjęta przez parlament może być zakwestionowana; jeżeli w ciągu dziewięćdziesięciu dni zostanie złożona petycja zawierająca takie żądanie z podpisami 50.000 osób. Dla jakiegokolwiek dobrze zorganizowanego lobby liczba taka jest łatwo osiągalna. Rezultat: wypracowany system konsultacji też niemal instytucjonalny. Długotrwały jest proces, który polega na przeredagowywaniu tekstu, dopóki nie zaaprobują go związki zawodowe, pracodawcy, partie i wszystkie inne zainteresowane grupy nacisku. Jednakże z chwilą, kiedy porozumienie zostaje osiągnięte, głosowanie jest mniej więcej sprawą przesądzoną. Trzeba stwierdzić, że ten mechanizm jest, z istoty rzeczy, konserwatywny. Dla zapewnienia równowagi, inicjatywa ludowa jest — wręcz przeciwnie — dynamiczna. Zebrawszy 100.000 podpisów w ciągu osiemnastu miesięcy obywatele mogą żądać zmiany konstytucji.

System demokratyczny jest w Szwajcarii, jak widać, rozwinięty bardziej niż gdziekolwiek indziej; we wszystkich sprawach przeprowadza się konsultacje z narodem: w sprawie wielkich decyzji, dotyczących spraw zagranicznych, takich, jak ewentualne przyłączenie się do ONZ, jak też najmniejszych na szczeblu komunalnym. Ale każdy medal ma dwie strony. Wyborcy uczestniczą coraz rzadziej w głosowaniu. Frekwencja waha się najczęściej w granicach od 20 do 30 procent uprawnionych do głosowania.

Trzeba powiedzieć, że przeprowadza się konsultacje z ludnością we wszystkich sprawach, nawet na szczeblu federalnym; ograniczenie nadmiernej pomocy socjalnej (odrzucone), pasy bezpieczeństwa (zaakceptowane jako słuszne), rozdział Kościoła od państwa (odrzucone), prawo głosu od 18 lat zamiast od 20 (odrzucone), mleczarstwo, kształcenie zawodowe, ochrona zwierząt, etc. Ta poważna absencja wyborcza, wynikająca z rzeczywistego „przeciążenia" wyborczego, nie wskazuje na demokrację idealną pod każdym względem. Nie jest to zdrowe zjawisko, kiedy widzi się deputowanych wybranych przez mniej niż połowę ludności (48 proc. w ostatnich wyborach). Yvette Jaggi, błyskotliwa deputowana socjalistyczna, przewiduje jeszcze mniejszą frekwencję — około 40 procent! To dlatego, jej zdaniem, że w Szwajcarii gospodarka bierze górę nad polityką. Ubolewa ona nad tym, tym bardziej, że — jak twierdzi — „władza polityczna jest zorganizowana w sposób demokratyczny, podczas gdy władza ekonomiczna jest feudalna".

Szwajcarzy w rzeczywistości obawiają się dwóch rzeczy, z których obie są bardzo istotne. Pierwsza, jak widzieliśmy ma charakter wewnętrzny: jest nią ryzyko zagrożonej jedności kraju w wyniku gwałtownego zachwiania równowagi. Powolne postępy schwitzerdutch stanowią, w tym względzie, główne niebezpieczeństwo, ponieważ ludność romańska nie mówi nim, natomiast wielu młodych Niemców mówi w tej chwili częściej po angielsku, niż po francusku.

— *Czy potrzebny będzie któregoś dnia „most językowy" między nami?* — niepokoi się między innymi Michel Barde.

Ryzyko to jest realne, ale nie mówi się o tym zbyt wiele. Być może przez wstydliwość, albo z obawy, żeby nie nadawać zbyt dużego znaczenia groźbie na razie mglistej i odległej.

Natomiast wyraża się jednomyślnie inną obawę, bez tej przezorności krasomówczej (Szwajcarzy czują wstręt do wszelkiego rodzaju elokwencji). Świadkiem może być Michel Derobert.

— *Jesteśmy zaniepokojeni tendencją do umacniania rynków wewnętrznych w niektórych krajach Europy. W szczególności we Francji. Szwajcaria czuje wstręt do protekcjonizmu.*

Wstręt uzasadniony: wtulona w góry Szwajcaria jest wyspą pozbawioną oceanów. Udusiłaby się gwałtownie w świecie zamkniętym nagle dla wymiany handlowej.

(„LE POINT") ■

Hipotezy

Motto: *Wyjście człowieka w kosmos postawiło przed nim wiele problemów, którymi zajmuje się cała rzesza naukowców. Powinni się oni zwrócić ku przeszłości, o której tak obrazowo mówią stare przekazy. To, co dawniej uważano za płód zbiorowej wyobraźni, dziś budzi — nie bez powodu — nowe refleksje.*

prof. dr I. S. Lisjewicz, członek AN ZSRR

Tajemnica kamienia z Baalbek

MICHAŁ SIWIEC

Można już dziś chyba uznać za rzecz wysoce prawdopodobną, że w zamierzchłej przeszłości ludzkość zetknęła się z jakąś supercywilizacją. Hipotezę tę potwierdzają liczne źródła historyczne i archeologiczne, badania których przynoszą już (tak jak to miało miejsce w przypadku proroctwa Ezechiela, dzięki któremu inżynier J. K. Blumrich z NASA opatentował nowy pojazd kosmiczny oraz „koło w kole") pierwsze wyniki. Badaniem naszej historii zajmują się jednak niestety nie tylko naukowcy. Znacznie liczniejszą od nich grupę „badaczy", stanowią zwolennicy różnych metafizycznych hipotez, entuzjaści-dyletanci badający historię bez łopaty. Im to właśnie zawdzięczamy pojawiające się raz po raz w światowej prasie informacje o odkryciu nowych dowodów pobytu na Ziemi przybyszów z gwiazd. Brak reakcji ze strony naukowców, którzy wciąż jeszcze uważają zajmowanie się tymi „dowodami" za „niestosowne i nienaukowe" sprawia, że owe żenujące świadectwa ignorancji przechodzą spokojnie z artykułu do artykułu siejąc coraz większy zamęt w umysłach czytelników. Przykładów takich wyssanych z palca dowodów nie trzeba szukać daleko. Weźmy chociażby Baalbek...

O godzinę drogi samochodem od stolicy Libanu, Bejrutu, w dolinie Bekaa, między dwoma równoległymi grzbietami górskimi: Libanem i Antylibanem, leży Baalbek. Baalbek (taką nazwę nadano mu dopiero w średniowieczu) dwa tysiące lat temu nazywał się Heliopolis — Miasto Słońca i był jednym z centrów kultu Słońca. W I wieku n.e. Rzymianie rozpoczęli tu budowę gigantycznego kompleksu świątyń ku czci Słońca (nazywanego Jupiterem Heliopolitańskim), Merkurego oraz Wenus. Budowa trwała trzy wieki, ale nigdy nie została zakończona. Złożyło się na to wiele przyczyn. Po pierwsze względy polityczne, po drugie kłopoty finansowe, a po trzecie trzęsienia ziemi, z których jedno zniszczyło wznoszone świątynie. Ocalało tylko sześć wysokich kolumn — podobno najwyższych na świecie — z których każda składa się z trzech siedmiometrowych części ważących (bagatela!) po 45 ton. Po dziś dzień kolumny te, stanowiące pozostałości świątyni Jowisza, wzbudzają zachwyt licznych rzesz turystów zwiedzających Baalbek.

Ostatnio jednak Baalbek został odkryty na nowo. Stało się to za sprawą autorów „kosmicznych" hipotez, dla których jak pisze w swej książce „Przybysze z Kosmosu — Rzeczywistość czy fantazja"? Andrzej Donimirski: *„...największym cudem (i tajemnicą) Baalbeku są nie te pozostałości rzymskie, lecz znacznie od nich starsze, potężne fundamenty świątyni Jowisza — słynna terasa z Baalbek".*

Jak wygląda owa słynna terasa? Oddajmy na chwilę głos radzieckiemu uczonemu, kandydatowi nauk historycznych W. Jakobsonowi:

„Świątynia wraz z prowadzącymi do niej propylejami (tj. obramowanymi kolumnadami wejściami), pierwszym podwórcem oraz podwórcem, na którym znajduje się ołtarz, stoi na platformie o wysokości 7,28 metra. Pod samą świątynią jest jednak jeszcze podium o wysokości prawie 7 metrów. W zachodniej pionowej ścianie tego właśnie podium (a nie w wielkiej platformie!) tkwią trzy sławne kamienie o długości prawie 20, wysokości 4,16 i szerokości 3,6 metra. Każdy z nich waży około 700 ton. Jeszcze większy monolit spoczywa w kamieniołomach. Jego wymiary są następujące: długość 21,72 metra, rozmiary końca południowego: 4,25 m na 4,35, północnego 5,35 m na 5,35, waga 1211 ton. Jak widzimy wielkości kamieni tu podane są o wiele mniejsze od tych, które zazwyczaj się przytacza, ale i tak stosunkowo duże. Należy też wspomnieć, że prace nad zakończeniem podium kontynuowano już po wybudowaniu świątyni (odpada więc hipoteza, iż fundamenty są znacznie starsze od świątyni — przyp. M. S.). *Rzecz bowiem w tym, że z początku, kiedy budowano świątynię, ściany podium nie były pionowe, lecz pochyłe, aby wygodniej było wnosić na górę kamienne elementy świątyni. Dopiero po zakończeniu budowy świątyni zajęto się wykończeniem.*

Ale kto i po co wyciął te gigantyczne kamienne bloki? W jaki sposób przetransportował je z położonych w odległości kilometra od świątyni kamieniołomów? No i wreszcie, w jaki sposób podniósł je na wysokość 7 metrów?! Czyżby rzeczywiście, jak sugeruje W. Jakobson, ludzie?...

„Nie, Kosmici — twierdzi radziecki fizyk Matest Agrest w artykule „Kosmonauci starożytności", artykule od którego rozpoczęła się zawrotna kariera Baalbek jako koronnego dowodu kosmicznej wizyty. — *Można przypuszczać, że badania Układu Słonecznego przeprowadzali kosmonauci (Kosmici) za pomocą małych statków startujących z Ziemi. Dla tych celów musieli oni prawdopodobnie zdobyć na Ziemi paliwo jądrowe i zbudować specjalne lądowiska oraz magazyny. Poza tym, bez wątpienia powinni byli oni zostawić jakieś pamiątki swego pobytu na Ziemi. Czy nie należy czasem zaliczyć do nich owych wspaniałych budowli — jak terasa z Baalbek?"*

Hipoteza Agresta ma jednak jeden słaby punkt. Jak już wspomnieliśmy baalbecka terasa leży w dolinie, między dwoma równoległymi grzbietami: Libanem i Antylibanem. Oto wymiary tej doliny: szerokość od 8 do 14 km, głębokość 1500—2000 m. Jeżeli dodamy do tego, że terasa nie leży pośrodku doliny lecz u samych stóp Antylibanu, co niewątpliwie bardzo utrudniałoby manewry statkom kosmicznych przybyszów oraz, że rejon ten często nawiedzany jest przez silne trzęsienia ziemi to okaże się, że trudno byłoby znaleźć drugie miejsce równie „nieodpowiednie na kosmodrom! Ale fakt, że antyczni kosmonauci raczej nie umiejscowiliby swego kosmodromu w tak niepewnym rejonie nie oznacza wcale, że to nie oni wznieśli platformy Baalbeku, oto chociażby po to, by zostawić jakiś ślad swej bytności na naszej planecie. Nie zapominajmy o tym, ile ważyły bloki platformy, jaką przebyły drogę oraz na jaką wysokość zostały dźwignięte. Nawet dziś trudno jest nam wyobrazić sobie transport, a następnie swobodne operowanie tak potężnymi ciężarami. *„Przykładem naszej bezradności w tym względzie* — pisze w odc. 27 drukowanego przez „Fakty—76" cyklu artykułów pt: „Goście z kosmosu?" jego autor, Lucjan Znicz — *mogą stać się obliczenia radzieckiego inżyniera A. Kołomiejczuka, który zadał sobie wiele trudu, by ściśle odtworzyć warunki techniczne tego rodzaju przedsięwzięcia. Wyszedł on z (jedynego logicznego) założenia, że wszystkie te gigantyczne głazy przetransportowane zostały z kamieniołomów na miejsce budowy (1,5 km) na drewnianych platformach ciągnionych za pomocą sznurów przez odpowiednio liczny legion niewolników. Zgodnie z obliczeniami Kołomiejczuka przy współczynniku tarcia wynoszącym 0,2 i przy założeniu, iż do każdej platformy przymocowano 100 lin, na każdą z nich wypada siła ciągu wynosząca około 7.650 kg. Jeżeli każdy z niewolników ciągnął z siłą 20 kg, jedną linę musiało już ich ciągnąć 382, a 100 lin — 38 200! Ale i ta — nie bardzo już prawdopodobna liczba — nie może być jeszcze prawdziwa. Trudno sobie wyobrazić by drewniana platforma, na której spoczywał głaz, miała liczyć aż 100 m szerokości. Przy każdym zaś jej zwężeniu —liny nie mogły już iść ściśle równolegle do kierunku ruchu, lecz musiały się rozchodzić wachlarzowato, to zaś odpowiednio zmniejszało siłę ciągu każdej z nich, a więc równocześnie zwiększało armię niewolników do 43—45 tysięcy osób. Na tym inż. Kołomiejczuk przerwał swe obliczenia i bezradnie opuścił ręce. I słusznie: nie możemy sobie wyobrazić 100-metrowej drewnianej platformy, a mamy wyobrazić 45-tysięczną armię niewolników przez półtora kilometra ciągnącą jeden kamień?"*

Owej 60-tysięcznej armii niewolników (bo A. Kołomiejczuk nie zakończył wcale swych obliczeń na 45 tysiącach ludzi, lecz właśnie na sześćdziesięciu) nie mogli sobie wyobrazić również członkowie kolegium redakcyjnego radzieckiego miesięcznika popularnonaukowego „Znanije-Siła" i dlatego zwrócili się oni z prośbą o skomentowanie listu** inż. Kołomiejczuka do naukowca, kandydata nauk technicznych J. Estrina. Dziwne, że Lucjan Znicz nie zauważył tego komentarza. Został on przecież zamieszczony w tym samym numerze, a nawet na tej samej stronie, wspomnianego miesięcznika, co list inż. Kołomiejczuka oraz komentarz W. Jakobsona, którego cytuje. Oto co pisze na temat obliczeń A. Kołomiejczuka J. Estrin:

„Autor listu nie uwzględnia niestety ani konkretnych warunków prac, ani poziomu techniki w czasach rzymskich, ani, innego niż nasze, podejścia przodków do tego rodzaju problemów. Dane o wadze monolitów przytoczone w artykule W. Jakobsona zmniejszają przytoczoną przez inż. Kołomiejczuka liczbę budowniczych o połowę. Przyjąwszy, że waga monolitu równa się 1000 ton, a współczynnik tarcia wynosi 0,2 otrzymujemy siłę ciągu równą 20 000 kg. Dalej. Ciągnąć linę z siłą 20 kg przy szybkości 2—3 km/h człowiek może przez dłuższy okres czasu. Jeśli przyjmiemy, że odległość od kamieniołomów do placu budowy wynosiła w przybliżeniu 1 km, a droga została wyrąbana w skalistym gruncie to przemieszczenia monolitu można było dokonać w przeciągu mniej więcej pół godziny. W rzeczywistości jednak praca wyglądała zupełnie inaczej. Rzymianie wykorzystali kołowroty i pod ciężkie kamienie podłożyli drewniane wałki. Oczywiście okrągłe pnie toczące się po nierównej drodze nie mogą równać się ze współczesnym łożyskiem rolkowym, ale wielkość tarcia toczenia jest mniejsza od tarcia ślizgu od 3 do 5 razy. Jeżeli przyjmiemy, że siła ciągu wynosiła 50 000 kg oraz że monolit ciągnięto za pomocą 25 lin (przy współczynniku przemiany siły 1:5) to sześćdziesięciotysięczna armia budowlanych zmaleje do 600 ludzi. Zaś za sprawą rozlicznych technicznych sztuczek i ta liczba zmniejszy się kilka razy.

Nie można też zapominać o tym, że nikt z pewnością nie żądał od budowniczych zakończenia prac w przeciągu kilku godzin czy też dni. Do swej dyspozycji mieli oni lata i dziesięciolecia — proszę sobie przypomnieć ile lat trwała budowa samej świątyni.

Transportem ogromnych kamiennych monolitów dawni budowniczowie zajmowali się nie dlatego, że cierpieli na „gigantomanię" i nie tylko po to, aby fundamenty były mocniejsze, ale ze znacznie prostszych, technologicznych przyczyn. W rzeczywistości najbardziej pracochłonną operacją był nie transport monolitów lecz ich wycięcie. Oddzielenie kamienia od podłoża, a następnie obróbka jego powierzchni — przy dowolnej stosowanej w starożytności metodzie — wymagała ogromnych, nawet dla Rzymian, nakładów pracy, a czas pracy nad kamieniem proporcjonalny jest do jego powierzchni. Rozmiary jednego z monolitów są następujące: 20×4,16×3,6 m; innymi słowy jego całkowita powierzchnia równa się 340 m kw., a objętość 300 m sześć.. Gdyby budowniczowie, chcąc ułatwić sobie transport, wznieśli fundament z płyt o objętości 1 m sześć. (zakładamy dla ułatwienia, że płyty mają kształt prawidłowego sześcianu) to musieliby oni przygotować 300 płyt o łącznej powierzchni 1800 m kw., których ułożenie i dopasowanie zajęłoby nieporównanie więcej czasu niż jednego monolitu.

Zdziwienie powinien więc budzić nie tyle fakt istnienia baalbeckiej platformy, a raczej to, że podobne rozwiązania techniczne nie były stosowane częściej."

Jak więc widzimy największa zagadka Baalbeku posiada zupełnie „ziemskie" rozwiązanie. Ponieważ jednak nie wszystkim trafi ono do przekonania i z pewnością znów dadzą się słyszeć głosy, iż operowanie ciężarami rzędu kilkudziesięciu, kilkuset, czy też kilku tysięcy ton stanowi monopol kosmitów, dlatego też proponuję na zakończenie, byśmy przenieśli się na chwilę do Leningradu. Dlaczego właśnie do Leningradu? Dlatego że w tym mieście, na dwóch placach stoją bezpośrednie dowody na to, że przenosić wielkie ciężary na duże odległości potrafią także ludzie i że niepotrzebne są im do tego dźwigi, żurawie i inne współczesne urządzenia budowlane. Te dowody to kolumna Aleksandra oraz „Grom-kamień" — piedestał Miedzianego Jeźdźca.

Kolumna Aleksandra jest granitowym monolitem o wadze 650 ton. Kamień na tę kolumnę (ważący ponad 1000 ton) został wydobyty pod Wyborgiem, dostarczony na brzeg, załadowany na specjalnie w tym celu zbudowany statek i dostarczony do Petersburga. Tu wyładowano go na brzeg, dostarczono na plac, obrobiono i postawiono na piedestale. Tę ostatnią operację przeprowadziło niecałe dwa tysiące ludzi mających do dyspozycji siłę swych mięśni, sznury oraz dźwignię w ciągu... kilku godzin.

Na piedestał Miedzianego Jeźdźca wybrany został ogromny granitowy głaz „Grom-kamień" odkryty w Łachcie. Kamień ten, ważący ponad 100 000 pudów tj. ponad 1600 ton przy pomocy drągów umieszczono na platformie wykonanej z kilku warstw grubych pni okutych miedzianą blachą. Platforma leżała na miedzianych kulach toczących się po wyżłobionych szynach. Przemieszczano platformę ręcznie, przy pomocy kołowrotów i lin, w miarę potrzeby przenosząc szyny do przodu. Następnie kamień przewieziono przez Newę (!) i ustawiono na placu.

* na przykład podaje się, że „Kamień Południa" waży 2000 ton.

** inż. A. Kołomiejczuk w swym liście przyjmuje (za A. Kozancewem) że głaz waży 2000 ton i w oparciu o tę właśnie liczbę dokończył swych obliczeń.

Pożeracz ciepła

Polska literatura fantastyczno-naukowa, o czym wielokrotnie już w tym miejscu pisałam, znajduje się obecnie na rozdrożu. Czytelnikom najwyraźniej przestały już wystarczać „kosmiczne" rekwizyty i prymitywne fabuły, skoro, przy obecnym głodzie książki, np. nowele Markowskiego dość długo zalegały na księgarskich półkach. Poszukiwanie nowych rozwiązań, próby wyjścia poza dotychczasową konwencję — to działania, których sens i konieczność rozumie coraz więcej młodych autorów. Nie wszyscy jednak zdają sobie sprawę z wagi zarysowanego tu problemu.

Do rozważań tych skłoniła mnie lektura książki Juliusza Stefana Znamierowskiego „Pożeracz ciepła", wydanej przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. W powieści tej połączyły się, z wyraźną dla niej szkodą, dwa zamierzenia autora: zamiar napisania „czytadła" w stylu SF i utworu o charakterze moralistycznym, stawiającego w centrum swych zainteresowań problem wiszącej nad ludzkością zagłady.

Pomysł „pożeracza ciepła" nie jest nowy, to motyw znany już w literaturze od czasów Juliusza Verne'a — a Znamierowski nie potrafił go zaktualizować i uatrakcyjnić.

Autor zdawał sobie prawdopodobnie sprawę z nieoryginalności i ubóstwa głównego wątku, gdyż otoczył go całą kolekcją wątków ubocznych. O epokowym wynalazku doktora Karla von Sieberbacha dowiadujemy się już na stronie 130, aby przez dalsze bez mała 170 stron obserwować wewnętrzne zmagania wynalazcy. Czego tu nie ma: małżeńskie kłopoty doktorostwa, perypetie dotyczące ich synów i synów ich znajomych, wyjazdy i przyjazdy, przyjęcia i coctaile, spodyktyczni szefowie i podkładający bohaterowi świnię koledzy z pracy itp. W tej wielości obrazów i dialogów giną problemy głównego bohatera.

W dodatku jeszcze istotne źródło rozterek wynalazcy jest początkowo co najmniej niejasne. Sieberbach boi się ogłosić swój wynalazek m.in. dlatego, że jego syn organizował szkolny bojkot lekcji, przykleiając w ten sposób sobie i ojcu etykietkę „anarchista". Rozmowa w gabinecie dyrektora szkoły należy do scen najbardziej kuriozalnych w całej powieści. Kolejną przyczyna rozterek i zahamowań Karla jest świadomość, że swoim wynalazkiem burzy tradycyjny system badań chemicznych. Powód ten jest tu słabo umotywowany — obraz społeczeństwa wolnomyślnego, który zarysował Znamierowski w powieści, wyraźnie przeczy tym motywacjom bohatera.

Karl jest Niemcem, jego żona Amerykanką — takie ustawienie sprawy miało zapewne pomóc w ukazaniu pewnych cech narodowego charakteru, których zresztą obawia się dla swego wynalazku doktor Sieberbach. Autor otworzył tu beztrosko cały worek luźnych skojarzeń i pojęciowych stereotypów, wyciągając wnioski tak oczywiste, że aż schematyczne. Posługując się przykładem „narodowych" sporów, typu „Prusaczka", „Bawarczyk" itp., autor oddał tu hołd swoim pobieżnym szkolnym lekturom, udowadniając, że nie stać go na sensowne i treściwe przedstawienie ważnego przecież problemu w kontekście opisywanych wydarzeń.

Nie wchodząc zatem głębiej w psychologiczne motywacje takich czy innych decyzji bohatera, eksponuje Znamierowski szczegóły, mające podbudować tło obyczajowe i społeczne i stworzyć atmosferę wykwintu i konsumpcyjnego przesytu jednocześnie. Pobrzękuje więc francuską porcelaną, dźwięczą kieliszki z drinkami, kafelki w łazience mają flamandzkie wzory, a rodzina Sieberbacha wybiera się bez przerwy na Baleary lub Majorkę. Doktor Karl zaś uspokaja swoje wzburzone sumienie przy pomocy kupowania drogiej kolekcji ołowianych żołnierzyków i przygotowywania domowego baru. Wszystko to opisuje autor nie bez odrobiny dydaktyzmu (mającego swe źródło w niegdysiejszej krytyce społeczeństw konsumpcyjnych), rażącego w porównaniu z innymi partiami powieści. Wytworny styl życia Schieberbachów, na którym z lubością skupił się autor, nie może jednak zastąpić czytelnikowi innych oczekiwanych rozkoszy lektury.

Powieść Znamierowskiego jest przeraźliwie nudna. Wynalazek Karla nie tylko bowiem w przyspieszonym tempie „pożera ciepło", ale i... ciepłe uczucia czytelników.

MARIA BARTUS

Juliusz Stefan Znamierowski „Pożeracz ciepła", Wyd. MON; nakład: 50.000 egz.; cena 55 zł.

RENE I CLAUDE BEAULIEU

Tajemnica wyjaśniona

Tekst doniesienia zaprezentowanego przez dr Von Lichtausdehnunga podczas dorocznego Kongresu Astronomów i Astrofizyków w Bangkoku:

„Drodzy koledzy, wyjaśniłem tajemnicę czarnych dziur. Asimow i inni zeszli na manowce, zupełnie zmyleni. Jak tego dokonałem? Była to praca ciężka i wyczerpująca. Rezultat wielu lat poszukiwań. Długa analiza pulsacji i promieniowania gwiazd. Odkryłem w końcu, że wszystko to stanowi język i język ten rozszyfrowałem. W samej rzeczy, Panowie, przyłapałem gwiazdy na konwersacji! Piękne odkrycie! Pomyślcie tylko! Ale jaki to ma związek z czarnymi dziurami? Bardzo prosty. Dzięki rachunkowi za usługi który przechwyciłem, mogę złożyć następujące oświadczenie: CZARNE DZIURY TO NIC INNEGO JAK GWIAZDY WYŁĄCZONE, KTÓRE NIE ZAPŁACIŁY RACHUNKU ZA ŚWIATŁO!"

Przekład:
ANDRZEJ PRUSZYŃSKI

1 Lewym okiem

Znów ten przeklęty szczyt...

Przechodzimy sobie ulicą Piotrkowską obok domu numer 68 i zaglądamy mimo woli w podwórze. Tłum ludzi aż się kołysze. Co tam dają? Nic nie dają, tylko zaczął się sezon wyjazdów urlopowych i wakacyjnych, a tam w podwórzu są kasy Orbisu, kolejowe i autobusowe.

Kasy PKS na dworcach załatwiają — w odróżnieniu od kas kolejowych — wyłącznie dzień bieżący. Autobus jest mało pojemny i ryzyko nieotrzymania biletu jest bardzo duże, czego nie ma wcale na kolei. Dlatego podróżni skazani na PKS muszą korzystać z przedsprzedaży. Czyli: muszą korzystać z Orbisu.

Pomieszczenia w podwórzu przy Piotrkowskiej są tragicznie ciasne. Nie wiem dlaczego, po kilkakrotnych przeprowadzkach Orbisu i jego kas warunki stawały się coraz gorsze. Mieszczą się tam cztery kasy kolejowe i cztery autobusowe, ale oczywiście czynna jest tylko połowa, zwłaszcza — jak to właśnie przeżywamy — w samym sezonowym szczycie.

Z dwóch czynnych kas PKS każda sprzedaje bilety na inny kierunek. Ludzie stojący w tłumie na podwórzu nic o tym nie wiedzą, bo tablice informacyjne są wewnątrz klitki, a tam wejść nie sposób. Nikt nie wie, czy na potrzebny mu dzień, kierunek i godzinę są jeszcze wolne miejsca, a wiedzieć nie może, bo do kasjera z pytaniem się nie dopcha. Stoi więc jak baran dwie-trzy godziny, nierzadko po to, żeby na zdrętwiałych nogach odejść z kwitkiem i z nosem na kwintę.

Kasjer jest cierpliwy i sprawny, ale to niczego nie zmienia. Żeby było śmieszniej — informator Orbisu w lokalu frontowym załatwia rezerwację biletów sypialnych i po tę rezerwację też stoi wieczna, długachna kolejka, w wyniku czego informacji nie udziela nikt nikomu i spokój.

Przy tym wszystkim myślę, że nie potrzeba tu wielkiej mądrości, żeby znaleźć rozwiązanie, a nawet parę rozwiązań:

— Kasy PKS na dworcach mogą tak samo jak kasy PKP prowadzić przedsprzedaż.

— Na obydwóch dworcach PKS jest mnóstwo stanowisk nieczynnych. Można tam posadzić kasjerki Orbisu i będą w znacznie lepszych warunkach robić to samo, co w klitce przy Piotrkowskiej.

— Można nad każdą kasą — ale taką dostępną i widoczną z daleka — umieścić tablicę z wykazem tych kursów, na które nie ma już wolnych miejsc. Takie tablice wiszą nad kasami w NRD, kasjer aktualizuje je na bieżąco wstawiając kolorowe kwadraciki w odpowiednie przegródki i nikt niepotrzebnie nie sterczy w kolejce ani nie przepycha się i nie przekrzykuje nad głowami bliźnich swoich uzasadnionych przecież pytań.

— Rezerwację miejsc sypialnych powinien stanowczo prowadzić ktoś inny, nie informator.

— Dodatkowym przekleństwem przedsprzedażnych imprez są różne bilety zbiorowe. Przychodzą trzy harcerki i załatwiają całe harmonie biletów dla różnych wycieczek, obozów, zlazów i spędów. Załatwiają w tej samej kasie, mylą się, liczą, kasjer pisze, tłumaczy, wypisuje. Ludzie w kolejce wyłażą ze skóry z nerwów. Taka trójka to blokada kasy na godzinę. Wiem, bo to przeżyłem. Czy takich spraw nie należy załatwić gdzieś na zapleczu?

— Większych zapewne wysiłków organizacyjnych wymagałoby uruchomienie większej ilości kas. Myślę jednak, że to jest konieczne i możliwe. Nie ma ludzi do pracy? A może dlatego nie ma, że stoją w niezliczonych kolejkach po byle co? A stoją, bo nie ma ich kto obsłużyć?

Kółeczko zamknięte. Opuszczamy rączki, ogłaszamy ogólną niemożność i narzekamy. Na cały piękny, ogromny świat.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Coś z historii

Współpracownik trzech królów

Andrzej Olszowski — wybitny siedemnastowieczny mówca, polityk i autor pism politycznych, człowiek zajmujący wysokie stanowiska państwowe i kościelne — pochodzi z Łęczyckiego. Urodził się 21 lub 27 stycznia 1621 roku w Olszowie, jako syn Zofii Duninówny i Waleriana Olszowskiego — kasztelana spicymirskiego. Po studiach u jezuitów w Kaliszu i w Akademii Krakowskiej uzyskał godność kanonika gnieźnieńskiego. Studiował też za granicą (w Padwie, Rzymie i Paryżu), zdobywając stopień doktora obojga praw. Wróciwszy do kraju został kanclerzem prymasa Macieja Łubieńskiego oraz sekretarzem królewskim.

W latach 1658—1659 A. Olszowski posłował z ramienia Polski na Sejm Rzeszy do Frankfurtu nad Menem z żądaniem pomocy książąt niemieckich przeciw Szwedom. W roku 1660 już jako referendarza koronnego wysłał go król Jan Kazimierz do Wiednia, do cesarza Leopolda I, by ten wycofał sojusznicze wojska z Polski, gdyż dopuszczały się nadużyć. Rok następny przyniósł A. Olszowskiemu godność biskupa chełmińskiego. Podczas trwania rokoszu Jerzego Sebastiana Lubomirskiego (lata 1665—1666) nawoływał on do zgody. W roku 1666 król mianował go podkanclerzem koronnym i odtąd A. Olszowski zaczął wykazywać wielką ruchliwość polityczną.

Po abdykacji Jana Kazimierza w roku 1668, w czasie trwania bezkrólewia, A. Olszowski napisał i ogłosił pismo ulotne pt. „Cenzura kandydatów do tronu polskiego", w którym opowiedział się za wyborem, króla-rodaka, podsuwając kandydaturę Michała Korybuta Wiśniowieckiego — syna Jeremiego. Dzięki tej inicjatywie i dość ogólnej niechęci do cudzoziemców Wiśniowiecki został królem. Wybór ten, dokonany w roku 1669, był więc w dużej mierze dziełem A. Olszowskiego. Za panowania króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego kierował on polityką państwową Rzeczypospolitej.

Andrzej Olszowski, jako zwolennik Austrii oraz bliski i stały doradca monarchy, umocnił dla poparcia nowego króla stronnictwo austriackie, które przeciwstawiało się próbom detronizacji Michała Korybuta Wiśniowieckiego przez stronnictwo francuskie. W roku 1669 posłował do Wiednia i doprowadził w roku następnym do małżeństwa króla z arcyksiężniczką Eleonorą — córką cesarza Ferdynanda III Habsburga i siostrą cesarza Leopolda I. Przez to, jak i przez wysunięcie M. Chanenki na hetmana kozackiego, A. Olszowski przyczynił się do zaostrzenia konfliktu polsko-tureckiego. Wyjątkowe stanowisko tego podkanclerzego koronnego na dworze królewskim oraz znaczny wpływ na monarchę ściągnęły na niego zawiść senatorów i dworaków.

Jakkolwiek Andrzej Olszowski służył wiernie królowi, to jednak w czasie konfederacji gołąbskiej (1672 r.) występującej w obronie Michała Korybuta Wiśniowieckiego, a przeciw stronnictwu francuskiemu, nie chciał wziąć odpowiedzialności za rozbicie społeczeństwa w momencie wojny z Turcją i dlatego na sejmie pacyfikacyjnym w roku 1673 był orędownikiem porozumienia stronnictw. Jego działalność i groza turecka doprowadziły wówczas do zażegnania widma wojny domowej.

Po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego, podczas bezkrólewia w latach 1673—1674, Andrzej Olszowski sprzyjał kandydaturze hetmana Sobieskiego na tron, toteż król Jan III wyniósł go w roku 1674 lub 1675 do godności arcybiskupa gnieźnieńskiego i prymasa Polski. Nowy prymas zrezygnował z urzędu podkanclerzego koronnego. W roku 1676, w czasie wyprawy Sobieskiego przeciw wojskom turecko-tatarskim pod Zórawno, Olszowski sprawował rządy w państwie. Andrzej Olszowski popierał królewskie plany odzyskania Prus Książęcych dla Polski. Zapisał on pewien fundusz na bibliotekę Akademii Krakowskiej. Zmarł 29 sierpnia 1677 roku w Gdańsku.

Imię tego nieprzeciętnego polityka pochodzącego z Łęczyckiego, bliskiego współpracownika aż trzech kolejnych królów polskich, warte jest utrwalenia w naszej pamięci.

HENRYK SZUBERT

3 Zdarzenia i zwierzenia

Radość

Jak można było przewidzieć, nieliczne grupki politycznych awanturników próbowały, przy okazji wizyty Jana Pawła II wzniecić niepokoje i demonstracje. Większość jednak okazała się mądrzejsza — do awanturników nie przyłączyły się rzesze wiernych, chociaż dały się słyszeć głosy aprobujące te wybryki.

Oto następnego dnia po warszawskich próbach zakłócenia wizyty, dwóch młodzieńców wiodło w autobusie rozmowę, której sens sprowadzał się mniej więcej do tego, że takie rozróbki są Polsce potrzebne, ponieważ świat dowiaduje się, iż nie wszyscy aprobują politykę „junty"...

Rozumowanie, że idące w świat (wyolbrzymione zresztą) wieści o niepokojach w Polsce mogą Polsce przynieść korzyść, jest rozumowaniem chorego. Przypomniało mi się wówczas króciutkie opowiadanie Antoniego Czechowa pt. „Radość". Jest to jedno z pierwszych opowiadań tego wybitnego pisarza. Oto Misza Kułdarow, jakiś niski rangą urzędniczyna, wpada do domu, budzi rodzinę i woła: „Teraz cała Rosja wie o mnie!" — i czyta z gazety wzmiankę z kroniki wypadków.

W gazecie pisze, że dorożkarz najechał wczoraj na leżącego w śniegu registratora, Michała Kułdarowa. „Cała Rosja zna mnie teraz" — woła uradowany urzędnik i wymachując gazetą wybiega z domu, aby tą radosną wieścią podzielić się ze znajomymi.

Przypomniało mi się to opowiadanie Czechowa o głupiej, bezrozumnej radości, i przypomniał mi się także artykuł Cata-Mackiewicza z listopada 1955 roku... Otóż pisze Cat, że jesienią tego roku w kręgach londyńskiej emigracji także zapanowała podobna radość z powodu jakiegoś wygłupu pewnej emigracyjnej grupki.

Londyńscy „przywódcy" uznali, że to bardzo dobrze, bo — choć sprawa była cuchnąca — to jednak świat się dowie, że rząd londyński istnieje i działa... Kropka w kropkę jak ta infantylna radość Miszki Kułdarowa.

Sto lat minęło od powstania pierwszych humoresek Czechowa, prawie trzydzieści lat minęło od przywołanego tu artykułu Cata-Mackiewicza, a jednak chodzą po świecie ludzie, którzy potrafią cieszyć się z najgorszej sławy, jaką przynoszą nam nieodpowiedzialne wybryki.

Ktoś powie, że infantylizm, ktoś inny, że zwyczajna głupota, ale przecież tkwi w tym jakiś tragizm ludzkiego umysłu. Historia ludzkości liczy sobie wiele tysięcy lat i wciąż nieodmiennie powtarzają się te głupie reakcje, idiotyczne gesty, naiwna wiara, że spadający grom ugodzi zawsze i n n y c h, ale nigdy m n i e.

Radość Miszki Kułdarowa, że dał się poznać światu, jako ten najechany przez dorożkę, jest radością idioty. Wydawać by się mogło, że takie postacie mogą się tylko pojawić w humorystycznej opowiastce. Niestety, takie egzemplarze znajdują się także wokół nas; to nasi współcześni bliźni wyłażą ze starej humoreski, rechocąc z głupiej radości, w momencie, gdy płakać i współczuć należy.

JERZY WILMAŃSKI

4 Sport

Chyba źle

Mamy już nie tylko mistrza Polski, którym został Lech Poznań, ale także finalistę Pucharu Polski. Kibice sportowi, miłośnicy piłki nożnej, już o tym wiedzą. Finalistą, zdobywcą Pucharu Polski jest Lechia Gdańsk. I bardzo dobrze, coś z tego chyba wynika — jakby to powiedział sprawozdawca z pucharowego meczu, który rozegrany został w Piotrkowie Trybunalskim. Otóż, chyba wynika. I to niejedno.

Najpierw miejsce meczu. Wybrano Piotrków Trybunalski. Słusznie. Miasto to ma piękny stadion i trzeba, aby coś się na tym stadionie działo, nie tylko lokalnego. Tylko że — jak pisze w „Trybunie Ludu" Michał Zaranek — poza grupami „najbardziej zagorzałych sympatyków dwóch finalistów, na stadionie nie było wielu widzów". Na mecz przyjechało około 4 tysięcy kibiców z Gliwic i przeszło 6 tysięcy z Gdańska. A kibice z Piotrkowa Trybunalskiego? Ci byli „na balkonach, dachach i w oknach okolicznych domów, z których doskonale widać boisko". Po co więc płacić za bilet? Chyba — jakby powiedział sprawozdawca z pucharowego meczu — coś nie tak. Albo robić więcej ogólnopolskich imprez w Piotrkowie Trybunalskim, żeby kibice nauczyli się chodzić na stadion, albo nie robić w ogóle.

Sam mecz był bowiem nieciekawy. Pokazał wszystkie braki, tyle że na niższym nieco poziomie — jakie można obserwować na każdym meczu ligowym. A więc uparte usiłowania wjechania z piłką do bramki przeciwnika, nieumiejętność strzelania goli, brak umiejętności strzelania „z pierwszej piłki", brak taktyki i — co tu dużo mówić — wyszkolenia technicznego. Niewiele zresztą brakowało, aby na pucharowym meczu powtórzyło się sławetne osiągnięcie z meczów eliminacyjnych do mistrzostw Europy, padłaby samobójcza bramka, prezent dla przeciwnika. Na szczęście obeszło się bez tego. Na trybunie siedział Antoni Piechniczek i nie miał zachwyconej miny. Może samobójczy gol rozchmurzyłby jego oblicze?

Nie mam pretensji ani do Lechii Gdańsk, ani do Piasta Gliwice, gdyż oba zespoły, które awansowały do finału wykazały maksimum ambicji i chęci rozegrania dobrego spotkania. To nie ich wina, że bardziej renomowani koledzy z I ligi wpuścili ich w maliny. Ale nim dojdziemy do malin, parę słów o sprawozdawcy tego meczu, który wyróżnił się zdecydowanym brakiem własnego zdania, co wyrażało się nadużywaniem słowa chyba. U niego wszystko niemal było chyba. Chyba nie ma gola, chyba będzie róg, chyba grają dobrze, chyba źle. Stąd i tytuł mego felietonu — chyba źle, choć jestem przekonana, że jest bardzo źle.

Dlaczego?

I teraz właśnie będzie o malinach. Już pisałam tydzień temu, że zarówno Lechia Gdańsk, jak i Piast Gliwice wyeliminowali po drodze renomowane drużyny I ligi, a w tym obecnego mistrza Polski — Lecha Poznań i łódzki Widzew. Rozumiem, że drużyny walczące o mistrzowski tytuł nie chcą się rozpraszać, łapać dwóch srok za ogon i walczą tylko o jedno. Ale w I lidze jest 16 drużyn. Z tego tylko kilka musi walczyć o utrzymanie się w I lidze. Reszta — to niestety, średniaki, którym o nic nie chodzi. Tak więc bardziej doświadczeni koledzy drużynę z III ligi i drużynę z II ligi wpuścili w maliny — jak się popularnie mówi. Sami grać nie chcieli, bo im się to widać nie opłacało.

Następnego dnia po meczu o Puchar Polski usłyszałam w „Sygnałach dnia", że nasz „beniaminek II ligi", bo Lechia Gdańsk akurat awansowała do II ligi, co nie zmienia faktu, że jest drużyną jeszcze trzecioligową, otóż „nasz beniaminek" — mówił rozradowany komentator sportowy Polskiego Radia — będzie miał okazję spotkać się z Juventusem Turyn lub Realem Madryt, bo drużyny te też zdobyły puchary swoich krajów. Dawno już nie słyszałam czegoś bardziej bezmyślnego. Każdy może się spotkać z Juventusem, ale coś z tego musi wynikać. Coś więcej niż sromotna klęska. W ubiegłym sezonie najnowszy mistrz Polski też się spotykał z drużynami walczącymi o Puchar Zdobywców Pucharów, i jak to się skończyło lepiej nie przypominać.

Bezmyślnie uradowanemu sprawozdawcy PR chciałabym przypomnieć, że w UEFA obowiązuje taka zasada, że dwa miejsca w rozgrywkach pucharowych otrzymuje tylko ten kraj, którego drużyny reprezentują jakiś poziom. Awans jedenastki RTS Widzew do półfinału rozgrywek o puchar mistrzów krajowych gwarantuje Polsce dwa miejsca w rozgrywkach Pucharu UEFA. Czy po występach Lecha i Lechii nadal pozostaną nam dwa miejsca — raczej wątpię. Lech Poznań nie ma bowiem wielkich doświadczeń w rozgrywkach pucharowych i nie wiadomo jeszcze kogo wylosuje. Widzew ma te doświadczenia i dobrze, że będzie mógł je pomnożyć. O pucharowym spotkaniu Lechii Gdańsk wolę raczej nie myśleć.

Wypada mi tylko na zakończenie powtórzyć to, co już pisałam tydzień temu. PZPN musi coś zrobić z tym fantem, aby walka o Puchar Polski znów nabrała właściwej sobie rangi, a nie była lokalną, peryferyjną imprezą, która nikomu nie wadzi i z której nic nie wynika.

BOGDA MADEJ

PS. 28 czerwca zakończył się przed Sądem Rejonowym w Łodzi proces przeciwko Kazimierzowi Ż. oskarżonemu o rzucenie butelką w sędziego liniowego na meczu Widzew — Juventus. Sąd oskarżonego uniewinnił. Wyrok nie jest prawomocny.

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy". al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438, Łódź. Telefony sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicyści 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139. Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103, Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762.

Zam. 1891. L-2

Sobotni wieczór w dyskotece

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Disco-Inferno. Czerwień pulsujących świateł. Ostre uderzenie ultrafioletu. Światła stroboskopu z oszalałego kulomiotu. Tańczące pary wyglądają po chwili jak chińskie cienie z przyspieszonej czarnobiałej klatki filmowej. I znów powracająca fala: muzyka Bee Geesów...

Saturday Night Fever. Gorączka sobotniej nocy. Taniec, światło, muzyka. Dźwięk. Kolor. Ruch. Nur Samstag Nacht. Mourice, Robin i Barry — trzej bracia Gibb. Superstars. Za nimi szaleją młode dziewczęta, choć głównie Barry jest tym magnesem, który je przyciąga. Bracia Gibb rewolucjonizują świat muzyki pop. Stają się królami dyskotek. Bee Gees i ich szlagiery: „Too much Heaven", „Night Fever", „How Deep is your Love", „You should be Dancing", „Stayin' alive" to główne szlagiery każdego disco-clubu lat 1978—82.

Jest to bardzo nowoczesna dyskoteka. Efekty wizualne z perfekcjonistycznych urządzeń magnetowidowych. Projektory, rzutniki, gramofony, stereofoniczne magnetowidy japońskiej firmy „Sony". Znakomita muzyka. Godzina Bee Geesów dopiero się zaczęła. Później godzina AC/DC i kalejdoskopowa rewia z Kim Wilde, Stars on 45, Ottawan, Nicole, Teens, Saragossa Band, Visage, Bucks Fizz, Madness, Peter Maffay. Tutaj nie ma niespodzianek. Program wypisany jest przed wejściem jak jadłospis w restauracji. Znakomicie wyposażona szara egzystencja.

Na parkiecie tłum. Łańcuszki na nogach dziewcząt. Bransolety na przegubach rąk mężczyzn. Wisiory, klipsy, łańcuchy, fosforyzujące paski i inne akcesoria. Specjalny dyskotekowy szpan. Jakieś dwie luźne grupy strzelają do siebie z pistoletów na wodę. Półnagi chłopak miętosi ni to w tańcu, ni to w pettingu na stojąco jakąś szczupłą, młodą mulatkę. Tańczą, a ona grzebie mu w okolicach ekspresu w dżinsowych poszarpanych spodniach. Muzyczna ekstaza z podskórną erotyką. Akrobacje dyskotekowej masturbacji. Nagi biust małoletniej blond Eurydyki obija się o dłonie jej Orfeusza. Zwolnione hamulce rozkoszy...

— Chciałabyś mieć białego Jeepa „Renegade"? — pyta Horst Piontek.

— Chciałabym mieć ogródek z fontanną w kształcie penisa.

Na ekranie opalone twarze Bee Geesów. Z głośników hit sprzed siedmiu lat „Nights on Broadway". Zbliżenie na Barry'ego. Barry — ubrany w czerwony, lśniący kombinezon ze złotym paskiem, rozpięta bluza i złotym szalem zawiązanym fantazyjnie pod szyją — wygina się, tańczy, śpiewa. Jego bracia Mourice i Robin (bliźniacy, urodzeni 22 grudnia 1949) są w podobnych kombinezonach kosmitów z lotniczymi okularami na oczach i w złotych, błyszczących pilotkach szczelnie okrywających głowy.

Za chwilę na podkładzie muzycznym „Guilty" — longa nagranego w październiku 1980 roku przez Barry'ego Gibba i Barbrę Streisand — pojawia się na ekranie zręcznie zmontowany persyflaż filmu gangsterskiego, westernu i porno. Później lecą czarnobiały przerywnik z jakichś znanych slapstickowych komedii. Zwariowane komedie Macka Sennetta: Buster Keaton, Harold Lloyd, Stanley Laurel (Flip), Oliver Hardy (Flap), Fatty Arbuckle (Grubasek), a następnie nieśmiertelny, mały człowieczek z nieodłączną laseczką i melonikiem — Charlie Chaplin. Nad tym wszystkim szczytuje muzyka wszechobecnych braci Gibbów.

Pop. Crime. Rock. Thriller. Seks. Seans przerywany.

Na ekranie ONA. Bogate płomienno-złociste, lekko falujące włosy, nabrzmiałe, zmysłowe usta i ciężkie powieki dyskretnie wymalowane brązem. Zdejmuje suknię... Tłum stłoczony na parkiecie przestaje tańczyć... Przygląda się... ONA jest już prawie naga: na szyi sznur pereł ułożony w przesmyku między ciężkimi wydatnymi piersiami i przytrzymywany lewą dłonią o długich, ruchliwych palcach zakończonych spiczastymi, ostrą sepią lakierowanymi paznokciami. Na płaskim, dziewczęcym brzuchu — wąski, koronkowy pasek do pończoch z długimi, naprężonymi podwiązkami przytrzymującymi czarne, nylonowe pończochy z wyrazistym szewkiem. Pończochy ściśle oblepiają zgrabne nogi i kończą się w połowie śniadego, gładkiego uda. Na wąskich stopach czerwone bucik bez pięt z bardzo wysokim i ostrym jak sztylet obcasem. ONA odpina jedną pończochę, potem drugą. Roluje je i rzuca niedbale na podłogę. Delikatnie masuje pulchne udo tam, gdzie odcisnęła się podwiązka. Olbrzymie, pełne miłości piersi zwielokrotnione przez aparaturę projekcyjną (Mój dobry panie Boże, żeby Ćwiek to widział!) zwisają nad głowami tancerzy. Mięsista pupa w kształcie odwróconego serca wystaje nad dyskotekowym parkietem.

ONA przeciąga się i zwilża czubkiem języka karminowe usta. Zbliża się do łóżka. Podnosi kołdrę, a tam... o Boże! ...leży Rocky Horror.

Jest to parodia słynnego filmu Jima Sharmanna „Rocky Horror Picture Show".

Rocky Horror zrywa się z łoża. Wrzask, strach, ucieczka, pogoń, komnaty ponurego zamczyska, stop.

A teraz finał. ONA oddaje się Rocky'emu i śpiewa „I wanna be dirty"...

Sala tańczy. Horst Piontek wybałusza na mnie oczy i mówi:

— Luksusowa dziwka! Jest taka sama jak Ursula Andress, kiedy wychodzi naga z morza.

Horst nadrabiał zaległości. Latał po kinach i zaliczał aktualnie serię filmów o superagencie Secret Servise 007. Agent 007 — James Bond — mieszkał w Londynie przy King's Road, stworzyła go fantazja angielskiego pisarza Iana Fleminga, a spopularyzował na międzynarodową skalę film i telewizja. „00" — licence of kill. „Częścią jego zawodu było zabijanie ludzi. Nie lubił tego, lecz kiedy musiał to zrobić, zabijał najlepiej jak umiał..." Ursula Andress była jedną z bond-girl, a Horst uległ już magii serialu i czarowi niezwykłej urody aktorki.

Horst był z Zabrza. Uniwersytet kończył w Poznaniu. Niedługo miał już dostać obywatelstwo niemieckie i zastanawiał się czy zmienić nazwisko na Freitag. Doradzałem mu „Freytag", bo przecież Piontek też jest z błędem ortograficznym. Na dyskotece byliśmy prawie służbowo.

II

Wczoraj o godzinie jedenastej zawołano mnie do Perec.a. Zakład produkcji kaset, płyt gramofonowych był średniej wielkości filią koncernu, który zajmował się wszystkim: płyty, kasety, sprzęt oświetleniowy, nagłaśniający, muzyczny, taki „misz-masz" łącznie z instalacją sieci telefonicznej w podgórskich wioskach. U Pereca był już Horst.

— To jest facet od was — mówił Perec spoglądając na mnie i Horsta — z Polski. Jutro wieczorem wyślemy go do disco-clubu. Zaopiekujecie się nim. Jesteście Polakami i będzie mu przyjemnie pogadać z rodakami.

— Szefie, ja już nie jestem Polakiem — zaprotestował Horst.

— Jeszcze długo nim będziesz — żachnął się Perec — z tym facetem podpisujemy kontrakt...

— Ja go pier... — powiedział po polsku Horst. — Jadę w sobotę w nocy na ryby i muszę się wyspać.

— Co ty mówisz? — zainteresował się Perec.

— Mówi, że nie mamy pieniędzy na taką kosztowną zabawę — odpowiedziałem.

Dostaliśmy dwieście marek.

I teraz Horst — zdegradowany filozof dyskotekowego irracjonalizmu — tańczył z efektowną blondyną o rozmarzonych oczach i pachnących piwem włosach pozwijanych w dziesiątki długich warkoczyków a'la Bob Marley, nieżyjący już król reggae.

— Nazwij to snem — ożywił się nagle Horst — ale w klubie jest Peter Zadek i Karin Struck.

Peter Zadek to najbardziej kontrowersyjny reżyser teatralny RFN (Hamlet w jego inscenizacji: grany przez Ulricha Wildgrubera w ocieplanym paltocie i fraku na arenie cyrkowej). Zadek zaczynał w prowincjonalnym teatrze w Bremie podobnie jak Fassbinder, Hollman, czy też Peter Stein.

Karin Struck natomiast reprezentuje feministyczną literaturę — tak jak Gabriele Wohman, Gisele Elsner lub Hannelies Taschaus. Urodzona w 1947, zadebiutowała powieścią „Klassenliebe" (1973). Był to jej wielki sukces artystyczny i... handlowy. „Klassenliebe" to dziennik — zapiski — marzenia — fantazje — intymne wyznania kobiety zawiedzionej w miłości, opowieści o sobie samej i nie spełnionym uczuciu do starszego od niej o wiele lat pisarza i publicysty.

Ostatnio Horst zamierzał tłumaczyć na język polski jej powieść „lieben", ale szybko zrezygnował. Interesowały go szczegółowe fragmenty erotycznych wyczynów, bogaty arsenał seksu prawie na granicy pornografii.

— Żaden tam „Blaszany bębenek", żadna tam „Utracona cześć Katarzyny Blum", żaden tam Heinrich Böll, Günter Grass czy Siegfried Lenz — mawiał Horst — ale właśnie Karin Struck. To babsko potrafi pisać".

I właśnie teraz idolka Horsta stała przy barku popijając colę. Czterdziestokilkuletni Peter Zadek, uśmiechnięty i rozgestykulowany, przekrzykiwał Bee Geesów opowiadając coś grupie dorodnych nastolatów męsko-damskich. Małolaty wpatrzone były w niego jak w ołtarz.

Chwila przerwy w muzyce. Pauza na oddech, szklaneczkę ziemnej coli, piwa, orzeźwiającego bourbona, poprawienie makijażu.

III

Bee Gees znów ruszyli do natarcia. Wszystko zaczęło się w 1955 w Manchester. Tam po raz pierwszy wystąpili muzykalni bracia Gibb: Mourice, Robin i Barry. Nie mieli jeszcze wtedy nawet po dziesięć lat. Wkrótce przenieśli się z rodzicami do Australii, tam podpisali pierwszy kontrakt płytowy, dorobili się własnego show w telewizji, zyskali miano najlepszej grupy. W 1967 znów byli w Anglii. Zarobione w Australii pieniądze chcieli zainwestować w karierę w starym kraju. Zwrócili się nie byle gdzie — do Briana Epsteina, ówczesnego menadżera Beatlesów. Nie zdążył się już nimi zająć. Zmarł w sierpniu tegoż roku. Wtedy całą swą energię poświęcił im współpracownik Briana — Robert Stigwood. Ich wielkie hity z tamtego okresu to: „Spicks and Specks" (1967), „To Love Somebody" (1967), „Massachusetts" (1967), „Words" (1968), „Jumbo" (1968), „I. O. I. O." (1970), „Lonely Days" (1970), „My World" (1972) i inne. Jednakże największy sukces nadszedł wraz z nagraniem podwójnego albumu „Saturday Night Fever" w grudniu 1977 roku, zawierającego muzykę do filmu o tym samym tytule. Album i film zapoczątkowały przełom w Disco-Sound na całym świecie.

Koniec godziny Bee Gees...

Przerzut

Pewien obywatel polski narodowości cygańskiej, który przed sześciu laty opuścił nielegalnie ojczyznę, poczuł raptem silną nostalgię. No, bo niby w RFN dostatek, forsy jak lodu, lecz serce boli, gdyż w Polsce została rodzina, w tym nieletni synek, Tadeusz J. Wobec powyższego nasz nielegalny emigrant, Kazimierz J., nabył za pośrednictwem Banku PeKaO SA samochód marki „Wartburg" i przekazał go zięciowi Sławkowi. Zaznaczył przy tym, że Sławek może sobie jeździć wartburgiem, ale do czasu. Bo jak dostanie cynk, to auto sprzeda, a pieniądze przeznaczy na zorganizowanie akcji przerzutowej, łącznie ze zdobyciem dokumentów, samochodów, ludzi oraz instrukcji.

Kiedy nadszedł cynk z RFN, zięć sprzedał auto i zwrócił się o pomoc do Adama P., który w latach 1977—80 wielokrotnie przerzucał Cyganów za granicę. Pan Adam był facetem obrotnym, namotał więc sprytnie akcję, sam zaś prysnął do RFN, żeby z tą aferą nie mieć nic wspólnego.

Operację prowadził taksówkarz Janusz R., otrzaskany w takich różnych przygodowych wyprawach, ponieważ kilkakrotnie towarzyszył panu Adamowi. Żeby było ciekawiej, żeby można ogłupić strażników i zmylić tropy, taksówkarz ściągnął do pomocy jeszcze jednego kierowcę z samochodem, a mianowicie ob. Laskę, który też lubił turystykę, i raz nawet wpadł z ładunkiem srebra gdzieś na północy Polski. Oczywiście pan Adam P., pracujący dorywczo jako kotlarz, jak zwykle nie miał z tym nic wspólnego.

Janusz R. spotkał kumpla Galasa, z zawodu bezrobotnego i uderzył w te słowa:

— Słuchajcie no, Galas, czy wy macie kobietę samotną z dzieckiem?

Galas natychmiast pognał do knajpy w Lućmierzu, dorwał swego kolesia Hajduka i tłumaczy, co jest grane.

— Mam taką! — krzyczy uradowany Hajduk. — Maryśka to prawie moja narzeczona!

— Narzeczona odpada!

— Galas, to jest rozwiedziona pomoc kuchenna! Jak ja się napiję na zabawie, to zostaję u niej na noc i roluję, a ona mi się zwierza ze swych kłopotów i biedy. Ma piętnastoletniego syna Mariusza.

— No, taka pasuje — ucieszył się Galas.

No i podczas długiej łóżkowej rozmowy Maria S. wyraziła zgodę na wyjazd do Jugosławii w charakterze cygańskiej matki. Janusz R. wziął zaliczkę w wysokości 5 tys. złotych od zięcia Kazimierza J., pana Sławka, po czym wspólnie z Galasem założyli Marii konto dewizowe w wysokości 300 dolarów. Dzięki temu kontu załatwili jej dokumenty, wkładkę paszportową i talony na wymianę. Maria S. zostawiła chorego syna, Mariusza, pod opieką sąsiadki i pojechała z Januszem R. do Pabianic, gdzie czekał już przybyły z Opola Sławek wraz ze swym nieletnim szwagrem, Tadeuszem J. Ten ostatni wcale nie był podobny do Cygana, więc Maria stwierdziła z ulgą, że pasuje do jej syna jak ulał.

Sławek wręczył Januszowi R. 95 tys. złotych do podziału z Marią i kierowcą Laską, jeśli przerzut się uda. Następnie Maria i Tadeusz J. wsiedli do auta Laski, zawrócili do Łodzi i pojechali na południe, w rejon Zakopanego. Za nimi jechali Janusz R., Galas i Sławek.

W nocy, 3 marca 1980 roku, znaleźli się na przejściu granicznym w Łysej Polanie. Nie było specjalnych kłopotów, papiery w porządku. Strażnicy puścili ich do Czechosłowacji. W tym czasie auto Janusza R. stało w odległości dwustu metrów od przejścia granicznego, gdyż Sławek chciał mieć pewność, czy przerzut się uda, i obserwował bacznie odprawę paszportową.

Po dwóch godzinach samochody spotkały się na terenie Czechosłowacji. Sławek wrócił z czystym sumieniem do Opola, natomiast Janusz R. i Galas zabrali do swojego auta „matkę z synem".

— A ty, Laska, wracaj do Polski — rozkazał Janusz.

Granicę czechosłowacko-węgierską przekroczyli bez przeszkód i wkrótce znaleźli się w Budapeszcie, gdzie Galas wynajął kwaterę. Jak Maria zamieniła swoje talony na różne szampany, frykasy i inne dobra bratanków naszych, Galas oznajmił słodziutko:

— A teraz, Maryś, do roboty! Ojciec Cygana, czyli swego synka Mariusza, czeka stęskniony we Włoszech. A może już wjeżdża na lewych papierach do Jugosławii? Musisz zawieźć chłopaka do Rijeki...

— Jezus Maria! Ja sobie z tym nie poradzę. Zginę!

— Nie wymigasz się, Maryś. Zrobiłaś w konia dwie służby graniczne, więc cierp!

— Wrócę i niech mnie zamkną!

— Głupiaś! Cyganek jest taki bystry, że może cię sprzedać. On teraz wszystkim pokieruje.

Janusz R. dał kobiecie wszystkie dokumenty, zapisany na kartce adres w Rijece oraz dolary, z zastrzeżeniem, że pieniądze należą do Tadeusza J. i tak, 5 marca „matka z synem" odjechała pociągiem do Zagrzebia, przekraczając bez najmniejszego kłopotu trzecią garnicę.

W Zagrzebiu Tadeusz J. zabrał Marii dolary, poszedł na pocztę i wysłał telegram do szwagra Sławka w Opolu, że jest na miejscu. Następnie zaprowadził Marię na postój. Pokazał dolary, wręczył taksówkarzowi kartkę z adresem i pojechali do Rijeki.

Kiedy chłopak zapukał do drzwi, usłyszeli po jakimś czasie pytanie w obcym języku, które mogło brzmieć: „Kto tam?".

Chłopak odpowiedział:

— Polska!

Otworzyła im stara Cyganka. Wrzasnęła radośnie. Potem przyszedł wysoki, brodaty Cygan. W oczach miał łzy wzruszenia. Syn rzucił mu się w ramiona, ściskali się, płakali, poklepywali. Maria S. też płakała, bo ta scena połączenia ojca z synem po sześcioletniej rozłące była strasznie rozczulająca. Jednakże mężczyźni po chwilach męskiej słabości opanowali się i zniknęli. Maria poczuła się samotna, bezradna i niepotrzebna.

— A co ze mną? — spytała.

— Do Polski! — odparła szorstko stara Cyganka.

Wręczyła wynajętej mamusi 1000 dinarów, i do widzenia! Maria prawie całą sumę wydała na bilet powrotny. Ale gdy już zaczęła jechać do kraju, Jugosławia okazała się bardzo gościnna, nie chciała rozstać się z tą dzielną Polką. Bo akurat tak się złożyło, że na granicy Maria S. trafiła na tego samego strażnika, co ją wpuszczał do Zagrzebia. I on się cholernie zdziwił, że ta turystka i matka-patriotka pozbyła się beztrosko syna.

W związku z tym Maria S. gościła 10 dni w areszcie, po czym Jugosławia stała się niegościnna i wydaliła kobietę ze swego terytorium. Zatrzymano ją na granicy polskiej, w Zebrzydowicach, ponieważ wracała bez dziecka, a więc albo je zgubiła, albo sprzedała.

Fachowcy zorganizowali znakomita operację przerzutowa z tajemniczymi samochodami i kotłami konspiracyjnymi, toteż nieszczęsnej rozwiedzionej pomocy kuchennej nawet nie przyszło do głowy, co ją może czekać w drodze powrotnej do kraju. Ano cóż, macierzyństwo do wynajęcia, za forsę i przygodę, nie popłaca.

WIT KASA